EKIPA TUSKA W AKCJI

Ziemkiewicz o najeździe bodnarowców na domy Ziobry i jego współpracowników

Rozmowa „Do Rzeczy": Sławomir Mentzen o tym, czy „PiS i PO to jedno zło"

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 14/572 2–7 KWIETNIA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

UNIJNY TRYBUNAŁ CHCE ZAINSTALOWAĆ W POLSCE „NARÓD ŚLĄSKI"

Kto próbuje z Judasza uczynić gwiazdę?

CZY JESTEŚMY GOTOWI DO WOJNY?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 14 >

Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl 824

WYDAWNICTWO m

PONAD **50 MLN** SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY NA ŚWIECIE

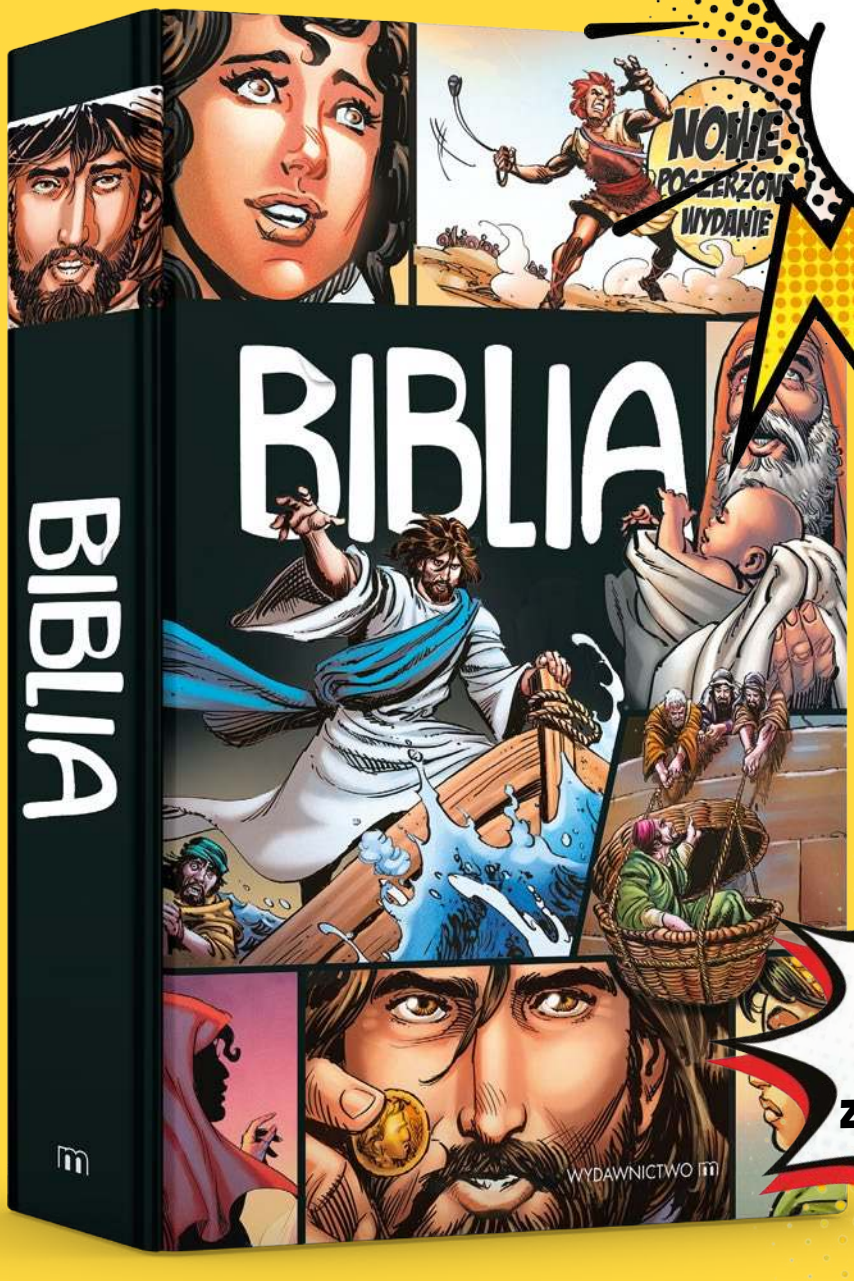

KOMIKS POSIADA IMPRIMATUR

DLA CZYTELNIKÓW „DO RZECZY" CENA 119 ZŁOTYCH Z KODEM RABATOWYM KOMIKS24

PROMOCJA WAŻNA W DNIACH: 1 – 7.04.2024

eprasa.pl 82443a69e0

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kiedy syn cytuje ojca

Jak można się było spodziewać, Narodowy Dzień Pamięci Polaków Ratujących Żydów nie mógł obejść się bez prowokacji. Tym razem postarało się o nią Radio TOK FM, które to wyemitowało rozmowę z Janem Grabowskim. Ten wykonał swoje zadanie bez zarzutu. Grabowski stwierdził, że gdy rozpoczęła się faza likwidacji gett, Polacy z obserwatorów zagłady stali się „aktorami", którzy decydowali o życiu i śmierci Żydów.

„O ile dla Niemca ktoś, kto mówił po polsku z akcentem, był nie do wychwycenia, bo Niemcy po polsku po prostu nie mówili, o tyle dla Polaka, ktoś, kto »żydłaczył«, od razu stanowił obiekt zainteresowania. Mój ojciec powiedział mi, że on podczas wojny nigdy nie bał się Niemców tak, jak bał się Polaków" – mówił Grabowski w TOK FM.

Zero zdziwień. Cała kariera i rozpoznawalność pana Grabowskiego oparte są na tym, że schlebia on liberalnemu motłochowi, który pławi się w opowieściach o strasznych Polakach. Polskość dla jego przedstawicieli – doskonale reprezentowanych przez pracowników medialnych TOK FM – to coś, co należy przezwyciężyć. Owszem, walczą oni chętnie ze wszystkimi możliwymi uprzedzeniami rasowymi, z wyjątkiem jednego, a mianowicie żydowskiego. Dlatego pozwalają panu Grabowskiemu opowiadać kłamstwa bez słowa krytyki. Otóż gdyby zdobyli się na minimum wysiłku i sprawdzili (jest to skądinąd ich psi obowiązek), co dokładnie mówił wspomniany przez pana Grabowskiego jego ojciec, dowiedzieliby się, że faktycznie twierdził on całkiem co innego, niż przypisał mu syn. W swoich wspomnieniach ojciec pana Grabowskiego, Zbigniew Ryszard, napisał: „Będący na usługach Gestapo Żydzi najlepiej rozpoznawali innych Żydów". A więc przekazał dokładną odwrotność tego, co przypisał mu syn.

Gdyby liberalny motłoch wiedział o systemie judenratów, o policji żydowskiej w gettach i o roli żydowskich agentów gestapo, nie łykałby tak łatwo opowieści pana Grabowskiego juniora. No ale gdyby nie łykał i wiedział, nie byłby motłochem. Najwyraźniej w świadomości wydawców Radia TOK FM nie mieściło się przypuszczenie, że zaproszony przez nich do rozprawy z polską pamięcią kapłan holokaustianizmu przekręci nawet słowa własnego ojca.

Wybryk TOK FM nie był ani pierwszy, ani jedyny. Dokładnie to samo przed rokiem zrobiła telewizja TVN, wypuszczając rozmowę z inną holokaustianiską, prof. Barbarą Engelking, która to w 80. rocznicę powstania w getcie warszawskim powiedziała, że „Żydzi nieprawdopodobnie rozczarowali się co do Polaków w czasie wojny". – Żydzi wiedzieli, czego się od Niemców spodziewać. Niemiec był wrogiem i ta relacja była bardzo klarowna, czarno-biała, a relacja z Polakami była dużo bardziej złożona". A wszystko to po to, by podsumować: „Wydaje mi się, że to rozczarowanie [Żydów do Polaków] odgrywa pewną rolę, że Polacy po prostu zawiedli".

Te powtarzane niczym mantrę hasła – Polacy zawiedli, Polacy byli gorsi od Niemców, Polacy są współsprawcami, Polacy byli szmalcownikami, Polacy wydawali, Polacy rozczarowali – mają się wbić w naszą świadomość. Ma to doprowadzić do zniszczenia dumy z polskości i zachwiania własnej tożsamości narodowej (ależ byliśmy podli, ściślej, ależ podli byli nasi przodkowie) i uczynić nas podatnymi na ewentualne roszczenia – czy to polityczne (wszyscy wspieramy Izrael), czy też finansowe. Te wypowiedzi nie mają nic wspólnego z historią, są formą brutalnego uprawiania polityki i szerzenia ideologii holokaustianizmu. Można by powiedzieć, że jest to najbardziej perfidna i zarazem modelowa forma tego, co nazywa się uprawianiem polityki na grobach.

A skoro o polityce mowa, to nic dziwnego, że w obu przypadkach – wypowiedzi pana Grabowskiego i pani Engelking – niemal w ten sam sposób zareagował, krytycznie i słusznie na Twitterze (X) premier Mateusz Morawiecki. Problem polega jednak na tym, że nie jest on publicystą, który może się oburzać, ale politykiem, który przez ostatnich sześć lat sprawował władzę w Polsce. Dlatego powstaje pytanie o skuteczność tej polityki w relacjach ze środowiskami żydowskimi. Czy udało mu się wstrzymać finansowanie ośrodków rozpowszechniających antypolską propagandę, z którymi to naukowo związani są pan Grabowski i pani Engelking? Nie sądzę.

Polityka PiS oparta była na przekonaniu, że ataki na polskość wynikają z niewiedzy. Należy zatem wykazać, jak okropna była okupacja i jak bardzo Polacy kochali Żydów, oddając za nich swe życie, a druga strona zrozumie swój błąd i oskarżenia się skończą. Nic bardziej błędnego. Po drugiej stronie, mówiąc umownie, nie ma dobrej woli. Dlatego potrzebna była całkiem inna strategia walki w obronie polskiej pamięci. Tak się nie stało. Czekają nas zatem kolejne ataki zespołu Grabowski et consortes i zapewne w odpowiedzi na nie kolejne słuszne wpisy byłego premiera Morawieckiego. ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

TEMAT TYGODNIA

12 TOMASZ CUKIERNIK
JAKI JEST STAN POLSKIEJ OBRONY?
Mimo wydawania 4 proc. PKB na obronę Polska jest rozbrojona

16 ROZMOWA Z MARIUSZEM CIELMĄ
OBRONĘ POWIETRZNĄ MAMY GORSZĄ NIŻ UKRAINA PRZED WOJNĄ

19 JAN FIEDORCZUK
UNIJCZYCY CHCĄ ARMII

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WŁAM U ZIOBRÓW
Licencja na polityczne zabijanie

25 SŁAWOMIR MENTZEN
LUDZIE OTWIERAJĄ OCZY

28 RAFAŁ DUDKIEWICZ
NATURA PROWOKACJI

30 ŁUKASZ WARZECHA
UKRYTA AMNESTIA

32 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
FIKCJA PAŃSTWOWOŚCI

34 TERESA STYLIŃSKA
JAKA BRZYDKA JEST WARSZAWA...

36 ZUZANNA DĄBROWSKA
FEMINISTKI NAS URZĄDZĄ

KULTURA

40 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
KWIATY WZROSŁE Z POLSKIEJ KRWI
Rozmowa z reżyserem filmu „Czerwone maki"

42 PIOTR GOCIEK
MAMY PROBLEM

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
JEDYNYM WYJŚCIEM REEMIGRACJA
Do Europy nadal napływają setki tysięcy przybyszów rocznie

53 MAREK JUREK
PIS, PRAWICA, PRZYSZŁOŚĆ

56 KRYSTIAN KRATIUK
JUDASZ ISKARIOTA SUPERSTAR

HISTORIA

60 RAFAŁ ŁATKA
TRUDNE DECYZJE PRYMASA
Elastyczność w sprawach drugorzędnych, brak ustępstw w kwestiach o zasadniczym znaczeniu

ŚWIAT

64 WOJCIECH GOLONKA
TRAGEDIA W SOSIE ANTYROSYJSKOŚCI
Po zamachu w Moskwie polscy komentatorzy jak zwykle rzucili się do oskarżania Putina

67 PIOTR SEMKA
MIĘDZY BRUKSELĄ A MOSKWĄ

70 PIOTR WŁOCZYK
WIELKI BÓL CHIŃSKI

EKONOMIA

74 RAFAŁ ADAMUS
CYFROWE EURO W POLSCE?
Cyfrowy pieniądz wyłącza anonimowość transakcji, a emitent może uzyskać niewyobrażalny potencjał władzy

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 82443a69e0

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Łukasz Szełemej/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Lotnisko w Berlinie, Trzaskowski w Warszawie

[...] Stanowisko Trzaskowskiego w kwestii budowy portu lotniczego przebiło się do świadomości wielu Polaków. „Po co nam lotnisko w Baranowie, skoro mamy lotnisko w Berlinie?!". A więc co tam te 60 tys. lub więcej dobrze płatnych miejsc pracy dla mieszkańców stolicy! Co tam olbrzymie wpływy do kasy państwa z przeładunku i przewozu towarów, ludzi i innych usług! To przecież konkurencja dla Berlina! A poza tym po co ludzie mają latać? To przecież ślad węglowy! Powinni siedzieć w domach! Prezydent Warszawy najwyraźniej jest inspirowany przez globalistów, co również widać z innych jego decyzji [...].

A wracając do Okęcia i Baranowa – to absurdalne postawienie tej kwestii można porównać do sytuacji Polski w latach 20. ubiegłego wieku, gdy budowano Gdynię. A przecież były porty w Gdańsku, Hamburgu i parę innych, nomen omen, niemieckich. Wtedy delikwent tak stawiający sprawę nie miałby szans w polskiej polityce. Dziś, gdy sytuacja i zagrożenia stają się podobne jak wtedy, taki człowiek może wygrać wybory!

A przecież jeszcze inny aspekt tej sprawy to fakt, że lotnisko Chopina, swoją drogą zakłócające spokój hałasem, to ponad 800 ha uzbrojonych gruntów położonych w stolicy. W mieście, gdzie mieszkania osiągają kosmiczne ceny, a chcących tu zamieszkać są setki tysięcy! Spółdzielnie, deweloperzy usiłują zabudować, co tylko się da. Często wciskając nowe budynki przed oknami stojących wcześniej. Utrudniając życie mieszkańcom, ignorując ich protesty, niszcząc kanały napowietrzające. Dobudowuje się piętra czy boki w już istniejących budynkach, nawet o wartości historycznej, demolując je. Proszę spojrzeć choćby na PAST-ę!

A przecież teren lotniska Okęcie, tak korzystnie położony, łatwy do połączenia stosunkowo krótką linią metra z centrum miasta, mógłby w zupełnie oczywisty sposób zostać nową dzielnicą, np. Warszawa-Lotnisko. Dobre rozwiązanie w zasięgu ręki. Środki ze sprzedaży gruntu lotniska dotychczasowego należałoby przeznaczyć na budowę nowego. No ale jest przecież lotnisko w Berlinie, a w Warszawie Rafał Trzaskowski.

Stały czytelnik tygodnika „Do Rzeczy" od jego zaistnienia Antoni Borowiec

NEKROLOG

Z głębokim żalem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

Barbary Strecker

zmarłej 21 marca 2024 r.

Koledze i Koleżance,
Michałowi i Malwinie Strecker, wraz z ich bliskimi
składamy wyrazy najgłębszego współczucia
z powodu utraty Mamy

Koledzy i Koleżanki
z PMPG Polskie Media

eprasa.pl 82443a69e0

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Z Pegasusa robi się szkapa

Bezsilność w komisji ds. Pegasusa", „W PiS wiedzą, że nic nie mamy" – takie nastroje w koalicyjnej części komisji sejmowej opisuje „Gazeta Wyborcza". „Od Siemoniaka (koordynatora służb specjalnych) nie ma nic. Od Bodnara wyszły rzeczy z Prokuratury Krajowej z klauzulą »tajne«, które można sobie ściągnąć z Internetu. To opinie prawne i analizy. Śledztwo dotyczące zakupu Pegasusa jest tam na bardzo wstępnym etapie" – narzekają cytowani anonimowo członkowie komisji. Jak pisze „Wyborcza", „nieoficjalnie dowiadujemy się, że posłowie nie dysponują w zasadzie żadną inną wiedzą niż ta powszechnie już dostępna.

Na dodatek posłowie PO zaangażowani w pracę zespołu czują się lekceważeni przez własne zaplecze polityczne. „Nie ma woli politycznej, by ta komisja mogła pracować. Mamy tarzać się w błocie z politykami z PiS i wysłuchiwać obelg, a całą śmietankę spije i tak rząd, ogłaszając szczegóły inwigilacji" – żali się inny członek komisji dziennikarzowi „GW". Podejrzewa, że jeśli minister Bodnar coś ustali, to i tak poczeka z ogłoszeniem sensacji na planowane na kwiecień wystąpienie w Sejmie. O ile coś ustali…

Jeśli tak o sytuacji w sztandarowym tworze politycznego show Koalicji pisze dziennik z Czerskiej, to nastroje chyba naprawdę są pod psem. Cóż. Można powiedzieć, że Platforma bardzo mocno zapracowała na obecny kryzys w jej sztandarowej komisji śledczej.

Po pierwsze, czym innym jest barwnie opowiadać w mediach o rzekomej masowej inwigilacji polityków opozycji, a czym innym udowadniać to w praktyce, gdzie trzeba powoływać się na twarde i sprawdzone fakty.

Po drugie – Pegasusem posługują się już ludzie Tomasza Siemoniaka i tym samym są zainteresowani, by nie ujawniano zbyt wielu faktów na temat zasad stosowania tej zaawansowanej techniki zdobywania informacji. Żadna tajna służba nie lubi ujawniać swojej kuchni wywiadowczej. Platforma nie ma ochoty, by ktoś zaczął ją rozliczać z tego, jak obecnie ona wykorzystuje tę cudowną zabawkę funkcjonariuszy.

Po trzecie wreszcie, do komisji Platforma skierowała wyjątkowo słabych graczy. Można się zastanawiać, kto wpadł na pomysł, by tym gremium kierowała Magdalena Sroka. Nie dość, że to była posłanka klubu Zjednoczonej Prawicy, to jeszcze postać niewybijająca się specjalnie z tłumu parlamentarzystów z tylnych ław. Sroka już została ośmieszona przez Jarosława Kaczyńskiego, którego wezwano przed oblicze komisji, nie sprawdzając, czy jest już zwolniony z klauzuli zachowania tajemnicy państwowej, której podlegał jako wicepremier. Na dodatek dość pyszałkowate przekonanie, że lider PiS da się łatwo wyprowadzić z równowagi, okazało się trafieniem kulą w płot. Takie asy PO, jak Marcin Bosacki czy Witold Zembaczyński, były pewne, że doprowadzą Naczelnika do furii. A same nie poradziły sobie nawet ze zbudowaniem konsekwentnej linii pytań.

Z czołówki Platformy słychać opinie, że Magdalena Sroka ma być wycofana z kierowania komisją. Pytanie tylko, czy ktoś z czołówki PO będzie chciał teraz przejąć wolny fotel po niej. Tym bardziej, że ani Siemoniak, ani Bodnar nie palą się do wspierania śledczych, to przewodnictwo komisji nie musi być okazją do błyszczenia.

Nigdy nie ma drugiej okazji, aby zrobić pierwsze dobre wrażenie – zwykły mawiać estradowe wygi. W politycznym show, którym są komisje sejmowe, ta prawda potwierdza się w dwójnasób. ©℗

FOT. AA/ABACA/EAST NEWS

KATASTROFA W BALTIMORE

Francis Scott Key Bridge w Baltimore w stanie Maryland zawalił się, gdy w przęsło mostu uderzył 300-metrowy kontenerowiec, pływający pod banderą Singapuru. Za zmarłe uznano sześć osób, które w chwili tragedii pracowały na moście. Rocznie przejeżdżało nim ponad 11 mln pojazdów.

eprasa.pl 82443a69e0

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wybory, wybory. Samorządowe. Ostatni raport z pola boju: Nowogrodzka nawet wśród swoich gra na obniżenie oczekiwań. Przesłanie brzmi więc: „Każdy sejmik wojewódzki powyżej jednego będzie sukcesem”. Ale i tu kłopot, w grze są więc scenariusze koalicyjne. Koalicjantem ma być Konfederacja, która może wykręcić w Małopolsce i na Podkarpaciu taki wynik, że rządzić się bez niej nie da. Niby mogłoby tak być i na Podlasiu, ale tamtejsi konfederaci wyjątkowo mocno nie lubią PiS.

W kampanii wszystkie ręce na pokład, ale są jednak pewne granice. Na przykład europosłowie parskają: „No dobrze, dajemy kasę, ludzi, samochody, drukujemy plakaty, ale już tweetów nie będziemy retweetować. Niech sobie to robią posłowie krajowi!”. Chodzi o polecenia z centrali, w których pojawiają się dokładne instrukcje, które przekazy dnia i kiedy posyłać dalej.

Na miejscu europosłów bylibyśmy jednak raczej posłuszni i sumienni. Wiemy bowiem skądinąd, że wszelkie dotychczasowe wstępne ustalenia na temat list do europarlamentu są nieważne. I podlegają obecnie głębokiej ewaluacji u naczelnika, szeregowego posła i nadpremiera Jarosława. A jak wiadomo, ewaluacja łatwo może się zamienić w dewaluację.

Apropos ewaluacji. Kategorycznie dementujemy plotki, jakoby dziennikarze z „GazWybu” nie rozumieli, co piszą, i używali zbyt trudnych słów. Na dowód fragment rozmowy z Agorowego portalu o sporcie, rozmowa z niejakim Maciejem Sawickim (Kanał Sportowy, który salony próbują teraz pompować w kontrze do Kanału Zero Stanowskiego). Pytanie: „Kolegialnie uznaliście, że czas skupić się tylko na sporcie?”. Odpowiedź: „To ewaluowało”.

Tymczasem PeŁo na finisz kampanii przygotowała serię przeszukań u posłów opozycji i nie tylko. Na jednym z przeszukań związanych z Funduszem Sprawiedliwości objawiła się dawno niewidziana prokurator Katarzyna Szeska. To kolejna osoba, po niedoszłym komendancie głównym policji Domaradzkim (renta inwalidzka), która nagle ozdrowiała w cudowny sposób po zmianie władzy. Zaprawdę powiadamy wam, nie minie czasu mało wiele, jak nieuleczalnie chorzy będą chcieli dotknąć choćby rąbka szaty Donalda w nadziei na cud.

Przy okazji ważne uzupełnienie. Otóż media podawały, że podczas nalotu na dom Ziobrów prokuratura zajęła również telefony małoletnim synom. Jest to informacja nieścisła. Owszem, zajęła, ale niedługo później zwróciła. A konkretnie wtedy, kiedy na miejscu pojawiła się żona ministra. I od razu musimy przestrzec – zadzieranie z Zizu to pikuś w porównaniu z zadzieraniem z Pati-Koti. A znamy ją kawał czasu.

Skoro o kobietach. W Wielką Środę posunięto z Eurokorpusu gen. Jarosława Gromadzińskiego. Nie da się ukryć, że owa informacja w wielu wojskowych kręgach wywołała aplauz. Podobnie było zresztą, jak generał przenosił się z Polski do Strasburga. Nie da się ukryć, że wśród wielu powodów niechęci do Gromadzińskiego było jego powodzenie wśród płci pięknej. Ale dodajmy – nie był to powód jedyny, choć niewątpliwie ważny.

Wracając do kampanii. Warto obserwować wybory samorządowe w stolicy. Za kulisami PeŁo huczy od plotek, że w Warszawie celowo Donald blokował porozumienie z Lewicą, żeby lewicowa Magdalena Biejat wystartowała przeciw Rafciowi Trzaskowskiemu (co też się stało) i mocno przetrzepała mu skórę (co też się stanie), obniżając odpowiednio wyniki Rafcia. Donald bowiem nie lubi, kiedy w partii są jacyś inni popularni Rafciowie. I my go rozumiemy.

Samemu Rafciowi chcieliśmy pogratulować świetnego występu medialnego w przedwyborczej debacie na Kanale Zero. Pojawił się tam w postaci wielkiej figury wyciętej z kartonu. I wypadł rewelacyjnie. Trzymał nerwy na wodzy, nie pozwolił sobie na żadną kontrowersyjną wypowiedź, nie przerywał konkurentom. Wreszcie występ na miarę potencjału i ambicji. No i jeszcze jedno ważne osiągnięcie, za które Rafcio powinien być wdzięczny Stanowskiemu: czy znacie jakąkolwiek inną sytuację, w której Rafcio byłby wielką figurą?

Drobne sprostowanie do notatki z ubiegłego tygodnia. Otóż prokurator Korneluk przejął służbową brykę nie po Bogusiu Święczkowskim, a po Dariuszu Barskim, i nie było to bmw X6, ale X5. Co nie zmienia tego, że traktujemy to jako zabór mienia w związku z tym, że Korneluk nie jest żadnym prokuratorem krajowym, a zwyczajnym uzurpatorem.

Od razu też sensacyjne rozwinięcie innej podanej przez nas ostatnio informacji. Profesor Ryszard Legutko otrzymał od Viktora Orbána nie tylko order. W grę wchodzą również bardzo konkretne pieniążki, i to nie forinty. Krótko mówiąc, obiecaliśmy sobie ciężko pracować dla Europy i dla Węgier, bo dwadzieścia tysięcy ojro piechotą nie chodzi.

Profesor Legutko, jak wiadomo, o reelekcję do europarlamentu ubiegać się nie będzie. Podobnie prof. Krasnodębski. Którzy jeszcze z obecnych eurodepów powracają do Polski? Elżbieta Kruk, Beata Mazurek, Grzegorz Tobiszowski. Tak słyszeliśmy, ale czasem wiele się musi zmienić, żeby wszystko zostało po staremu. ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Niska rozrywka

Różne już obelgi na siebie czytałem, ale tego, jak podsumował moją wizytę w Kanale Zero Krzysztofa Stanowskiego branżowy portal Press.pl, jeszcze nie. Zatrudniony przez nich „medioznawca", którego nazwisko pominę, bo nie zasłużył na uwiecznienie w przypisach do moich przyszłych biografii, orzekł, że „rozmowy takie, jak ostatnio z Rafałem Ziemkiewiczem… to format tabloidowy, zaspakajający zapotrzebowanie na niską rozrywkę", i jako takie „nie wnoszą nic nowego do debaty". Wnoszą czy nie, pozostawiam do oceny widzów, których tylko przez dwa pierwsze dni było 600 tys., mimo że rozmowa trwała prawie trzy godziny. A z tych trzech godzin pan „medioznawca" usłyszał, i to pewnie od kogoś, tylko jedno słowo: „patusiara".

Jest stary kawał o Icku, który oskarżenie, że z jego żoną pół miasta już spało, odrzuca argumentem: „Co to za miasto, parę nędznych chałup!". Z tych trzech godzin przez ponad dwie szczegółowo omawiałem niegodziwości gazety Michnika, a jej odpowiedzią była żarliwa kampania w obronie wspomnianej jako przykład patusiary – i to też jedno z ich typowych zagrań: gładko pomijając fakt puszczania się Ickowej żony, rozkręcić histerę, że nazwanie tych paru chałup miastem to „niska rozrywka".

Krzysztof Stanowski, którego tak bardzo stara się michnikowszczyzna „skancelować", nie jest żadnym PiS-owcem czy konfederatą, na swoim kanale daje głos wielu ludziom o poglądach zdecydowanie niemądrych. Ale popełnił zbrodnię, z punktu widzenia michnikowszczyzny, niewybaczalną: odniósł sukces medialny i stał się człowiekiem opiniotwórczym, nie mając na to koncesji salonu Michnika. Dlatego postanowiono tam zrobić ze „Stano" oszołoma, jeśli nie w nadziei, że da się go zniszczyć, to przynajmniej, by immunizować na niekontrolowany przekaz własnych lemingów: tego faceta oglądać i słuchać wam nie wolno, bo będziecie „obciachowi"!

Tyle że „Wyborcza" i jej salon to już nie ta potęga, co kiedyś, i dziś jej kazania nie działają, a jeszcze – o zgrozo – liczni internauci mają z nich bekę. Inaczej mówiąc, rozrywkę. Niech będzie, że niską. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Powrót de Valery

Aontú to dziwna nazwa nie tylko dlatego, że dziwnie brzmi. Aontú to w irlandzkim celtyckim Jedność. Przyjęcie takiej nazwy przez partię, której wyniki wyborcze oscylowały w granicach 1,5–2,5 proc., może robić wrażenie uzurpacji. A jednak okazało się uprawnione, skoro to właśnie Aontú stała się głosem największego w historii Republiki buntu przeciw klasie rządzącej.

Do tej pory rewolucja premiera Varadkara maszerowała bez przeszkód. Obalił w referendum prawo do życia nienarodzonych, ustanowił – również poprzez referendum – prawny status związków homoseksualnych. Wydawało się, że rozpada się półtoratysiącletenie chrystianizacyjne dzieło św. Patryka i prawie stuletni gmach Republiki de Valery. Gdy Varadkar zjawił się w Strasburgu, zachwycony Guy Verhofstadt gratulował mu, że „wymyśla Irlandię na nowo" i na nim winni wzorować się ci, którzy również Europę chcą „na nowo wymyślić". I nagle blitzkrieg Varadkara się skończył. Twierdzą okazał się każdy (niemal) irlandzki próg. Irlandczycy nie zgodzili się wykreślić z konstytucji stwierdzenia, „że kobieta przez swoją aktywność w domu daje Państwu wsparcie, bez którego dobro wspólne nie mogłoby zostać osiągnięte", więc Republika chce „zapewniać takie warunki, aby matki nie były zmuszone ekonomiczną potrzebą do podejmowania pracy, zaniedbując swoje obowiązki domowe". Melissa Byrne jako wiceprzewodnicząca Aontú i „jako feministka" oskarżyła o mizoginizm pomysłodawców zmiany tej konstytucyjnej normy. A przywódca partii, Peadar Tóibín, przestrzegł, że (a to był drugi pomysł konstytucyjnej zmiany) uznanie, iż rodziną jest każda „trwała relacja", ustanowi „raj dla adwokatów", niewiarygodny chaos wzajemnych, spadkowych i wszelkich innych roszczeń. Takimi argumentami wzmocnili moralny sprzeciw ogromnej większości swego społeczeństwa.

Argumenty są ważne, Sokrates mówił, że tylko ich należy słuchać. A cywilizacja życia ma prawo do swojej polityki. ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

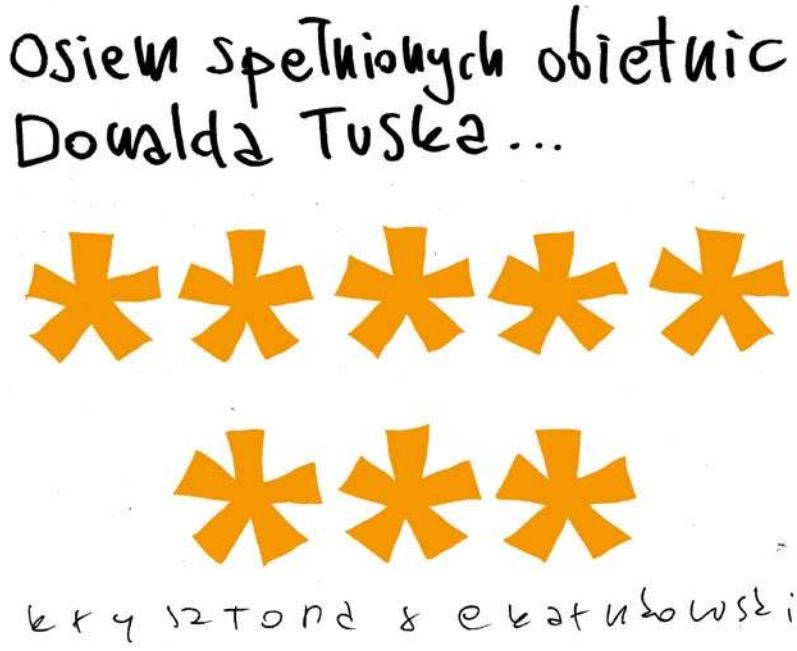

PIECZEŃ RZYMSKA

Niech żyją Kraj Rad i demoludy!

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

We Włoszech niektóre podręczniki szkolne przedstawiają Putinowską wizję świata, geografii i historii. Oto, co można znaleźć w podręczniku „Żyj geografią" dla uczniów w wieku od 10 do 13 lat na temat aneksji Krymu przez Rosję 10 lat temu. „Mieszkająca na Krymie rosyjska większość poprosiła o interwencję armię rosyjską i w referendum wypowiedziała się za niepodległością i przyłączeniem do Rosji". Czyli nie było moskiewskich gwarancji respektowania niepodległości Ukrainy, w tym Krymu, nie było wojny hybrydowej i interwencji rosyjskich sił specjalnych. Co więcej, na załączonych mapkach Ukraina i państwa bałtyckie to „strefa rosyjska".

Jeszcze ciekawsza jest analiza tego, co stało się w Europie po 1991 r.: „Po okresie pokoju w Europie wybuchły krwawe wojny, szczególnie w Europie Wschodniej. Upadły tam rządy komunistyczne, które wspierały ideę pokojowego współistnienia narodów. Doprowadziło to do odrodzenia nacjonalizmów, czyli ruchów politycznych zbudowanych na koncepcji tożsamości kulturowej, gospodarczej i religijnej narodu". Słowem – państwa Europy Środkowo-Wschodniej, pokojowe i przyjazne, gdy istniał Związek Sowiecki, po jego rozpadzie przepoczwarzyły się w agresywne, nacjonalistyczne reżimy. Wyłania się z tego pośrednio sielankowy Związek Sowiecki, jeden z najkrwawszych reżimów w historii, jako ostoja światowego pokoju. Rymuje się to oczywiście z oficjalnym celem napadu Rosji na Ukrainę: obalenie faszystowskiego reżimu w Kijowie i przyłączenie wschodnich terenów Ukrainy, gdzie mieszkają ciemiężeni Rosjanie, którym trzeba przyjść z pomocą.

Tak się składa, że rozpolitykowana włoska młodzież zorganizowała setki strajków okupacyjnych i demonstracji przeciw imperialistom w Waszyngtonie, Tel Awiwie i zachodnim „podżegaczom wojennym", za wolną Palestynę i w obronie świeżego powietrza, ale żadnej przeciw imperialnej, zbrodniczej Rosji Putina. W Rzymie pod ambasadą rosyjską demonstrowali niemal wyłącznie tutejsi Ukraińcy. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 82443a69e0

GWIAZDOBZDUR

ZUZANNA DĄBROWSKA

VITO STRZELA FOCHA

Gala wręczenia muzycznych nagród Fryderyków nie obyła się bez skandaliku. Ów wywołał na Instagramie wokalista Vito Bambino. Dostał osiem nominacji, ale ani jednej statuetki. To ewidentnie ubodło ego muzyka, który wylał z siebie cały żal. „Byliśmy z załogą na rozdaniu Fryderyków – imprezie, której nigdy wcześniej nie przypisywałem większego znaczenia... lecz nie tym razem. Po ośmiu nominacjach urodziła się we mnie myśl, że może nadszedł moment, w którym to ojczysta branża otwiera się na Nas... na mnie. Dałem się omamić. Nawet czułem jakiś rodzaj dumy. Dosłownie na moment opuściłem gardę – tylko po to, by dostać plombę prosto w ryj; w sumie to bardziej serię uderzeń..." – pisze Vito Bambino. Przekonuje, że zawsze chciał być dla swoich fanów i samego siebie „skałą do oparcia", ale poległ. Piosenkarz ma tak duże pretensje o to, że nie został nagrodzony, iż postanowił złożyć „uroczyste ślubowanie". „NIGDY więcej nie pozwolę poddawać swój artyzm jakiejkolwiek ocenie gremium »specjalistów«. Numery w przyszłości nie będą meldowane w ZPAV [Związek Producentów Audio-Video – przyp. red.], co oznacza, że nigdy więcej moja twarz lub ksywa nie pojawią się w tym niereformowalnym cyrku" – grzmi. Dalej Vito zapowiada, że pozbędzie się także dwóch Fryderyków, które dostał w przeszłości. „Dla mnie te statuetki stały się meblem. I to takim z antykwariatu. Dlatego pieniądze, które wygenerują w licytacji, chciałbym przekazać do domu opieki ludzi starszych. Duża część osób głosujących już tam czeka..." – stwierdza, chcąc chyba wbić w bardzo mało elegancki sposób szpilę jury, które miało czelność nie docenić jego muzyki. „Wszystkim, którzy czytając, myślą, »ale ból du..« – też tak bym to interpretował, więc nie widzę potrzeby przekonywania was, że jest inaczej, bo pewnie nie jest" – podsumował wokalista. Przynajmniej szczerze.

FOT. PIOTR DZIURMAN/REPORTER

EMERYTURA POD PALMAMI

Świeża dawka „mądrości" Blanki Lipińskiej. Pisarka jest fanką dalekich podróży, a jednym z jej ulubionych kierunków jest Egipt. Blania przekonuje, że tam żyje się znacznie łatwiej i taniej niż w Polsce. Co więcej, radzi polskim emerytom, aby rozważyli emigrację. – W sklepach w Egipcie jest według moich obliczeń pięć razy taniej, więc brać emeryturę w Polsce i mieszkać w Egipcie, gdzie jest cały czas ciepło na przykład. Szczerze to się bardziej opłaca – przekonuje autorka książki „365 dni". W polskich sklepach celebrytce przeszkadzają szczególnie ceny mleka. – Jestem uzależniona ciężko od mleka krowiego. Ono kosztuje 4 zł. Co to jest w ogóle za pomysł? Przecież mleko jeszcze niedawno kosztowało 1,80 zł, potem 2,20 zł. Jakim cudem to samo mleko teraz kosztuje 4 zł? Te krowy tak podrożały? Jak jest taka sytuacja, że faktycznie gdzieś trafię mleko, np. po 1,80 zł, to kupię go tyle, ile jest go w sklepie, przysięgam. Wtedy mam po prostu załadowaną całą spiżarnię mlekiem – relacjonowała w wywiadzie dla Plejady. Tak wiele informacji, wszystkie tak bardzo zbędne.

SKAZANY ZA NIEWINNOŚĆ

Ludzie nie uczą się na błędach. Ani na cudzych, ani na własnych. Amerykańska Agencja Antydopingowa wykryła w organizmie Roberta Karasia zakazane substancje. Pisząc wprost, ultratriathlonista został przyłapany na dopingu. To generalnie rzecz naganna. Tym gorzej, że Karaś wpadł po raz drugi. Nie tak dawno testy wykazały stosowanie przez niego zabronionych środków, przez co został pozbawiony rekordu świata, który ustanowił podczas ubiegłorocznych zmagań Brasil Ultra Tri w Rio de Janeiro, i zawieszony przez federację International Ultra Triathlon Association. Wtedy Karaś próbował iść w zaparte, przekonując, że nie ma nic na sumieniu. W końcu przyznał, że coś tam wziął, ale to tak właściwie tylko suplementy. Teraz wynik potwierdzający obecność w organizmie sportowca klomifenu i drostanolonu przyszedł z laboratorium po zawodach w Stanach Zjednoczonych (gdzie ustanowił nowy rekord świata; pokonał trasę pięciokrotnego Ironmana w imponującym czasie 60 godz. 21 min i 24 s.). Robert Karaś twierdzi, że po prostu testy drugi raz wykryły ten sam doping. „Niestety, nadal mam w sobie pozostałości po tych substancjach. Nie wiem jeszcze, jakie konsekwencje formalne mnie czekają, ale nie to jest najważniejsze. Niech moja historia będzie przestrogą dla każdego sportowca, zwłaszcza dla ludzi młodych. Nie szukam wytłumaczeń, muszę teraz ponieść konsekwencje swojej głupoty i nieostrożności. Błąd popełniony 1,5 roku temu zostanie ze mną już na zawsze" – napisał w oficjalnym komunikacie. Za komentarz niech posłuży wypowiedź szefa Polskiej Agencji Antydopingowej. „Karaś znów został przyłapany na dopingu. W jego organizmie wykryto drostanolon i klomifen. Można wątpić w jego wyjaśnienia, ta pierwsza zakazana substancja utrzymuje się w organizmie do 30 dni" – stwierdził Michał Rynkowski. Trzydzieści dni, nie półtora roku. ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jako iż z racji wykształcenia mamy wciąż to socjologiczne zacięcie, przeczytaliśmy ostatnio wiele badań na temat tego, jak Polacy korzystają z Internetu i ile czasu w nim spędzają – i jesteśmy tym mocno zaniepokojeni.

Otósh przeciętny Polak spędza w necie średnio cztery godziny dziennie. Oznacza to więc, iż młody dynamiczny przedstawiciel pokolenia Z siedzi on-line tyle samo czasu, co wąsaty Janusz z Podkarpacia. To tym gorsza wiadomość, iż oboje zostawiają taki sam ślad węglowy, co w przypadku zoomera jest usprawiedliwione, iż korzysta z aplikacji zapewniających dostęp do dóbr kultury, a wąsaty janusz szuka nowszego poloneza na ropę, iżby zostawiać po sobie jeszcze większy ślad węglowy.

Okazuje się też, iż problem są social media. Podobno Polacy korzystają z nich coraz rzadziej. Martwi nas więc perspektywa, iż w końcu pewnego dnia na fejsiku zostanie tylko najwierniejsze grono millennialsów i boomerów, życzących sobie słonecznego dzionka i smacznej kawusi.

Z drugiej strony – jeszcze mniej użytkowników niż u nas korzysta z social mediów we Francji i w Niemczech. Może to jednak dobry znak, iż wreszcie zaczynamy doganiać Europę – trochę nie od tej strony, co byśmy chcieli, ale zawsze xD.

Celowo nie rozpoczynaliśmy naszej poświątecznej rubryki od pisania o Spring Holidays, jako iż nie chcemy, abyście pomyśleli, że możemy być nieneutralni światopoglądowo. Nie możemy natomiast przejść obojętnie wobec dwóch rzeczy.

Po pierwsze: jak dowiedzieliśmy się z Internetu, co 10. jajko na europejskim stole pochodzi od polskiej kury. Of kors nie jednej – uspokajamy zoomerów – co i tak nie zmienia tego, iż polskie osobokury są traktowane jak chodzące inkubatory, których jedynym prawem jest zniesienie jajka, które następnie zostanie im odebrane przez patriarchalnego rolnika.

W związku z tym należy sobie zadać pytanie: Czy naprawdę chcemy, aby to, z czym kojarzy się ten kraj na arenie międzynarodowej, były kury i jajka? Potrzebujemy więcej PR wokół przywracania praworządności i zwrotu ku Europie, a mniej dyskusji na temat jajek. Zwłaszcza że, znając polską wieś, to pewnie nie są to żadne szczęśliwe osobokury z wolnego wybiegu, a ściśle skoszarowane tradycyjne nioski z chowu klatkowego.

Druga sprawa związana z Easter to wydatki Polaków, którzy oczywiście nie potrafią zapanować nad targającymi nimi namiętnościami i emocjami i wydali w tym roku na organizację klasycznej okołoświątecznej wyżerki więcej niż w latach ubiegłych. Przy czym czego dotyczą te wydatki? Mięsa, wędlin, jajek i alkoholu – no bo czego innego.

A to dopiero początek, już niedługo majówka, tradycyjne grille zapłoną jak ten kraj długi i szeroki, co przyprawia nas o dreszcze niepokoju, iż rozpalone grille niestety smutno kojarzą nam się z rozpalonymi pochodniami w czasie fashystoffskich marszów. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wrzuć Bodnarowi

No przecież cię prosiłem, Paweł, żeby tam dopisać do tych zarzutów dla Glapy coś jeszcze. Miała być lista na co najmniej 25 punktów, żeby przytłaczało.

Donek, ja nawet konkurs zrobiłem u nas w klubie. Za najlepsze 10 zarzutów miało być pudełko cygar...

Nie moich chyba?
No a czyich? Ale nieważne, i tak nikt nie wygrał.

Bo?
Bo głupoty powymyślali. O, tu np.: „Przyprowadzał do pracy psa".

A on w ogóle ma psa?
A bo ja wiem? Ale jak to się ma do Trybunału Stanu i konstytucji?

A kogo to obchodzi? Mnie się to podoba. Wrzuć Bodnarowi, niech machnie uzasadnienie i dołączamy do listy. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kończymy porządki i przyspieszamy!".

***DONALD TUSK**, premier, na portalu X o pracy rządu*

eprasa.pl 82443a69e0

Tomasz Cukiernik

Jaki jest stan polskiej obrony?

Mimo wydawania 4 proc. PKB na obronę Polska jest rozbrojona i nie ma samodzielnych zdolności obronnych

Pojawiło się wielkie oburzenie, kiedy Komisja Europejska ogłosiła przyznanie wsparcia finansowego w wysokości 500 mln euro na rzecz podniesienia zdolności do produkcji amunicji artyleryjskiej, a Polska dostała z tego grosze. Jak informuje serwis Defence24, największe fundusze w wysokości ponad 87 mln euro otrzymają firmy z… pozaunijnej Norwegii. Wśród pozostałych beneficjentów znalazły się m.in. Niemcy – 85 mln euro, Francja – 38 mln euro, Finlandia – 32,5 mln euro oraz Węgry – 27 mln euro. Ponadto dotacje zostaną przydzielone konsorcjom złożonym z firm z różnych krajów. Na liście beneficjentów znalazła się także jedna polska firma – Dezamet, będąca częścią Polskiej Grupy Zbrojeniowej, która otrzyma zaledwie ok. 2,1 mln euro, czyli niecałe 0,42 proc. wartości programu.

DOTACJE DO AMUNICJI

Polskie firmy zbrojeniowe dostały tak mało, bo – jak zwrócił uwagę Marcin Mastalerek, szef gabinetu prezydenta RP – wnioskowały łącznie o zaledwie 11 mln euro. – To nie tylko efekty polityki zagranicznej PO-PiS i pozycji, którą wywalczyli dla nas w Europie, lecz także efekty zaniku przemysłu zbrojeniowego w Polsce – ocenił wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak. – Dostaliśmy ułamki tego, co inni na produkcję amunicji, dlatego, że od 2014 r., kiedy zaczęła się wojna na Ukrainie i było wiadomo, że te zdolności trzeba odtworzyć, niewiele w tej kwestii zrobiono. Zostało to zaprzepaszczone przez rząd PiS, który kontynuował to, co przez poprzednie osiem lat robił rząd PO-PSL – komentuje Jacek Hoga, założyciel i prezes fundacji Ad Arma.

Problemem jest to, że amunicję produkują firmy państwowe. Nie jest też tak, że na wszystko trzeba brać dotacje. Amunicję można produkować – pomimo tego, że dla państwa – na zasadach dużo bardziej rynkowych, niż to jest dzisiaj w Polsce czy w innych krajach Unii Europejskiej. Trzeba natomiast zachowywać moce produkcyjne w czasie pokoju, ponieważ rozruch takich fabryk trwa trzy–cztery lata. – Powinny być pieniądze na utrzymanie takich linii produkcyjnych, żeby w razie czego można je było szybko

eprasa.pl 82443a69e0

FOT. MAREK MALCZEWSKI/REPORTER

uruchomić. Niestety, tych linii nie ma ani w Polsce, ani w całej Unii Europejskiej. Nie w takiej liczbie, w jakiej jest to teraz potrzebne. To jest zaniechanie, którego nie da się szybko naprawić – mówi Hoga.

Jak tłumaczy, arsenały, czyli państwowe instytucje produkujące broń i amunicję na podstawie licencji z rynku prywatnego, istniały we wszystkich krajach, także tych najbardziej wolnorynkowych. Chodzi o to, by te instytucje w czasie pokoju działały na jałowym biegu, a nie da się opierać całych zdolności przemysłowych na państwowych instytucjach. One mają umożliwić szybkie zwiększenie produkcji amunicji. Natomiast przy przedłużającym się konflikcie i przez to zwiększonych potrzebach konieczne jest użycie sektora prywatnego.

Tymczasem w Polsce ustawa o obrocie specjalnym jest zbudowana w taki sposób, że de facto nie ma możliwości stworzenia prywatnego przedsiębiorstwa zbrojeniowego. Są wyjątki, jak np. fabryka broni ręcznej w Rogowie pod Łodzią. Tam od podstaw powstał zakład, który sprzedaje karabinki dla rządu Francji czy Norwegii. Polski rząd oczywiście nic w tej firmie nigdy nie kupił. Są przedsiębiorcy, którzy chcieli otworzyć produkcję amunicji strzeleckiej pistoletowej czy dalekodystansowej dla myśliwych. Jednak wymogi, które narzuca ustawa, są bardzo łatwe do spełnienia tylko przez jednostki państwowe, a bardzo trudne do spełnienia dla instytucji prywatnych. Stąd też kilka lat temu fundacja Ad Arma zaproponowała zmianę ustawy na taką, która umożliwiłaby polskim przedsiębiorcom dużo łatwiejsze wejście w rynek zbrojeniowy, bo jest to idealny sposób wzmacniania możliwości obronnych państwa. Nie trzeba na to łożyć pieniędzy z budżetu. Sprzedaż z tych prywatnych firm szłaby za granicę, a w razie potrzeby produkcja byłaby kierowana na potrzeby polskiego wojska. Niestety, ta możliwość jest zamknięta przez mentalność biurokratyczną rodem z PRL.

Na dodatek, jak twierdzi Hoga, państwowe spółki zbrojeniowe są w kondycji agonalnej. Większość z nich dostosowana jest do trybu pracy misji wojskowych typu Afganistan czy Irak, gdzie miały zapewnić kilkadziesiąt sztuk sprzętu ciężkiego, kilka tysięcy oporządzeń. Natomiast zdolności, których potrzebujemy teraz, to są zdolności budowy ciężkiego sprzętu typu czołgi, bojowe wozy piechoty, samobieżne haubice w liczbie ok. 1 tys. sztuk rocznie. Oporządzenie – setki tysięcy rocznie, mundury, buty – ponad 1 mln rocznie, bo ludzie na froncie potrzebują więcej niż jedną parę butów na rok itd. – Tych zdolności absolutnie nie ma. One zostały zamordowane – ocenia

eprasa.pl 82443a69e0

Hoga. I przywołuje przykład z początku lat 90. Wtedy Bumar-Łabędy dostał kontrakt na 300 czołgów dla jednego z państw Bliskiego Wschodu. Jednak na prośbę rządu amerykańskiego kontrakt ten został… anulowany. Podobne sytuacje były z propozycjami kontraktów dla Indii. Bumar w czasie pokoju, bez mobilizacyjnego zwiększenia zdolności, był w stanie budować 300 czołgów rocznie i stracił te zdolności. Jeszcze za czasów PiS była możliwość produkcji czołgów, jednak umowy nie podpisano. W efekcie Polska straciła możliwości produkcyjne czołgów i koszt tego musimy płacić, ściągając je dosłownie z końca świata po dużo wyższych cenach i dając szansę rozwojową biurom konstrukcyjnym w Korei Południowej czy USA, nie zaś polskim.

ZDOLNOŚCI BOJOWE

Jeśli spojrzymy na wyposażenie Wojska Polskiego, to przez ostatnie 30 lat – czy w prasie specjalistycznej, czy w szkołach wojskowych, czy na akademiach wojskowych – nie mówi się o tym, co mamy, tylko co planujemy mieć, co planujemy zamówić, co dobrze by było mieć. Po anulowaniu przez PiS negocjacji w sprawie zakupu francuskich śmigłowców Caracal w 2016 r. nie zbudowano tych zdolności w oparciu o inny kontrakt. To spowodowało, że nie zbudowano zdolności, które mieliśmy zbudować przy ich pomocy. Jednak to były zdolności na wojny ekspedycyjne, a nie pełnoskalowe do obrony kraju. Na dodatek trzeba było zapłacić Francuzom 80 mln zł kary za śmigłowce, których nie kupiono.

Jeszcze pod koniec rządów PiS pojawiła się informacja, że Polska kupi w USA 96 ciężkich śmigłowców szturmowych Apache, a niedawno wyraził na to zgodę Departament Stanu USA. Jednak z amerykańskich analiz na podstawie ostatnich dwóch lat wojny na Ukrainie wynika, że ciężkie śmigłowce przeciwpancerne straciły swoje miejsce na polu walki. Są rodzajem sprzętu, który w pełnoskalowym konflikcie ma bardzo małe zdolności działania zgodnie z przeznaczeniem ze względu na nasycenie lekką bronią przeciwlotniczą pododdziałów potencjalnego przeciwnika. Są to bardzo drogie systemy, ale archaiczne w swoim założeniu koncepcyjnym. W odpowiednim środowisku mają bardzo duże zdolności uderzeniowe, ale to środowisko zależy od zdolności przeciwlotniczych wojsk lądowych nieprzyjaciela, a Rosjanie je mają na poziomie wyższym niż jakiekolwiek inne państwo na świecie. Co więcej, apache to śmigłowce, które wymagają dużo większego ogona logistycznego niż np. amerykańskie śmigłowce AH-1Z Viper, które niedawno kupili Czesi, mające łatwiejsze zdolności odtworzenia gotowości bojowej w oparciu o bardziej improwizowaną infrastrukturę. – Apache to sprzęt bardzo drogi w utrzymaniu, bardzo drogi w sensie rozbudowy zaplecza i na dziś nie jest rodzajem uzbrojenia, które powinniśmy kupować ze względu na niekorzystną relację koszt – efekt – opiniuje Hoga.

Jeśli spojrzymy na wyposażenie Wojska Polskiego, to przez ostatnie 30 lat nie mówi się o tym, co mamy, tylko, co planujemy mieć, co planujemy zamówić, co dobrze by było mieć

Podobnie w innych obszarach obrony. Hoga podaje, że jeśli chodzi o kwestie przeciwpancerne, to mamy je na poziomie niezdolności do walki z ciężkimi dywizjami przeciwnika. Tak jest od 30 lat. Najpierw miała być wymiana granatników przeciwpancernych, ale tego nie zrobiono. Potem miała być wymiana czołgów, ale to wstrzymano. Miała być produkcja amunicji przeciwpancernej dla czołgów, nie udało się. Kupiliśmy przeciwpancerne pociski kierowane, ale za mało. No więc artyleria miała wspierać likwidację zagrożenia, ale artyleria nie ma amunicji, którą ma obiecywaną od 20 lat. Miały być śmigłowce szturmowe, to ich nie ma. Alarmowe zakupy ostatnich dwóch lat nie dają nam zdolności na już. Nie kupujemy licencji. To oznacza całkowite uzależnienie od podmiotów zagranicznych. Nie mamy zdolności produkcji odpowiednich ilości własnej amunicji małokalibrowej, artyleryjskiej, podstawowego sprzętu przeciwpancernego nie jesteśmy samodzielnie robić. Kilka lat temu utraciliśmy zdolności produkcyjne własnej broni pancernej. Jesteśmy krajem, który w sytuacji wojny pełnoskalowej jest całkowicie uzależniony od dobrej woli sąsiadów i partnerów – ocenia Hoga.

UZALEŻNIENIE

Wygląda to tak, że Polska kupuje sprzęt, którego sama nie będzie mogła obsługiwać, tylko będzie uzależniona od Amerykanów. Nawet jeśli kupujemy bardzo dobry sprzęt, ale którego nie jesteśmy w stanie wpiąć we własny system logistyczny, bo ten musi być oparty na systemie logistycznym sojusznika, to w sytuacji, kiedy sojusznik zmieni zdanie, ten bardzo drogi sprzęt staje się bardzo drogimi obiektami muzealnymi. Kiedy Irak został podbity przez USA, stworzono tam rząd, na który Amerykanie mieli wiodący wpływ, i ci Amerykanie w pewnym momencie stwierdzili, że przestaną wspierać samoloty F-16, które z dnia na dzień przestały być użyteczne dla armii irackiej w trakcie walk z Państwem Islamskim. Skoro mogli to zrobić w państwie marionetkowym, całkowicie przez siebie kontrolowanym, to tym bardziej mogą to zrobić w państwie sojuszniczym. – Kupowanie drogich systemów, do których nie mamy łańcucha logistycznego, czyli czołgi Abrams, samoloty F-35, czołgi koreańskie K2, jest bardzo ryzykowne – mówi Hoga. Ktoś może powiedzieć: „Mamy leopardy i nie jest to problem". Ale właśnie leopardy są przykładem tego, że jest to wielki problem, bo mamy je ponad 20 lat i one nadal są wpięte w system logistyczny… Bundeswehry. Poprzez zaabsorbowanie za złotówkę dwie dekady temu leopardów zarżnęliśmy Bumar-Łabędy, zniszczyliśmy własne zdolności odtwarzania jednostek pancernych. Całkowicie wpięliśmy się w niemiecki system logistyczny, który dzięki temu częściowo jest utrzymywany z polskich pieniędzy. W ten sposób Niemcy kupili sobie częściowe utrzymywanie własnego systemu logistycznego i przez 20 lat uniemożliwili nam utrzymanie własnych zdolności. To też pokazuje, jak szkodliwe są nie tylko wszelkie dotacje, lecz także darowizny. Dokładnie to nam grozi z perspektywy utrzymania systemów, które kupujemy czy to w Korei Południowej, czy w Stanach Zjednoczonych. Nie mówiąc już, że w razie kryzysu wewnętrznego czy zewnętrznego liczenie na to, że dostawy

eprasa.pl 82443a69e0

z drugiego końca świata będą w sposób niezakłócony docierały do Wojska Polskiego, jest dosyć naiwne. – To, że coś się zgadza w Excelu, nie znaczy, że zadziała na polu walki. A rzeczywistość wojenna jest całkowicie odporna na PR i niestety wszystkie działania od odtworzenia Wojsk Obrony Terytorialnej osiem lat temu do dzisiejszych działań Kosiniaka-Kamysza są nakierowane wyłącznie na propagandę i nie zwiększają zdolności operacyjnych Wojska Polskiego – zaznacza Hoga.

Nie inaczej sytuacja wygląda w przypadku polskiej floty. Po niemal 10 latach wrócił do służby jedyny polski okręt podwodny „Orzeł". Tymczasem rozmowa o flocie powinna być rozmową o polskiej niepodległości. O prawdziwej niepodległości, a nie o byciu aktywnym członkiem wspierającym NATO czy UE. Zdaniem Hogi kluczową przyczyną, dla której Polska powinna mieć flotę i zdolności morskie, jest zapewnienie sobie dostępu do oceanu światowego. Jedynym wąskim gardłem, jakie jest geograficznie, są cieśniny duńskie, a jedynym zagrożeniem operacyjnym dla polskiego handlu morskiego jest Federacja Rosyjska. Resztki floty, które mamy dzisiaj, nie mają zdolności do ochrony żeglugi do polskich portów. Żeby mieć dostęp do wszystkich krajów posiadających porty, musimy mieć zdolność do dobrych relacji z Danią. Co więcej, jeśli ktoś inny by zajął duńskie cieśniny, to musimy mieć zdolność ich uwolnienia, a ponadto musimy móc zapewnić bezpieczeństwo tego krótkiego odcinka od cieśnin duńskich do polskich portów. Ani jednych, ani drugich zdolności nie mamy. Flota tym się różni od wojsk lądowych, że wytwarzanie zdolności operacyjnych trwa dużo dłużej – ponad dekadę. Z tego punktu widzenia jeden okręt podwodny nie ma żadnego znaczenia.

POLSKA NIE UZUPEŁNIŁA NAWET ZAPASÓW PO WSPARCIU KIJOWA

Ma natomiast zasadnicze znaczenie to, co Polska zrobiła w związku z wojną na Ukrainie. Otóż nie uzupełniono zapasów amunicji po tym, jak przekazano je Kijowowi. Nie było skąd. Nawet Amerykanie mają kłopot, żeby wyprodukować amunicję dla Ukrainy w odpowiedniej ilości. Właśnie dlatego potrzebne są zdolności, arsenały państwowe, które są na jałowym biegu w czasie pokoju, żeby w sytuacjach krytycznych móc uruchomić fabryki. Zdolności te zachowała Rosja. Amunicję produkuje też Korea Północna. USA mają duże możliwości, ale za małe, żeby żywić wojnę na Ukrainie. Francja i Niemcy mają zdolności na poziomie tylko ekspedycyjnym, a Polska i inne kraje produkują amunicję w ilościach aptekarskich.

Nie uzupełniono też sprzętu i rezultat jest taki, że od wybuchu wojny na Ukrainie straciliśmy przeliczeniowo sześć batalionów czołgów, podobną liczbę batalionów zmechanizowanych i dywizjonów artylerii rakietowej. – Jest gorzej, niż było w 2022 r. I to skokowo gorzej. Trzeba mieć tego świadomość, że z ok. 11 batalionów czołgów zrobiły nam się cztery. To, że sprzętu na jeden batalion dostaliśmy z Korei Południowej i teraz dostajemy czołgi amerykańskie od Ameryki, nawet nie zwraca nam tych zdolności, które mieliśmy. Ze względów ilościowych i logistycznych – wylicza Hoga. Warto dodać, że już powinniśmy mieć zgodnie z harmonogramem wszystkie 116 abramsów w wersji FEB, dostaliśmy na razie połowę. Podobne problemy mogą dotyczyć (i są częste) innych zamówień…

Ze względu na wydatkowaną amunicję i ciężki sprzęt na Ukrainę przez ostatnie dwa lata zmniejszyły się także zdolności naszych aktualnych sojuszników. Dla odmiany zdolności projekcji siły i agresji Federacji Rosyjskiej przez ostatnie dwa lata się zwiększyły. – Mają większe doświadczenie, mają więcej jednostek, które są w stanie walczyć w konflikcie pełnoskalowym, amunicji produkują trochę więcej, niż zużywają. Zachowują magazyny, używając amunicji z Korei Północnej – mówi Hoga. Jego zdaniem wojna może być za rok, za pięć lat, jak i wcale. Bo to zależy od decyzji, a nie od zdolności. Natomiast tragedią polskiego państwa jest to, że nie mamy samodzielnych zdolności obronnych, a nasi sojusznicy nie mają zdolności projekcji siły na wojnę pełnoskalową, żeby nas obronić.

Na dodatek znajdujemy się w sytuacji zaskoczenia strategicznego, czyli o tym, czy będzie konflikt i jak będzie on przebiegał, nie decydujemy my, tylko przeciwnik. Bo – jak tłumaczy Hoga – o ile we wrześniu 1939 r. Niemcy mieli przewagę w zaskoczeniu strategicznym nad Polską o tydzień ze względu na opóźnioną mobilizację, o tyle teraz można powiedzieć, że Rosjanie mają przewagę czterech–pięciu lat ze względu na zdolności mobilizacji przemysłu, pięć lat ze względu na możliwości generowania rezerw w stosunku do wszystkich państw, które nie mają poboru, i dwa lata przewagi w tworzeniu zdolności jednostek bojowych. Chociaż to, kto jest przeciwnikiem, może się bardzo szybko zmienić. Stalin był sojusznikiem Hitlera, a przedtem śmiertelnym wrogiem politycznym, a potem śmiertelnym wrogiem wojennym. I to wszystko w ramach czterech lat. A my mamy lukę pięcioletnią. Tymczasem jeszcze przed tymi wszystkim zakupami zbrojeniowymi rządu PiS w USA w Global Firepower Index 2016 Polska znajdowała się na pozycji 18. wśród 126 państw świata, a w tym roku jest to miejsce 21. na 145 państw. Dla porównania: pierwsze trzy miejsca zajmują w kolejności USA, Rosja i Chiny, Ukraina ma pozycję 18., a Niemcy – 19.

Jakby tego było mało, Polska de facto nie dysponuje obroną cywilną, o czym zaświadcza raport NIK. To jest zaniechanie 30 lat, a nie któregoś z rządów. O ile obrona cywilna na jakimś poziomie w PRL była, o tyle potem została zlikwidowana całkowicie. Federacja Rosyjska nie tylko utrzymywała w gotowości swoją obronę cywilną przez cały ten czas, lecz także ok. 2008 r. zaczęła budować nowe schrony, magazyny i całą logistykę z tym związaną. Za drugiej kadencji PiS 2015–2019 Rosjanie byli w stanie za miliardy dolarów stworzyć nowe schrony dla milionów swoich obywateli. Sto procent mieszkańców Moskwy ma miejsce w schronie. W Polsce według raportu Państwowej Straży Pożarnej na miejsce w schronach i ukryciach może liczyć niecałe 4 proc. mieszkańców. – Po tym widać powagę państwa i myślenie długoterminowe. Państwo polskie kręci się wokół Twittera, ostatnich wywiadów, dopieczenia koalicjantowi czy nawet rywalowi z tej samej listy partyjnej. To są ludzie, którzy nie mają zdolności do myślenia o państwie. Widać to choćby w sejmowej Komisji Obrony Narodowej, gdzie żaden z raportów NIK mający klauzulę „tajne" nie był omawiany przez ostatnie dwie kadencje. Na ok. 30 posłów komisji w ogóle dwóch czy trzech czytało te dokumenty. A tam są rzeczy kluczowe – podkreśla Hoga.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

Polska ma dziś trochę zestawów obrony powietrznej Mała Narew. Są w stanie zwalczać tylko jeden cel naraz FOT. PGZ S.A.

Z Mariuszem Cielmą, redaktorem naczelnym „Nowej Techniki Wojskowej" *rozmawia Łukasz Zboralski*

Obronę powietrzną mamy gorszą niż Ukraina przed wojną

ŁUKASZ ZBORALSKI: Niedawno rosyjska rakieta znów wleciała na polskie niebo. Była nad naszym terytorium prawie minutę. Dlaczego jej nie zestrzelono?

MARIUSZ CIELMA: Przedstawiciel Dowództwa Operacyjnego na briefingu powiedział ciekawe zdanie – że ten pocisk nie znajdował się w zasięgu naszych środków rażenia. Co by trochę pokazywało, że w tym momencie nie było to możliwe.

Formalnie takie możliwości jednak są, bo rok temu zmieniono przepisy i teraz są one bardziej elastyczne. Przejrzyściej pod względem prawnym można zareagować na takie naruszenia i wykorzystać wojsko w zwalczaniu takich zagrożeń.

Czy my w ogóle mamy sprzęt, który pozwala na zestrzeliwanie takich rakiet?

Z nowszych rozwiązań od roku posiadamy dwa zestawy po trzy wyrzutnie wprowadzone w ramach projektu Mała Narew. To rozwiązanie pomostowe, trochę ratowanie sytuacji sprzętowej. Jest to połączenie nowych polskich radarów z brytyjską rakietą CAMM o zasięgu około 20 km. Jeśli znamy miejsca ryzyka dziś – a wszystkie takie incydenty przy granicy zdarzają się w województwie lubelskim – to można takie zestawy tak umieścić, aby mieć szansę na skuteczną reakcję.

To najnowocześniejszy nasz sprzęt. W trakcie wprowadzania mamy jeszcze zestawy Patriot. Byłbym jednak ostrożny ze stwierdzaniem, czy one są już gotowe do operacyjnego działania.

Oprócz tego mamy oczywiście jeszcze stare systemy. Są archaiczne. Istnieje nawet ryzyko, że rakiety, które do nich kupowaliśmy w czasach PRL, mogłyby nie zadziałać.

eprasa.pl 82443a69e0

Wyobraźmy sobie, że musielibyśmy się dziś tak bronić jak Ukraińcy. Kijów zestrzeliwuje rakiety lecące na miasto. Ma sprzęt z całego świata do tego. A gdyby rakiety leciały na Warszawę? Co mamy na obronę?

Warto zaznaczyć, że nim dotarł sprzęt zachodni na Ukrainę, to przed lutym 2022 r. miała ona dużo bardziej rozbudowaną obronę powietrzną, nawet nowsze sowieckie systemy niż to, co posiada czy do niedawna posiadało Wojsko Polskie.

Gdyby zaatakowano Polskę z powietrza, byłoby źle. Kilkanaście naszych dywizjonów odpowiadających za obronę powietrzną terytorium Polski, infrastruktury krytycznej, jest dziś bardzo przestarzałych. Mieliśmy w sumie ok. 20 zestawów rakietowych. To głównie Newa SC, zmodernizowana 20 lat temu. Każdy z nich może zwalczać zaledwie jeden cel…

Tymczasem pierwszym celem w wojnie jest zwykle obrona powietrzna przeciwnika. Proszę więc sobie wyobrazić, że te rozrzucone zestawy rakietowe atakuje kilka rakiet jednocześnie albo kilka samolotów. Taki zestaw nie jest w stanie się obronić. Bo może zwalczać jednocześnie tylko jednego przeciwnika. Jak odpali rakiety i nimi pokieruje, to może dopiero zwalczać następny cel. Przełamanie takiej obrony to kwestia wyłącznie dobrej koordynacji u napastnika.

Owszem, mamy bardzo dobry program odbudowy obrony powietrznej. Od krótkiego zasięgu z systemami Piorun i Grom. Poziom wyżej to Pilica, system, który po wybuchu wojny na Ukrainie został rozbudowany do ponad 20 baterii, ale to początkowy etap dostaw. Jeszcze poziom wyżej to system Narew. Ma ich być też ponad 20 baterii, ale na razie jest sześć wyrzutni osadzonych na Jelczu w ramach wspomnianej Małej Narwi. No i najwyższy poziom to projekt Wisła, w którym zamówiliśmy dwie baterie patriotów i je właśnie wdrażamy. Niedawno podpisaliśmy umowę na następnych sześć. I za kilka lat będą.

Podsumowując: polska obrona powietrzna ok. 2030 r. będzie nowoczesna. Ale dziś, bez sojuszników z NATO, w razie ataku bylibyśmy w bardzo złej sytuacji.

Drony na początku ukraińskiej wojny wydawały się nawet przełomową technologią. Dziś wiadomo, że nią nie są, ale są wciąż są istotnym ogniwem na polu walki. Ile mamy dronów w polskiej armii i jakich?

Podobnie jak Ukraińcy przez lata lekceważyliśmy temat powietrznych bezzałogowców. Zamawialiśmy po kilka zestawów, każdy po kilka maszyn – lekkich statków powietrznych, startujących z ręki. To są akurat polskie rozwiązania grupy WB o nazwie FLYEYE. Dziś widzimy, w jak dużej skali Ukraina zamawia te polskie drony.

Kupiliśmy też dla polskiej armii dwa lata temu 24 tureckie bayraktary. Akurat w sprawie tych dużych dronów trwa obecnie dyskusja, jak one rzeczywiście są przydatne. One były widoczne na początku konfliktu, dziś już ich tak nie widać. To łatwy cel. Nasze 24 sztuki mogą być przydatne, ale chyba bardziej w czasie kryzysu, mogą taniej i lepiej patrolować np. rejony przygraniczne.

Średnio rocznie polska armia kupowała tyle amunicji, ile Ukraińcy zużywają jednego dnia

Grupa WB zbudowała cały system. Operator na ziemi może mieć w dyspozycji rój małych dronów, a jak one wykryją przeciwnika, to można kierować na niego takiego drona kamikadze. Te drony WARMATE też trafiły do polskiej armii, ale jest ich niedużo, wykorzystywane są również z powodzeniem na Ukrainie.

Polski przemysł państwowy prowadzi też program Orlik z budową drona mniejszego niż Bayraktar, a większego niż FLYEYE. Ale od lat mamy tylko zapowiedź jego produkcji.

Patrząc na Ukrainę i Rosję, widzimy, że jest duża dronizacja armii. Natomiast w polskiej armii jest to ciągle skala minimalna. Szczególnie brakuje bezzałogowców bardzo małych, takich, których jest najwięcej w wojnie rosyjsko-ukraińskiej.

Rosjanie w trakcie konfliktu zrozumieli, że potrzebne są w armii systemy, które zwalczają drony – zagłuszają sygnał, nie pozwalają im latać. Czy takie systemy w polskiej armii mamy?

Nowoczesnych brakuje. Od kilku lat słyszę różne kryptonimy programów tego dotyczących. W zasadzie niewiele udało się nowego wprowadzić. Nasza walka radioelektroniczna – zakłócanie łączności czy dronów przeciwnika – jest chyba na jeszcze niższym poziomie niż wyposażenie wojska w drony. Wobec potrzeb funkcjonuje w szczątkowym zakresie.

To obszar wrażliwy, wojsko nie chwali się tym, co w tym zakresie robi. Natomiast z ogólnego oglądu można wnioskować, że nie ma u nas dużych systemów do walki radioelektronicznej, mających duże zasięgi pracy i tym samym siłę zakłócania. Mimo wielu deklaracji to obszar mocno zapóźniony w naszej armii.

Konflikt za granicą pokazuje też nam wagę lotnictwa. Ile my dziś moglibyśmy poderwać samolotów, gdyby wojna dotknęła i nas?

Nie jest zaskoczeniem, że rdzeń naszego lotnictwa bojowego stanowią samoloty F-16. Na dziś w zasadzie tylko one. Zamówiliśmy F-35, ale ich wdrożenie to kwestia kilku lat.

Formalnie mamy 48 samolotów F-16. Oprócz tego mamy jedną eskadrę wiekowych samolotów Su-22. Te ostatnie to samoloty bombowo-szturmowe, które w konflikcie ukraińsko-rosyjskim nie są wcale wykorzystywane. Ta maszyna służy głównie temu, żeby istniała jednostka, a piloci pozostający w służbie mogli przejść na nowe maszyny.

Po dostawach na Ukrainę własnych migów-29 została nam jedna eskadra, czyli kilkanaście maszyn. W tym sprawnych i latających jest na pewno mniej.

Mamy program kupowania lekkiego południowokoreańskiego samolotu bojowego FA-50. Na razie wdrożona ich wersja, czyli 12 maszyn, nadaje się bardziej do szkolenia niż walki. Może jakieś polowanie na drony typu Shahed mogłyby wykonać, ale nie są to samoloty do poruszania się w strefie rażenia przeciwnika.

Czyli mamy ostatecznie 48 samolotów. Za dobrą gotowość bojową uznaje się 75 proc. stanu. Bo zawsze jest tak, że część przechodzi przeglądy itd. Jednostkowo jak dobrze pójdzie, to 36 mogłoby wystartować w razie wojny. Tylko taka operacja powietrzna to są cykle. Zatem w jednym czasie część maszyn np. patroluje rejon Warszawy, część przechodzi przywracanie zdolności bojowej na lotnisku, a część wraca do bazy z misji. Czyli

eprasa.pl 82443a69e0

jak dobrze pójdzie, jesteśmy w stanie wysłać w powietrze kilkanaście maszyn. I one mają też ograniczenia. Bo nie mamy maszyn do tankowania ich w powietrzu.

Wkrótce będzie za to lepiej z rozpoznaniem z powietrza. Kupiliśmy w trybie alarmowym dwa używane samoloty od Szwecji – latające radary.

Zakładam, że ze śmigłowcami nie wyglądamy lepiej...

Gdy front jest pozycyjny, tak jak obecnie na Ukrainie, to rola śmigłowców jest ograniczona. Ogólnie krytycznie podchodzi się do udziału śmigłowców w tej wojnie, ale warto zauważyć, że rosyjskie maszyny szturmowe Kamowa całkiem dobrze spisały się w odpieraniu ukraińskiej ofensywy.

Jest więc miejsce na apache, ale najpierw trzeba je kupić i potem wdrożyć. To znów zajmie lata. Dziś mamy śmigłowce poradzieckie kupione na przełomie lat 70. i 80., czyli Mi-24, do których już od lat nie mamy żadnych kierowanych rakiet. Służą nam raczej do tego, żeby pokazać żołnierzowi na poligonie, jak wygląda uzbrojony śmigłowiec.

Mamy oczywiście śmigłowce transportowe, w tym sporo polskich sokołów w kawalerii powietrznej. Kupiliśmy też włoskie AW149, ale jesteśmy na początkowym etapie ich dostaw, Wojska Specjalne otrzymują łącznie osiem black hawków.

Zejdźmy na ziemię i porozmawiajmy o czołgach. Mamy mieć amerykańskie, ale obecnie dysponujemy tylko niemieckimi leopardami oraz starym sowieckim sprzętem.

Armia amerykańska ma jeden czołg Abrams. I koniec. To przekłada się na wszystko – od logistyki do opracowania kolejnych modernizacji.

My w przypadku czołgów mamy ogromny miszmasz sprzętowy. Mamy zatem ze cztery wersje czołgów Leopard 2. Kupiliśmy dwie wersje abramsów. Kupiliśmy czołg koreański K2, a docelowo będzie jeszcze inna, bardziej spolonizowana jego wersja. Posiadamy cały czas zmodernizowane T-72, czyli czołgi PT-91 Twardy. No i w końcu posiadamy wciąż, choć mało, bo wiele pojechało na Ukrainę, wiekowe czołgi T-72.

Na 600 czołgów mamy trzy–cztery różne wersje i jeszcze kilka podwersji. Wojskowi logistycy pytają, jak w czasie wojny zapewnić ich funkcjonowanie. Jedna dywizja ma takie czołgi, druga inne. A jak pojawi się taka potrzeba i wymienią się pododdziałami, to technicy jednej dywizji wyszkoleni do napraw np. leopardów nie naprawią innych. Co gorsza, nie zapowiada się, że to zostanie uporządkowane w kolejnych latach.

Z czołgami współpracują bojowe wozy piechoty. To konstrukcja z lat 60., prawie niezmieniona. Najmłodsze u nas mają 40 lat. Wojsko na siłę przedłuża możliwość ich użytkowania. Mamy projekt polskiego BWP Borsuk, który latami testujemy, a nie wdrażamy.

Z artylerią doszliśmy do takiego momentu, że największym użytkownikiem rodzimych armatohaubic Krab jest Ukraina, nie polskie wojsko. Są dostawy koreańskich haubic K9, co trochę dziś ratuje sytuację. Kupiliśmy z kolei dużo, bo ponad 200, koreańskich wyrzutni Chunmoo, ale też mamy początek ich dostaw.

Przed Rosją powinniśmy bronić się nie tylko z lądu, lecz także z morza. Przez 18 lat zbudowaliśmy jedną korwetę. Wyszedł z niej ostatecznie patrolowiec. Jaki jest stan naszej floty?

Nasza marynarka mówi, że wyspecjalizowała się w NATO w zwalczaniu min. Mamy kilkanaście takich okrętów i one faktycznie tworzą dużą część floty.

Dwie nasze fregaty mają blisko 50 lat, jedna z nich grała w filmie „Polowanie na »Czerwony Październik«", który premierę miał w 1990 r. Rakiety kierowane, które te fregaty posiadały, już od lat nie mają wsparcia producenta. Można powiedzieć, że nasze dwa okręty nie posiadają uzbrojenia rakietowego.

Flota podwodna w zasadzie nie istnieje. Został nam jeden ORP „Orzeł", okręt jeszcze sowiecki, kupiony w latach 80. ubiegłego wieku. Więcej mamy problemów z utrzymaniem go w służbie i zapewnieniem bezpieczeństwa niż pożytku operacyjnego.

Pozostała część to wspomniane jednostki przeciwminowe. Polska uruchomiła program niszczycieli min Kormoran II. Trzy takie jednostki są w służbie, kolejne trzy są budowane. To nowoczesny standard.

Nie można oczywiście zapominać, że mamy też program fregat rakietowych Miecznik. Powstaną trzy takie fregaty. Jednak w rękach marynarzy, bo nawet nie jestem przekonany, czy w służbie, pierwsza pojawić ma się w 2029 r., druga w 2030 r., a trzecia w 2031 r.

Nawet tymi skromnymi zasobami, które mamy, trzeba strzelać jakąś amunicją. Gdybyśmy musieli zacząć wojnę, jak szybko skończyłaby się amunicja, którą mamy w magazynach?

Obawiam się, że nasze magazyny amunicyjne dziś świecą pustkami. Powody są dwa. Hojnie wspieraliśmy Ukrainę, zwłaszcza w 2022 r. Uznawaliśmy, że lepiej, iż nasza broń jest w rękach ukraińskich żołnierzy, przynajmniej nie cierpią nasi żołnierze i nasi obywatele. Są różne głosy, jedni uważają, że oddaliśmy za dużo, inni – że dajemy za mało. W to nie chcę wchodzić.

Drugi powód pustych magazynów jest taki, że przez lata zamawialiśmy bardzo mało amunicji. Przez kilka lat łącznie dla naszych krabów zakupiliśmy nieco ponad 40 tys. pocisków kal. 155 mm. Średnio rocznie nasza armia kupowała tyle amunicji, ile Ukraińcy na wojnie zużywają jednego dnia – i ciągle przecież narzekają, że mają jej za mało.

Mam żal do polskich polityków. Bo Krym, Donbas i kryzys na Wschodzie są od dekady. A nasz przemysł produkował mało, bo mało zamawiało wojsko. Teraz nagle wojsko alarmuje, że amunicji nie ma, a my dopiero chcemy zbudować zdolności do jej produkcji. Obawiam się, że skończy się zakupami za granicą. To nie jest dobre. Weźmy taką ostatnią decyzję już nowej ekipy w MON o zakupie dla polskiej armii 6 tys. szwedzkich granatników przeciwpancernych Carl-Gustaf i kilkuset tysięcy pocisków do nich. Nikt nie pomyślał o polskim przemyśle, cała produkcja ma się odbywać w Szwecji. To proszę się zastanowić, gdy wybuchnie wojna w rejonie Morza Bałtyckiego, to kogo pierwszego zaopatrzy ten producent? Moim zdaniem szwedzką armię, która też teraz szybko musi odbudowywać swoje zdolności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Mariusz Cielma – redaktor naczelny „Nowej Techniki Wojskowej".

eprasa.pl 82443a69e0

Unijczycy chcą armii

Jan Fiedorczuk

Wbrew zapewnieniom samych unijnych decydentów europejska armia nie jest jedynie utopijnym pomysłem odkładanym na odległą przyszłość. To realny projekt, który jest realizowany już teraz. Unijne siły zbrojne nie zapewnią nam jednak bezpieczeństwa, ale przeciwnie: ograniczą polską suwerenność, decyzyjność władz i osłabią nasz potencjał obronny

W kwestii unijnej armii powtarzane są trzy fundamentalne kłamstwa: po pierwsze, że to jedynie abstrakcyjne rozważania bez szans na realne urzeczywistnienie; po drugie, że gdyby nawet taka armia powstała, to Polska byłaby jej największym beneficjentem; po trzecie, że w związku z opłakanym stanem armii państw członkowskich wojsko europejskie byłoby podporą i zarazem dopełnieniem NATO.

Idea militaryzacji Europy jest obecna w unijnym mainstreamie od dekad, a poparcie dla niej wyrażało na przestrzeni lat szerokie gremium – od grupy, którą kiedyś ochrzciłem na łamach „Do Rzeczy" mianem „unijczyków", aż do polityków konserwatywnych; od Jeana-Claude'a Junckera i Emmanuela Macrona aż do Viktora Orbána i Jarosława Kaczyńskiego.

Pierwsze pomysły dotyczące powołania europejskiej armii sięgają już lat 50. XX w. i koncepcji Europejskiej Wspólnoty Obronnej. Co warte podkreślenia, idea EWO była nierozerwalnie złączona z zamiarem powołania Europejskiej Wspólnoty Politycznej, czyli scentralizowanej Unii, która posiadałaby dwuizbowy parlament, europejskiego prezydenta oraz rząd. Projekt europejskiej obronności był zatem od początku zaprzęgnięty w szerszą koncepcję stworzenia superpaństwa. W latach 50. nie udało się tego osiągnąć ze względu na opór Francji, jednak co jakiś czas idea powracała do europejskiej dysputy. Ostatecznie w 2004 r. otrzymaliśmy Grupy Bojowe Unii Europejskiej, które, chociaż liczebnie niewielkie, stanowiły realny krok w stronę europejskich sił zbrojnych. W 2016 r. powołano natomiast Globalną Strategię UE na temat obronności, co zbiegło się z głośnym wystąpieniem ówczesnego szefa KE, Jeana-Claude'a Junckera, który przekonywał o konieczności powołania armii europejskiej. Pomysł w ostatnich latach wspierały całkiem otwarcie Francja, Niemcy, Włochy, Hiszpania, a nawet Węgry. W 2017 r. utworzono Europejski Fundusz Obronny oraz powołano Komórkę Planowania i Prowadzenia Operacji Wojskowych. Natomiast w 2021 r. 14 państw członkowskich zaproponowało powołanie wspólnych europejskich sił wojskowych.

Temat powrócił w związku z wojną na Ukrainie. W styczniu szef włoskiego MSZ, Antonio Tajani, całkiem otwarcie nawoływał do powołania unijnej armii. Podobnie mówił Guy Verhofstadt, który stwierdził, że europejskie siły zbrojne są jedyną odpowiedzią na stanowisko Donalda Trumpa wobec NATO. Również premier Donald Tusk podczas niedawnego spotkania w Morągu niedwuznacznie sugerował konieczność powołania unijnej armii. – Unia nie może być gigantem gospodarczym i cywilizacyjnym i karłem w kwestii obronności, bo świat się zmienił – deklarował szef rządu. Te wypowiedzi nie są żadnym ewenementem, a raczej wpisują się w europejski mainstream, który zgadza się co do ogólnej konstatacji, że europejska armia powinna powstać, a dyskusja ma dotyczyć jedynie tego, kiedy to nastąpi (takie rozwiązania otwarcie poparli zarówno Olaf Scholz, jak i Emmanuel Macron).

MILITARYZACJA UNII

22 listopada 2023 r. Parlament Europejski za pomocą przyjętej rezolucji zainicjował proces zmiany traktatów UE. W preambule dokumentu mamy wprost odwołanie do Manifestu z Ventotene Altiera Spinellego, w którym to tekście włoski komunista domagał się stworzenia europejskiego państwa federalnego „dysponującego europejską armią w miejsce wojsk narodowych". Parlament Europejski optuje za tym, aby bezpieczeństwo zewnętrzne i obronność, a także polityka zagraniczna zostały przeniesione do kompetencji dzielonych Unii Europejskiej. W rezolucji wskazano również konieczność ustanowienia Unii Obronnej, w ramach której będą powołane wojskowe jednostki oraz stworzony zostanie specjalny budżet przeznaczony na wspólne zamówienia uzbrojeń. Poprawka 52. do unijnych traktatów głosi, że jednostki mają bezpośrednio podlegać kierownictwu UE, a zamówienia byłyby składane „w imieniu państw członkowskich".

Najbardziej doniośle brzmią jednak poprawki o numerach 53 i 54. Ta pierwsza bowiem głosi, że „decyzje dotyczące wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony są przyjmowane przez Radę stanowiącą większością kwalifikowaną", a druga precyzuje, że „rozpoczęcie misji wojskowych następować będzie na podstawie decyzji podjętej więk-

eprasa.pl 82443a69e0

szością kwalifikowaną". Proponowane zmiany mają zatem charakter rewolucyjny, gdyż wprost zakładają zniesienie zasady jednomyślności w sferze polityki zagranicznej, a chodzi wszak o fundamentalną zasadę weta, która jest jednym z ostatnich bezpieczników i gwarantów suwerenności państw członkowskich. Na marginesie warto zauważyć, że ten proces odbywa się już teraz, tylko że na drodze pozatraktatowej, czego przykład widzieliśmy niedawno, gdy Węgry zostały zmuszone szantażem do cofnięcia swojego weta w sprawie pomocy finansowej dla Ukrainy. „Financial Times" opisywał strategię KE, która planowała uderzyć w kurs forinta i doprowadzić do załamania nastrojów inwestorów oraz jak najdotkliwiej zaszkodzić rynkowi pracy i wzrostowi gospodarczemu Węgier.

Wróćmy jednak do rezolucji PE – skoro to unijne kierownictwo ma stanowić o kształcie europejskiej polityki bezpieczeństwa oraz o rozpoczęciu misji wojskowych, to pod znakiem zapytania staje sama decyzyjność polskiego dowództwa wojskowego. Niedawno wyszedł raport Instytutu Ordo Iuris na temat proponowanych zmian w UE; w ramach tej analizy Michał Nowak (z redakcji Nowego Ładu) pisał następująco: „Nowa unijna koncepcja obrony i wspólnej armii w istocie oznaczać będzie rozbrojenie państw członkowskich, sparaliżowanie możliwości ich obrony, uzależnienie ich obrony od postawy najważniejszych państw UE, brak kontroli nad obroną własnego terytorium, jak i nad własną armią, a w dalszej perspektywie jej likwidację". Faktycznie należy postawić pytanie: Komu przypadnie militarny prymat – Warszawie czy Brukseli? Sprawa jest niejasna i już choćby sam ten fakt jest alarmujący, gdyż w razie konieczności użycia wojska sam proces decyzyjny powinien być maksymalnie prosty i przejrzysty. Weźmy przykład z ostatnich dni. Na unijnych salonach zaczęto rozważać możliwość wysłania na Ukrainę żołnierzy państw NATO, aczkolwiek zapewne bez parasola ochronnego sojuszu. Taki scenariusz oznaczałby dobrowolne wejście do wojny oraz uczynienie z Polski i państw bałtyckich bezpośrednio zagrożonych rosyjskim odwetem. Gdyby jednak armia unijna istniała już dzisiaj i dostała z Brukseli rozkaz wejścia na

Ukrainę, to Polska nie miałaby już nic do powiedzenia. Z punktu widzenia takich państw jak Portugalia czy Hiszpania wspólna unijna armia być może posiada pewne walory, jednak z punktu widzenia Polski jest to bardzo niebezpieczny projekt, który sprowadza państwa członkowskie do roli przedmiotu, a nie podmiotu polityki międzynarodowej.

Uderzające jest również, że plany Parlamentu Europejskiego właściwie nie odbiły się żadnym echem w mediach. To bardzo znamienne, gdyż armia europejska jest nadal oceniana jako pewien abstrakcyjny zamysł, utopijne marzenie grupy fantastów. Rezolucja europarlamentu dowodzi, że pomysł wspólnej armii, która miałaby przejąć prymat nad wojskami narodowymi (dokładnie tak samo, jak unijne prawo ma posiadać prymat nad krajowym), jest jak najbardziej realną koncepcją, której realizacja jest już w trakcie.

EKOUNIA Z EKOARMIĄ

Max Weber definiował państwo jako organizację posiadającą „prawo monopolu na wywieranie prawomocnej przemocy fizycznej". Aby jednak móc stosować „prawomocną przemoc", państwo musi posiadać swoje służby – sądy, policję i wojsko. Unijne elity od lat sukcesywnie zmierzają w kierunku budowy paneuropejskiego mocarstwa, nadal jednak brakuje im tego Weberowskiego monopolu na przemoc. Powołanie unijnej armii byłoby pierwszym krokiem w tym kierunku. Oficjalnym powodem jest zagrożenie zewnętrzne, realne – i dlatego tak skutecznie działające na wyobraź-

eprasa.pl 82443a69e0

FOT. ADOBE STOCK

nię, ale przecież w ramach konieczności armia, gdy już zostanie powołana, będzie stosowana również przy problemach wewnętrznych Europy. Te drobne, „lokalne" wykroczenia i przestępstwa nadal będą, niejako na zasadzie subsydiarności, ścigane przez funkcjonariuszy państw członkowskich, to oczywiste. Rolą „policji" unijnej nie będzie ściganie przestępców, tylko pilnowanie porządku wewnątrz samej UE. Armia europejska idealnie się nadaje, aby rozpocząć to przedsięwzięcie.

Postulat powołania unijnej armii jest zatem w rzeczywistości narzędziem do centralizacji UE w jedno państwo – jest powtórzeniem próby z lat 50. XX w. Aczkolwiek tym razem unijne elity wyciągnęły lekcję i nie pytają samych narodów o zdanie w tej sprawie. Aby jednak taka armia mogła powstać, aby Unia mogła składać zamówienia „w imieniu państw członkowskich", konieczny jest nowy budżet, a zatem kolejne podatki ogólnoeuropejskie oraz – zapewne – kolejne wspólnotowe zadłużenie Europy. Kredyt wiąże małżeństwa mocniej niż cokolwiek innego na świecie i dokładnie na tej zasadzie Bruksela chce powiązać ze sobą wszystkie państwa. Już nie tylko wyjście z Unii ma być nieopłacalne, lecz także prowadzenie suwerennej polityki w ramach UE stanie się niemożliwe.

Warto zwrócić uwagę, że Unia Europejska chce obecnie wprowadzić trzy nowe podatki: chce pobierać 25 proc. przychodów z handlu emisjami CO_2, wprowadzić podatek od śladu węglowego i daninę od zysków korporacji ponadnarodowych. Zwolennicy dalszej integracji argumentują za centralizacją, przekonując, że świat „ucieka" Europie, ale jednocześnie te same osoby forsują samobójczą dla europejskich gospodarek ideę Zielonego Ładu i ekorewolucji. Jakby sytuacja nie była dość absurdalna, sekretariat generalny Rady Unii Europejskiej zlecił w ostatnim czasie analizę idei powołania „ekologicznej armii". Nie wiadomo, jak miałaby taka ekoarmia wyglądać, skoro siły zbrojne są niemal ze swej istoty nieekologiczne, a sprzęt, który jest produkowany obecnie, będzie w obiegu jeszcze przez całe dekady, ale niewątpliwie pionierzy ekologicznych gospodarek, którzy odrzucają paliwa kopalne, będą również pionierami tych przemian i to przemysł tych państw – a nie np. polski – będzie otrzymywać europejskie zlecenia zbrojeniowe.

DEAMERYKANIZACJA EUROPY

Wiemy już, że unijna armia nie jest abstrakcyjnym mirażem, i wiemy, że nie jest korzystna dla Polski. Teraz przejdźmy do kłamstwa numer trzy, jakoby unijne wojsko nie było konkurencją wobec NATO. Przypomnijmy tutaj znamienną wypowiedź Emmanuela Macrona sprzed kilku lat, który stwierdził, że europejska armia powinna być zdolna obronić UE przed Rosją, Chinami czy… USA. Europejscy liderzy zarzekają się, że jakiekolwiek pomysły dotyczące obronności Europy nie mają być wymierzone w NATO, a jedynie być dopełnieniem sojuszu. Prawda jest jednak całkowicie odwrotna. Ewentualne zwycięstwo Donalda Trumpa w USA będzie dla europejskich liberałów doskonałym pretekstem do zerwania obecnego partnerstwa z Waszyngtonem i pójściem w stronę budowy paneuropejskiego imperium. NATO nikt oczywiście nie zlikwiduje, jednak w obliczu sformowania armii europejskiej sojusz z USA będzie coraz bardziej rachityczny. Sam współsprawozdawca pakietu poprawek traktatowych Helmut Scholz stwierdził otwarcie, że europejska armia miałaby doprowadzić do „uniezależnienia się od NATO". Europoseł jednak wyraził wyłącznie to, co znaczna część europejskich polityków mówi w nieco bardziej zawoalowany sposób, podkreślając, że Europa sama musi zapewnić sobie bezpieczeństwo, że nie może polegać wyłącznie na USA etc. NATO jednak bez USA nie istnieje, a projekt unijnej armii jest niczym innym, jak zakamuflowaną formą deamerykanizacji Europy i budowy hegemonii triumwiratu Berlin-Paryż-Bruksela.

Postulat powołania unijnej armii jest w rzeczywistości narzędziem do centralizacji UE w jedno państwo

Pisałem głównie o praktycznych wątpliwościach i konsekwencjach, które dla Polski niosłoby stworzenie europejskiego wojska, jednak warto też patrzeć na ten projekt z szerszej perspektywy, mając na uwadze zmiany, które się dokonują na naszych oczach – wspólnego zadłużenia państw członkowskich, wypchnięcia USA z Europy, wdrażania Zielonego Ładu i głębokich zmian gospodarczych, ustanowienia prymatu prawa unijnego nad krajowym, powiązanej z tym rewolucji kulturowej, redefinicji podstawowych pojęć, takich jak „rodzina", „małżeństwo", „wolność", i związanych z tym prób budowania nowego człowieka europejskiego etc.

Mówiąc wprost, europejska armia wpisuje się w szerszy plan unijczyków, którzy chcą stworzyć nową, zglajchszaltowaną Europę postnarodową. Unijna armia to jedynie preludium do unijnego imperium.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

Służby przed domem Zbigniewa Ziobry w Jeruzalu FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Włam u Ziobrów

eprasa.pl 82443a69e0

Rafał A. Ziemkiewicz

Takimi akcjami jak najazd na dom byłego ministra sprawiedliwości Tusk prócz zaspokojenia żądzy zemsty swoich wyznawców osiąga też inny cel: utwierdza pozycję jedynego przywódcy w swoim obozie

Przedświąteczne najście służb na dom Zbigniewa Ziobry wejdzie zapewne do klasyki kombinowanych operacji medialno-policyjnych, których w 30-letnich dziejach III RP można naliczyć sporo, począwszy od aresztowania przed kamerami telewizyjnymi za rządu Hanny Suchockiej szefa klubu parlamentarnego Porozumienia Centrum, Wojciecha Dobrzyńskiego.

Do najbardziej spektakularnych pokazówek tego typu należało zatrzymanie prezesa Orlenu, Andrzeja Modrzejewskiego, w przededniu kluczowego dla losów firmy posiedzenia zarządu spółki (Zbigniew Siemiątkowski, ówczesny szef UOP, został po 11 latach skazany za to na rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata – kara niezbyt dolegliwa, ale warta odnotowania o tyle, że był to bodaj jedyny we wspomnianym trzydziestoleciu wypadek wymierzenia sprawiedliwości politykowi, który nadużył władzy).

Superspektaklem – i chyba nieprzekraczalną klasyką gatunku „pokazowe aresztowanie, ciche uniewinnienie" – pozostanie spektakularne zdjęcie przez komandosów desantowanych z helikoptera marynarki wojennej z pokładu płynącego do Szwecji promu Zbigniewa Farmusa, doradcy Romualda Szeremietiewa, fałszywie oskarżonego o korupcję przy zakupie broni – jak dziś się zdaje po to, by przez skompromitowanie i odsunięcie Szeremietiewa umożliwić prawdziwy korupcyjny deal, który uczciwy wiceminister blokował. Pomijając, że Farmusa w ogóle nie było powodu aresztować, można było zrobić to bez najmniejszego problemu w wielu innych miejscach wcześniej lub później, także w Szwecji – będącej przecież w UE i związaną z Polską stosownymi umowami – ale organizatorzy operacji wyczekali, aż znajdzie się on na promie, by urządzić cyrk, którym przez długi czas żyła cała Polska.

PODEPTANIE PRAWA

Włamanie do domu byłego ministra pod nieobecność jego mieszkańców nie przebiło tamtego widowiska, choć – jak zauważył mecenas Bartosz Lewandowski – do pełnego „wypasu" zabrakło tylko odpalenia granatów hukowych. Od poprzednich takich spektakli różni je jednak demonstracyjne podeptanie prawa. Nakaz przeszukania wydali bezprawnie nominowani prokuratorzy, zignorowano immunitet poselski ministra, włamania dokonano w tajemnicy przed nim i jego żoną, wybierając taki moment, żeby funkcjonariusze mogli przez kilka godzin buszować po posesji bez żadnych świadków etc.

Szczególnie charakterystycznym elementem „zdobycia fortecy Ziobry" (jak nazwała przeszukanie prorządowa gazeta) było pozaklejanie przez „zdobywców" kamer domowego monitoringu. Zdaje się to wskazywać, że poza politycznym spektaklem celem włamania przez ABW było zdobycie czegoś, co być może, zdaniem zlecających akcję, miało być ukrywane w domu byłego ministra, czegoś potrzebnego im, ale bynajmniej nie do oficjalnego procesu i oskarżenia – gdyż tak zdobyty dowód zbyt łatwo byłoby obalić jako podrzucony przez funkcjonariuszy. Właśnie dlatego procedura nakazuje obecność przy rewizji świadka i nawet PRL-owska bezpieka, ba, nawet stalinowskie NKWD zawsze tego przestrzegały (zwykle pełnił tę rolę wyciągany z łóżka dozorca budynku, czasem przewodniczący rady mieszkańców). Raczej więc szukano u Ziobry czegoś w rodzaju kiszczakowego pawlacza z teczką „Bolka". Komentatorzy spekulowali tu o jakichś nielegalnie zdobytych materiałach z Pegasusa, na których Tusk chce szybko położyć rękę – czy to, by uniemożliwić ich publikację, czy też, by samemu szantażować podsłuchanych… To jednak tylko domniemania – choć być może w czasach, gdy autorytety prawnicze tej miary co prof. Marek Safian zachęcają, by w ramach odrzucenia „prawniczego formalizmu" rząd domniemał sobie brakujący pod ustawą podpis prezydenta; również do publikowania domniemań przez dziennikarzy powinniśmy zmienić podejście.

Inna rzecz, czy minister, który przecież musiał zdawać sobie sprawę, że prędzej czy później będzie miał w domu „kipisz", choć zapewne nie przewidział skali bezprawia, które się przy tej okazji dokona, trzymałby w domu cokolwiek „trefnego". Może więc oślepienie monitoringu na czas buszowania po domu przez funkcjonariuszy służyć miało, przeciwnie, zatarciu śladów podrzucania przez nich czegoś Ziobrze?

TUSK JAKO GANGUS

Trudno tu napisać cokolwiek pewnego, wróćmy więc do polityczno-medialnych aspektów „zdobycia fortecy". Krótko po nim rozpowszechniony został w sieci mem, na którym Tusk przedstawiony jest jako karykaturalny „gangus", z groźną miną i przełożonym przez muskularne ramię bejzbolem ozdobionym partyjnym serduszkiem Koalicji Obywatelskiej. Wbrew jednak temu, czego można by się spodziewać, mem ten rozpowszechnili nie oburzeni zwolennicy PiS i Suwerennej Polski, ale zachwyceni akcją #SilniRazem i najbardziej fanatyczni szalikowcy obozu rządzącego, w rodzaju np. znanego z prowokacji pod ponikiem smoleńskim Arkadiusza Szczurka. Obraz Tuska jako bandyty „z miasta", wymuszającego posłuch pałą, nie był karykaturą i szyderstwem przeciwników – ale ikoną, świętym obrazkiem wodza, stworzonym i szerowanym przez jego wyznawców. To chyba najbardziej wymowne wyjaśnienie sensu pokazówki, jakie można sobie wyobrazić.

Tusk wie, że jego zwolennicy potrzebują odreagować osiem lat frustracji i oczekują od niego spektakularnej zemsty, srożenia się, deptania pokonanych przeciwników, z góry akceptując sięganie przy tym nawet po najbardziej bezprawne sposoby ich prześladowania. Wie też, że dopóki prześladowania te ograniczać się będą do rozliczeń „na górze", w gronie ludzi ze szczytów poprzedniej władzy, dopóty dla wyborców centrowych pozostaną jakąś niedotyczącą ich wojną gangów i zostaną zignorowane, tak jak żadnych odruchów społecznego oburzenia nie wzbudzało zdemaskowanie nadużyć przypomnianych na wstępie tego tekstu.

Choć tu akurat Ziobro okazał się twardszym zawodnikiem, niż Tusk się zapew-

eprasa.pl 82443a69e0

ne spodziewał – jego nagłe pojawienie się pod demolowanym domem, widok człowieka ciężko schorowanego, wynędzniałego, z widocznymi jeszcze śladami przebytej operacji, stawiającego mimo to odważnie czoła prześladowcom, rozbił budowaną przez media Tuska i jego działaczy partyjnych narrację o „sprawiedliwości", w której wymierzaniu „nie ma wyjątków".

Z godziny na godzinę musiała prorządowa propaganda dokonać zwrotu o 180 stopni – dotychczas potępiała Ziobrę za to, że „ukrywa się, symulując chorobę", w chwili, gdy się pokazał, publicznie udowadniając przy okazji, że o żadnym symulowaniu mowy nie ma, oskarżony został, że „próbuje brać ludzi na litość", i spadła na niego lawina pouczeń, że jak się jest chorym, to należy leżeć w szpitalu, a nie brylować przed kamerami. W „żelaznych" elektoratach niczego to nie zmieniło, ale jakaś część „niepolitycznej" publiczności może tej gwałtownej zmiany propagandowej linii nie zrozumieć i nie usprawiedliwić.

Oprócz zaspokojenia żądzy zemsty swoich wyznawców i skonsolidowania ich wokół siebie osiąga Tusk inne cele. We własnym obozie utwierdza pozycję jedynego zdecydowanego przywódcy. Hołownia jest coraz bardziej tylko od robienia słodkich min i coraz nudniejszego show, z czego pozwala już sobie kpić nawet Springerowski „Newsweek"; Kosiniak-Kamysz, trapiony kolejnymi naruszeniami polskiej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie rakiety i serią tragedii na poligonach, coraz bardziej się ukrywa, a Czarzasty coraz bardziej nie kojarzy się z niczym poza feministkami wrzeszczącymi o aborcji. Na ich tle Tusk błyszczy sprawczością. I tym imponuje także elektoratowi „nieplemiennemu", który w demonstracyjnym łamaniu prawa skłonny jest widzieć przełamywanie dławiącej go „ogólnej niemożności wszystkiego", coś w rodzaju sławnego rozchlastania węzła gordyjskiego przez Aleksandra Macedońskiego.

Oczywiście ta akceptacja istnieje tylko do pewnego momentu – dopóty, dopóki „zwykły Polak" sam nie poczuje się bezprawiem zagrożony. Można ten proces prześledzić, analizując przegraną PiS w 2007 r. Hasło zwalczania korupcji i rozbijania „układu" niosło wtedy Kaczyńskich dopóty, dopóki elektorat postrzegał je jako walkę z bogaczami, oligarchami i politykami z pierwszych stron gazet. Kiedy PiS „przegrał" i okazało się, że w ramach „oczyszczania życia społecznego z patologii" podsłuchany i ukarany może zostać także lekarz i zwykły obywatel, który dał mu kopertę, czy kierowca, który dał policjantowi łapówkę, zamiast zapłacić mandat, ocena PiS-owskiej srogości odwróciła się diametralnie, a spoty z cyklu „mordo ty moja" i powtarzanie w nieskończoność w państwowej telewizji taśmy z hotelu Marriott, zamiast zapewnić wygraną, okazały się gwoździem do trumny. Tusk swoje oczyszczanie prowadzi w znacznie szybszym tempie, więc możliwe, że ten moment przestraszenia „zwykłych Polaków" przyjdzie w jego wypadku szybciej, ale na razie jest on jeszcze daleko przed nami.

„BRUDNA WSPÓLNOTA"

Kolejna korzyść, wielokrotnie już na tych łamach wskazywana, to coraz głębsze wciąganie koalicjantów i podwładnych w „brudną wspólnotę". Portal Onet nie zawsze bywa wiarygodny, ale akurat w podaną tam informację o wymuszaniu przez Tuska na wewnętrznych naradach posłuchu argumentem, że jak nie będą go wszyscy słuchać, to „PiS wróci do władzy i wszyscy w tej sali pójdą do więzienia", nie ma powodu nie wierzyć. Przypomina to sławne podpalenie przez Cezara mostu za atakującymi oddziałami, by pozbawione możliwości odwrotu biły się z większą zajadłością.

I wreszcie – polityka „pałą i uchwałą" konsoliduje także obóz PiS, a przez to konserwuje go w obecnym stanie. Nie jest ostatnią z ważnych dla najścia na Ziobrę okoliczności, że doszło do niego w chwili, gdy szeroko spekulowano o wyrzuceniu Suwerennej Polski ze Zjednoczonej Prawicy, nad czym dyskusję otworzyć miał podczas narady kierownictwa sam Kaczyński (pośrednio potwierdził zasadność tych spekulacji Przemysław Czarnek, oświadczając, że jeśli ziobryści zostaną wyrzuceni, to on też odejdzie). Inną kuluarową pogłoską było możliwe połączenie się pozbawionych przywódcy (powrót Ziobry do polityki w przewidywalnym czasie wydawał się – i mimo wspomnianego wymuszonego włamaniem wyjścia przed kamery nadal wydaje nieprawdopodobny) polityków Suwerennej Polski z Konfederacją, z którą łączy ich konsekwentna krytyka polityki zarówno poprzedniego, jak i obecnego rządu wobec Unii Europejskiej. Nie jest to wcale pomysł skazany na niepowodzenie; mógłby stanowić „nowe otwarcie" dla obu formacji, zwłaszcza gdyby Konfederacja pozbyła się wizerunkowego obciążenia, które coraz wyraźniej stanowią dla niej Grzegorz Braun i jego grupa. Ale ta operacja najwięcej sensu miałaby teraz, przed czerwcowymi wyborami do europarlamentu, a uderzenie w Ziobrę i wciągnięcie go z powrotem na scenę polityczną co najmniej ją odsuwa, jeśli jej nie uniemożliwia. Jednocześnie zaś polaryzuje konflikt plemienno-partyjny na płaszczyźnie rozliczeń ośmiu lat rządów PiS, co jest dla Tuska korzystne, bo uniemożliwia opozycji skuteczną ofensywę na polach bardziej interesujących dla centrowego elektoratu.

Last but not least – brutalne rozliczenia i zemsta na przeciwnikach politycznych to murowany sposób na ściągnięcie całej uwagi mediów i komentatorów, co czyni z nich kolejną z PR-owskich „przykrywek", z biegłości w posługiwaniu się którymi Tusk od dawna słynie. A przykrywać jest co – niedotrzymane obietnice, na czele ze składką zdrowotną dla przedsiębiorców i kwotą wolną od podatku, podniesienie VAT na żywność, fiasko komisji śledczych, z których jedna ośmieszyła się nieudolną próbą przesłuchania Jarosława Kaczyńskiego, druga niechcący rozbiła narrację o „setkach tysięcy lewych wiz", ustalając, że było ich aż 600, a trzecia na razie mozolnie udowadnia, że system Pegasus został za czasów PiS zakupiony i był używany, choć coraz bardziej się okazuje, że używano go w sposób całkowicie zgodny z prawem, za zgodą sędziów, świadomych, na co wyrażają zgodę, co musiał przyznać publicznie nawet Adam Bodnar.

Te wszystkie powody oraz „licencja na zabijanie", której – co objaśniałem w poprzednich publikacjach – jednoznacznie udzieliła Tuskowi Unia Europejska, każą oczekiwać kolejnych podobnych aktów bezprawia ze strony Bodnara, Kierwińskiego, Sienkiewicza i innych ministrów Tuska. Możliwe jest siłowe wejście do NBP, Trybunału Konstytucyjnego, kto wie, czy nawet nie do Pałacu Prezydenckiego, skoro już raz się to zdarzyło i dowiodło, że prezydent nie może być pewny lojalności swojej ochrony. Może się coś takiego wydarzyć nawet w czasie, gdy ten numer będzie dla państwa drukowany.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

Ze Sławomirem Mentzenem, prezesem partii Nowa Nadzieja, posłem i jednym z liderów Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Ludzie otwierają oczy

RYSZARD GROMADZKI: Na niedawnym zjeździe Europejskiej Partii Ludowej w Bukareszcie szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen wymieniła Konfederację w jednym szeregu z niemiecką AfD i francuskim Zjednoczeniem Narodowym jako ugrupowanie, które chce, jak się wyraziła, „zniszczyć naszą Europę, podeptać nasze wartości". Czego się boi Ursula von der Leyen?

SŁAWOMIR MENTZEN: Pani von der Leyen mówiła o tym, że Konfederacja jest zagrożeniem dla wartości Unii Europejskiej, takich jak Zielony Ład. Rzeczywiście sprzeciwiamy się Zielonemu Ładowi, sprzeciwiamy się dalszej unifikacji Unii Europejskiej w jedno superpaństwo, sprzeciwiamy się potwornej biurokracji. Charakterystyczne, że szefowa Komisji Europejskiej, mówiąc o zagrożeniach dla Unii, wskazała na Konfederację, a nie na PiS, który teraz próbuje udawać, że od dawna był przeciwko politykom unijnym. Tymczasem kilka lat temu, gdyby nie głosy europosłów PiS, von der Leyen nie zostałaby przewodniczącą Komisji Europejskiej. Pamiętajmy, że Janusz Wojciechowski, PiS-owski komisarz do spraw rolnictwa, mówił, że Zielony Ład to program rolny PiS, a nie kto inny, jak Mateusz Morawiecki podpisał się pod pakietem „Fit for 55".

PiS do momentu, w którym rządził, szedł w głównym nurcie polityki unijnej. Teraz próbuje się od tego odciąć. W ogóle mnie nie dziwi, że von der Leyen atakuje Konfederację, a nie PiS.

Z opublikowanego ostatnio badania firmy Reaserch Partner dotyczącego stosunku Polaków do Unii Europejskiej wynika, że ponad 20 proc. Polaków opowiada się za polexitem. To aż o 10 punktów procentowych więcej, niż pokazało podobne badanie z września ubiegłego roku. Czy ten trend jest efektem coraz bardziej brutalnego forsowania Zielonego Ładu? Ludziom otwierają się oczy?

Jestem przekonany, że tak. To moment, na który czekaliśmy od kilku lat. Do tej pory różnego rodzaju unijne regulacje uderzały przede wszystkim w firmy. Teraz Unia Europejska wzięła się za zwyczajnych ludzi. Pierwszą ofiarą eurokratów padli rolnicy, stąd ich masowe protesty. Ale za zakrętem czai się dyrektywa budynkowa, która zmusi Polaków do remontu swoich własnych mieszkań. Polacy dowiadują się, że źródło ciepła w ich domu może być nielegalne, że ich samochody będą nielegalne, że będą musieli płacić podatki od swoich samochodów, że nie będą mogli nimi wjechać do centrów miast, a być może niedługo staną przed wyborem przesiadki do elektryków albo rezygnacji ze swoich samochodów. Unia Europejska po raz pierwszy w swojej historii zaczęła realnie szkodzić zwyczajnym ludziom, którym to się po prostu nie podoba.

Rolnicze protesty, które przetaczają się przez całą Europę i Polskę, mogą wymusić na Komisji Europejskiej wycofanie się z Zielonego Ładu? Czy ustępstwa wobec rolników, o których mówią dziś unijni funkcjonariusze, to tylko gra obliczona na uspokojenie nastrojów przed wyborami do Parlamentu Europejskiego?

Protesty rolników na kilka miesięcy zastopują wdrażanie Zielonego Ładu, co oczywiście wiąże się z czerwcowymi wyborami do Parlamentu Europejskiego. Kluczowy będzie efekt tych wyborów. Jeśli – dzięki rolniczym protestom – Europejczycy otworzą oczy i zechcą głosować na partie, które sprzeciwiają się Zielonemu Ładowi, to być może uda się go zablokować w nowym europarlamencie. Jeżeli efekt, o którym mówię, nie nastąpi, to walec pod nazwą Zielony Ład znów ruszy ostro do przodu. Te kilka miesięcy spóźnienia, niestety, nie będzie miało żadnego znaczenia. Nie stawiałbym jednak sprawy w ten sposób, że przyszłość jest już napisana, jednokierunkowa, że nie ma innego wyjścia. Dobrze pamiętam, jak trochę ponad dwa lata temu politycy i eksperci zapewniali nas, że świat nie będzie już taki sam jak przed COVID-19, a paszporty covidove pozostaną z nami na zawsze. A jednak nie pozostały. Rozwiązanie, które popierali unijni urzędnicy i większość państw członkowskich, zniknęło. Wierzę, że bzdura, którą jest Zielony Ład, również zniknie, że ludzie otworzą oczy i powiedzą, że nie chcą takich ograniczeń.

Zostańmy przy sprawie rolniczych protestów. Rząd Tuska wypróbował już siłowy scenariusz do ich stłumienia. Sam pan tego doświadczył podczas demonstracji rolników pod Sejmem, kiedy policja potraktowała pana gazem. Można spodziewać się eskalacji przemocy i kolejnych prowokacji ze strony policji wobec rolników?

Donald Tusk mi się nie zwierza, więc nie wiem, co planuje. Rzeczywiście,

eprasa.pl 82443a69e0

podczas opisanego przez pana protestu w Warszawie to policja ewidentnie dążyła do eskalacji przemocy. Widzę dwie przyczyny takiej sytuacji. Pierwsza była taka, że tego dnia w Sejmie nie było Donalda Tuska i całe niezadowolenie rolników musiał na siebie wziąć Szymon Hołownia, który zupełnie niepotrzebnie zaczął bronić policji. Stał się nagle twarzą pacyfikacji rolniczych protestów. Biorąc pod uwagę, że jest koalicjantem PSL, myślę, że to mu się nie przysłużyło. Z drugiej strony to, co się wydarzyło, miało pokazać rolników jako zadymiarzy, którzy pijani najechali na Warszawę robić awanturę.

Ten sam schemat wykorzystali komuniści po robotniczych protestach w Radomiu i Ursusie w czerwcu 1976 r., nazywając ich uczestników „warchołami"...

Dokładnie. Kto chciałby się solidaryzować z takimi ludźmi, którzy robią awantury i biją się z policją? To jest to, o co chodziło Donaldowi Tuskowi. To zagrania dobrze znane z czasu jego poprzednich rządów, że przypomnę tylko działania policji wobec uczestników Marszu Niepodległości w latach 2012 czy 2013. Widać tu rękę Platformy. Lata mijają, ale ich metody się nie zmieniają. Nie zdziwiłbym się, gdyby ten słynny traktor z prorosyjskim transparentem też był podstawiony przez jakichś ludzi związanych z obecnymi służbami.

Czy po raz pierwszy od 400 lat „pójdziemy na Moskwę"? Czy rzeczywiście toczy się geopolityczna gra, której celem może być wciągnięcie Polski w wojnę z Rosją? Trudno inaczej tłumaczyć spekulacje wokół wysłania wojsk NATO, a więc i polskich, na Ukrainę.

Jest możliwe, że Amerykanie chcą eskalować wojnę na Ukrainie, żeby nadal osłabiać Rosję. Problem jest tego rodzaju, że kończą się Ukraińcy, którzy w tej wojnie mogą brać udział. Być może jest taki plan, żeby Ukraińców zastąpić Polakami, żeby to naszych żołnierzy wysłać na tę wojnę. Rzecz w tym, że jesteśmy na to kompletnie niegotowi. Nasza armia jest w tragicznym stanie. Sporą część uzbrojenia przekazaliśmy już Ukrainie. Kontrakty zbrojeniowe, które teraz są podpisywane, być może zostaną zrealizowane dopiero za wiele lat. Jak się ostatnio dowiedzieliśmy, nasz przemysł zbrojeniowy nie jest zdolny do masowej produkcji amunicji.

W wyniku całych dekad zaniechań polskie wojsko jest całkowicie niezdolne do prowadzenia wojny. Nikt, kto myśli o polskim interesie, nie powinien pozwolić, żebyśmy do tej wojny dołączyli.

Zgodzi się pan z poglądem, że najbliższych kilka miesięcy będzie krytycznym czasem, jeśli chodzi o losy wojny na Ukrainie i jej możliwe rozszerzenie się na Polskę? Międzynarodowa partia wojny, w której również słychać głosy polskich polityków, może uruchomić dynamikę wydarzeń, których efektem będzie zaangażowanie Polski w wojnę na Wchodzie?

Co pan ma na myśli, mówiąc o dynamice zdarzeń, które spowodują wciągnięcie Polski do wojny?

Myślę o zapowiedziach prezydenta Francji Emmanuela Macrona o realnej obecności wojsk NATO na Ukrainie czy choćby polsko-niemieckiej „koalicji zdolności opancerzonych na rzecz Ukrainy", co buńczucznie obwieścił szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz...

Prawdopodobnie istnieje na Zachodzie taki plan. Oni muszą się spieszyć.

Uważam, że polscy prezydent czy premier powinni stronić od krytyki Joe Bidena czy Donalda Trumpa

eprasa.pl 82443a69e0

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Patrząc z ich punktu widzenia, obecnie problem polega na tym, że faworytem do zwycięstwa w wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych jest Donald Trump, który raczej nie chce tej wojny eskalować. On chce ją zakończyć. Można zakładać, że jeśli Trump wygra wybory, to wojny z Rosją nie będzie, tak jak nie było jej podczas jego pierwszej kadencji. Więc wydaje się, że jeśli ktoś chciałby wciągnąć Europę, szczególnie Polskę, w wojnę, to rzeczywiście ma czas do jesieni. Jeśli do jesieni oddziały polskie czy francuskie włączą się w wojnę na Ukrainie, to później nie będzie łatwo się z tej wojny wyplątać. Z tego punktu widzenia czas dla tych, którzy chcą wciągnąć nasz kraj w konflikt, się kończy. Mają jeszcze pół roku na to, żeby przekonać Polaków, że warto zaatakować Rosję.

Administracja prezydenta Bidena stara się za wszelką cenę podtrzymywać Ukrainę. Zupełnie inną strategię wobec tej wojny ma republikański kandydat w nadchodzących wyborach prezydenckich w USA Donald Trump, który deklaruje, że szybko zakończy konflikt między Rosją a Ukrainą. Czy Polska nie stawia wszystkiego na obecną amerykańską administrację? W czasie, kiedy prezydent Duda i premier Tusk gościli u prezydenta Bidena w Waszyngtonie, premier Węgier Viktor Orbán rozmawiał z Donaldem Trumpem.

Jestem zwolennikiem formuły, żeby urzędująca głowa państwa spotykała się z inną urzędującą głową państwa, a nie z kandydatem w wyborach. Oczywiście nie powinniśmy stawiać na jedną kartę jak PiS, który w poprzednich wyborach postawił wszystko na Trumpa i na republikanów. Politycy PiS bardzo krytykowali Bidena. Kiedy Biden wygrał, okazało się, że władze w Warszawie nie mają z jego ekipą żadnych kontaktów, a relacje polsko-amerykańskie stały się bardzo chłodne. Więc nie przeszkadza mi, że prezydent Andrzej Duda spotyka się z prezydentem Bidenem, a nie byłym prezydentem Trumpem.

Uważam, że polscy prezydent czy premier powinni stronić od krytyki czy to obecnego prezydenta Joe Bidena, czy Donalda Trumpa – każdy z nich może wygrać nadchodzące wybory. Lepiej byłoby od początku nie psuć sobie relacji z żadnym z potencjalnych przyszłych prezydentów Stanów Zjednoczonych.

Wielu obserwatorów spodziewa się, że po czerwcowych wyborach do Parlamentu Europejskiego dojdzie w nim do istotnej zmiany układu sił. Według tych prognoz znacznie silniejszą reprezentację w europarlamencie uzyskają ugrupowania prawicowe, przeciwne dalszej federalizacji Unii i jej kolejnym ideologicznym fiksacjom.

Nie wierzę, żeby już teraz polityka Unii Europejskiej zmieniła się w wyraźny sposób. Z sondaży wynika, że partie eurosceptyczne rzeczywiście się wzmocnią w europarlamencie. Ale nic nie wskazuje na to, żeby miały większość. Dopiero teraz widzimy, jakim problemem z polskiego punktu widzenia był brexit. Gdyby Brytyjczycy nie opuścili Unii, wówczas – jeśliby do obecnych partii eurosceptycznych doliczyć europosłów brytyjskich, to można byłoby spróbować uzyskać realny wpływ na kierunek polityki Unii Europejskiej. Bez Wielkiej Brytanii będzie – dużo trudniejsze. Myślę, że dużo większe nadzieje można mieć co do kolejnych wyborów europejskich. Europejczycy odczują już koszty dyrektywy budynkowej, przymusowych remontów, ograniczenia ruchu samochodowego. Teraz polityka Unii bezpośrednio dotknęła rolników, w następnych latach uderzy w kolejne grupy Europejczyków, którzy odczują w swoich własnych portfelach, ile kosztuje polityka klimatyczna Unii Europejskiej. Głęboko wierzę, że w kolejnych wyborach do Parlamentu Europejskiego koniunktura dla ugrupowań eurosceptycznych będzie już dużo lepsza.

Pierwszą ofiarą eurokratów padli rolnicy, stąd ich masowe protesty

Przed nami wybory samorządowe i europejskie. Przed ubiegłorocznymi wyborami parlamentarnymi wydawało się, że pana ugrupowanie będzie języczkiem u wagi w Sejmie i uzyska realny wpływ na polską politykę. Tak się jednak nie stało. W jaki wynik mierzy teraz Konfederacja? Czy po rozczarowujących wynikach ubiegłorocznych wyborów pana ugrupowanie wyciągnęło wnioski i ma szansę na zwiększenie społecznego poparcia?

Mam taką nadzieję. Liczę na to, że po wyborach samorządowych wprowadzimy radnych do sejmików wojewódzkich, którzy będą w nich właśnie tym języczkiem u wagi, szczególnie w województwach w południowo-wschodniej Polsce. Jeśli dobrze nam pójdzie, to może się okazać, że od naszych radnych sejmikowych zależeć będzie, kto rządził będzie województwem. Liczę na to, że jeszcze lepszy wynik niż w wyborach samorządowych uzyskamy w wyborach europejskich. O żadnych liczbach nie chcę mówić, żeby nie podbijać oczekiwań zbyt wysoko. Liczę na to, że w wyborach europejskich uzyskamy zdecydowanie lepszy wynik niż w ubiegłorocznych wyborach parlamentarnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

Protest rolników przed kancelarią premiera, Warszawa, 6 marca 2024 r.

FOT. PAWEŁ H. GŁOGOWSKI/REPORTER

Natura prowokacji

Rafał Dudkiewicz

Czy tak samo jak dekadę temu władza będzie urządzać prowokacje, by protestujący ludzie wyszli na chuliganów?

Ja nie będę rozmawiał z chuliganami, tylko będę rozmawiał z rolnikami – powiedział na konferencji prasowej 7 marca premier Donald Tusk, odnosząc się do protestów rolników i innych grup zawodowych przeciwko wprowadzanej przez UE polityce Zielonego Ładu. – Ci, którzy złamali prawo w czasie manifestacji, ci, którzy doprowadzili do takich dramatów, jak choćby ciężko ranny policjant uderzony kamieniem, będą odpowiadali prawnie. Nie traktuję ich jako demonstrujących rolników, tylko jako osoby, które naruszyły prawo – podkreślił.

Dzień wcześniej, w środę 6 marca, kiedy w Warszawie odbywała się duża manifestacja rolników, rozpoczęło się posiedzenie Sejmu, podczas którego parlamentarzystki Lewicy podniosły larum w sprawie opóźnienia prac nad projektem ustawy o liberalizacji aborcji. Miała też zostać podjęta uchwała sejmowa „w sprawie usunięcia skutków kryzysu konstytucyjnego lat 2015–2023 w kontekście działalności Trybunału Konstytucyjnego" (Sejm przyjął ją późnym popołudniem). Swoją obecność pod budynkiem Sejmu zapowiedzieli również protestujący rolnicy. Zapowiadał się bardzo gorący polityczny dzień. I taki też był.

CO CI TO PRZYPOMINA?

Donald Tusk należy do osób, które najbardziej lubią słuchać tych melodii, które dobrze znają – protest rolników przypominał sceny, które zapamiętaliśmy z Marszów Niepodległości z lat 2011–2014. Ta sama melodia, ten sam kompozytor, ta sama sceneria i przebieg zdarzeń, podobna retoryka w ocenie manifestacji. Można odnieść wrażenie cofnięcia się w czasie o prawie dekadę.

To, co działo się przy ul. Wiejskiej wczesnym popołudniem, przypominało pole walki, pełne dymu wydobywającego się z granatów hukowych i gazu łzawiącego. Setki policjantów ustawionych w licznych i gęstych szpalerach, wyposażonych w hełmy, pałki, tarcze. Wyglądało to, jakby zaraz miała rozpocząć się gigantyczna bitwa. I rozpoczęła się, trudno jednak ustalić, kto i dlaczego ją zapoczątkował.

Wszystkie stacje telewizyjne przerwały swoje normalne programy i zaczęły nadawać relacje z zajść pod Sejmem. Spowite dymem ulice, w pośpiechu przemieszczające się oddziały prewencji policji. Przepychanki, obelgi, latające kostki brukowe i gaz, spychanie manifestantów sprzed parlamentu w boczne ulice, krzyki i widowiskowe, często nieadekwatne interwencje z udziałem policji – demonstrującej otwarcie swoją brutalność i siłę. Będący na miejscu przedstawiciele mediów publicznych i komercyjnych nie byli dobrze widziani przez manifestantów, często byli wypychani z miejsc protestu. Znaczna część stacji dosyć szybko zrezygnowała z relacjonowania „na żywo" przebiegu zdarzeń i powróciła do uprzednio przerwanych programów.

Internet nie został obojętny, sieci społecznościowe błyskawicznie zareagowały na toczące się walki policji z demonstrantami. Pojawiły się liczne zdjęcia, dramatyczne filmy i coraz bardziej gorące komentarze – organizatorów manifestacji, jej uczestników, polityków, dziennikarzy, postronnych obserwatorów. Stało się dla wszystkich jasne, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Tylko komu? W komen-

eprasa.pl 82443a69e0

tarzach w mediach społecznościowych zaczęły się pojawiać, niczym déjà vu, skojarzenia z prowokacjami na Marszach Niepodległości z lat 2011–2014.

Podczas debaty, która równocześnie toczyła się w Sejmie, wzburzony marszałek Hołownia odniósł się do tych wydarzeń. – Doszło do zdarzeń absolutnie haniebnych. Nie wierzę, że zrobili to rolnicy, ale dołączyły do nich grupy prowokatorów, zamaskowanych osób, które w fizyczny sposób naruszały nietykalność cielesną funkcjonariuszy – mówił Hołownia. I dodał: – Rzucano kamieniami i pirotechniką. Kilku policjantów zostało rannych, kilkanaście osób jest zatrzymanych.

– Banda prowokatorów, którzy rzucali kostkami brukowymi w polskich policjantów – podsumował te zajścia szef MSWiA Marcin Kierwiński. Trzeba przyznać ministrowi, że jego słowa daleko nie odbiegały od prawdy. Tylko potwierdzały się chyba nie tak, jak minister sobie by życzył. Na jednym z filmów widać, jak umundurowany funkcjonariusz policji podnosi jakiś przedmiot z ziemi i rzuca nim w manifestantów (wobec niego, jak donosi policja, wszczęto postępowanie wyjaśniające). Na innym widać policjantów wyciągających z grupy demonstrantów człowieka z flagą i powalających go na ziemię; jeszcze w innym miejscu grupa policjantów rzuca się na działacza rolniczej Solidarności i brutalnie obezwładnia demonstranta. Najbardziej rzutki i bezwzględny funkcjonariusz policji z tej grupy został po dobie rozpoznany na podstawie zdjęć, które sam zamieszczał na Instagramie. Okazało się, że był uczestnikiem jednej z edycji cieszącego się dużą popularnością programu emitowanego na antenie TVP – „Rolnik szuka żony".

Użytkownicy portalu X bardzo szybko zaczęli wychwytywać wszystkie niekonsekwencje i brutalność w działaniu policji oraz broniących tych działań polityków. Poddano analizie zdjęcia wielu sytuacji, które wzbudziły największą podejrzliwość, np. zdjęcia mężczyzn wyważających za pomocą łomu kostkę brukową w okolicach budynku Sejmu. Kilku użytkownikom portalu X, za pomocą powszechnie dostępnych aplikacji do rozpoznawania twarzy i kojarzących je z użytkownikami w sieci, udało się nawet zlokalizować policjantów „po cywilu", którzy agresywnie lub podejrzanie zachowywali się w tłumie. Niektórzy nawet przeprowadzili szczegółową analizę konkretnych marek i typów obuwia, w które podobno są wyposażani policjanci pracujący po cywilnemu.

We wczesnych godzinach popołudniowych i wieczornych okazało się, że potencjalne prowokacje nie zdały się na nic i trzeba było zmienić ton relacji. Zaczęły pojawiać się komunikaty Komendy Stołecznej Policji o liczbie policjantów poszkodowanych w wyniku zajść, poszukiwaniu konkretnych osób, które rzucały różnymi przedmiotami w policjantów, a w dniach późniejszych – dramatyczne w treści komunikaty o zagrożeniu odczuwanym przez policjantów rozpoznanych w Internecie, których wizerunki zostały połączone z personaliami.

Nie udało się osiągnąć długofalowego efektu o stworzeniu „rolników chuliganów".

TYMCZASEM W LUCIENIU...

Jest jeszcze jedna historia, która miała miejsce tuż po wyborach parlamentarnych w październiku 2023 r.

W programie „Fakty po Faktach" TVN, w rozmowie przeprowadzonej przez Piotra Kraśkę, były szef CBA Paweł Wojtunik zapytał publicznie szefa MSWiA i koordynatora służb specjalnych, Mariusza Kamińskiego: – Czy prawdą jest, że podczas odprawy w Lucieniu, dwa dni przed wyborami, zapadły decyzje, aby w kontekście wyborów parlamentarnych masowo stosować kontrolę operacyjną wobec przedstawicieli ugrupowań opozycyjnych?

Pałacyk w Lucieniu jest od kilku lat Ośrodkiem Szkoleniowo-Konferencyjnem CBA, a Paweł Wojtunik miał przede wszystkim na myśli rzekomo inwigilowanych liderów Trzeciej Drogi. Zasugerował również podczas wywiadu, że zastosowano wobec liderów TD „pięciodniową kontrolę operacyjną", którą można realizować poza zgodą sądu.

Wywiad Wojtunika wywołał burzę. Zareagował na niego na portalu X Michał Kobosko, jeden z liderów Trzeciej Drogi, stwierdzając: „Pytania zadane przez Pawła Wojtunika w »Fakty po Faktach« są wstrząsające. Wiele wskazuje na to, że policja polityczna CBA podjęła nielegalne działania wobec nas, polityków Trzeciej Drogi, na 5 min. przed wyborami. Niszczarki ani palenie akt was nie uratują". To był komunikat brzmiący jak groźba – i oto w całej tej akcji z Lucieniem chodziło.

Po ukonstytuowaniu i zaprzysiężeniu 13 grudnia 2023 r. rządu z premierem Donaldem Tuskiem na czele błyskawicznie dokonano zmian w służbach. Koordynatorem do spraw służb specjalnych został Tomasz Siemoniak. Pojawiły się informacje o likwidacji CBA i – zdaje się – ten proces wciąż trwa.

Do dziś żaden z szefów służb ani decydentów politycznych nie ustosunkował się do słów Wojtunika. Nie ma żadnych sygnałów o tym, że zostało wszczęte jakiekolwiek postępowanie sprawdzające czy wyjaśniające w tej sprawie. Nie pojawiły się również żadne doniesienia ani komunikaty prokuratury o podjętych czynnościach. Sprawę wyciszono i nie wiemy, co tak naprawdę się stało i czy w ogóle te wydarzenia miały miejsce. Zapytałem o to na portalu X, oznaczając Pawła Wojtunika, który formułował te zarzuty, oraz Tomasza Siemoniaka, który nadzoruje w tej chwili wszystkie służby. Żadnej odpowiedzi od żadnego z panów nie otrzymałem.

POST SCRIPTUM

Paweł Wojtunik, będąc jeszcze szefem CBA, w rozmowie z ówczesną minister Elżbietą Bieńkowską, która została nagrana i ujawniona przez media w maju 2015 r., przekazał ciekawe informacje na temat praktyki zarządzania służbami specjalnymi i policją przez ówczesnego szefa MSW, Bartłomieja Sienkiewicza.

– Bartek się nauczył zarządzać wszystkim przez telefon – mówił szef CBA, Paweł Wojtunik. – On dzwoni i on im rozkazuje. I tak samo poszli, spalili budkę pod ambasadą, bo minister osobiście wymyślił taką... wiesz, z takiego... – dodawał. – Taką koncepcję, tak, tak – dopowiadała Bieńkowska.

Sprawa nigdy nie została wyjaśniona, prokuratura umorzyła postępowanie w sprawie podpalenia budki strażniczej pod Ambasadą Federacji Rosyjskiej. Prowokacja ta miała miejsce podczas Marszu Niepodległości w listopadzie 2013 r.

Obserwując przez lata politykę prowadzoną przez Donalda Tuska, można założyć prawie z całą pewnością, że ciąg dziwnych zdarzeń już wkrótce nastąpi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

Ukryta amnestia

Łukasz Warzecha

Liberalni politycy nienawidzą odpłaty za czyn, która jest częścią kary. To dlatego chcą wypuszczać ludzi z więzień

Maria Ejchart, wiceminister sprawiedliwości, zapowiedziała wypuszczenie ok. 20 tys. więźniów FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Wiceminister sprawiedliwości, pani Maria Ejchart, odpowiedzialna za więziennictwo, zapowiedziała, że będzie dążyć do wypuszczenia z zakładów karnych 20 tys. osób. W ten sposób obecna ekipa rządząca powraca – w potencjalnie fatalny dla obywateli sposób – do tematu, który rozgrzewał już polską publicystykę i środowiska prawnicze, gdy obecna wiceminister sprawiedliwości była jeszcze na studiach.

Czy prawo ma być dla przestępców surowe czy współczujące? Czy większą wagę należy przywiązywać do wymierzenia przestępcy kary adekwatnej do winy czy do „naprawienia" go? Tych pytań nie wywołało dopiero pojawienie się w Ministerstwie Sprawiedliwości pana Adama Bodnara, od zawsze zwolennika lewicowego paradygmatu prawa karnego. Ta dyskusja toczyła się w wielu krajach wiele razy w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, ja sam zaś pamiętam ją doskonale z drugiej połowy lat 90.

OBSESYJNE WYCHWALANIE RESOCJALIZACJI

W 1997 r. Sejm uchwalił nowy kodeks karny. Jego głównym architektem był prominentny zwolennik liberalnego podejścia do karania, prof. Andrzej Zoll. Łagodzenie prawa karnego było przez establishment prawniczy przedstawiane jako oczywiste i niepodlegające dyskusji zrywanie z dziedzictwem komuny – co oczywiście było intelektualnym fałszem. Ton debacie w stopniu nieporównanie większym niż obecnie nadawała wtedy „Gazeta Wyborcza". Przeciwnych tej narracji mediów o większym zasięgu prawie nie było. Nieistniejący już dziennik „Życie", gdzie pod koniec lat 90. pracowałem jako redaktor działu opinii, był bodaj jedynym takim na poziomie centralnym.

Masowe obniżanie granicy odpowiedzialności karnej oraz obsesyjne wychwalanie resocjalizacji jako naczelnego i jedynego „cywilizowanego" oraz odpowiadającego „standardom europejskim" wymiaru karania krytykowało wtedy na łamach „Życia" kilka odważnych osób, które potem znalazły w polityce istotne miejsce. Był to zatem przyszły minister sprawiedliwości, potem prezydent Warszawy i na koniec prezydent RP Lech Kaczyński. Był to również, w tamtym czasie dobiegający dopiero 30 lat, absolwent prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim Zbigniew Ziobro. Był to szczególnie w tej sferze zasłużony późniejszy rzecznik praw obywatelskich Janusz Kochanowski.

Warto w szczególności wspomnieć właśnie tego ostatniego. Enfant terrible środowiska prawniczego, pan Janusz (mogę tak pisać, jako że miałem ogromną przyjemność i zaszczyt znać pana Kochanowskiego nieco lepiej), z zabójczym, najuprzejmiejszym uśmiechem punkt po punkcie wytykał zwolennikom linii prof. Zolla ideologiczną fiksację na punkcie resocjalizacji, przestrzegając przed skutkami łagodzenia kar. Za to był przez liberalnych prawników – piszę to bez najmniejszej przesady, na podstawie swojej wiedzy i pamięci o tamtym czasie – wprost znienawidzony i obdarzany ostracyzmem. Nie jest przypadkiem, że to do niego najrzadziej odwoływał się potem Adam Bodnar, sprawując funkcję rzecznika praw obywatelskich. Po prostu pod względem paradygmatu, podejścia do praw obywatela, aksjologii i rozumienia porządku moralnego obaj panowie byli na antypodach.

Zaledwie trzy lata po uchwaleniu kodeksu z 1997 r., za rządów Akcji Wyborczej Solidarność (1997–2001), kiedy Ministerstwem Sprawiedliwości kierował Lech Kaczyński, zaczęto pracować nad jego nowelizacją. Pan Janusz Kochanowski, który kierował wtedy założoną przez siebie fundacją Ius et Lex, zasiadł w komisji kodyfikacyjnej pracującej nad zmianami. Tak mówił o sytuacji w wywiadzie dla „Życia" w styczniu 2001 r.:

„Jednym z głównych założeń kodeksu z 1997 r. jest, że kara jest wymierzana przede wszystkim w interesie sprawcy. Jest to całkowite nieporozumienie. Znaczy to, że pod uwagę bierze się przede wszystkim względy resocjalizacyjno-wychowawcze. Tymczasem coraz wyraźniejsza staje się świadomość, że resocjalizacja nie ma zbyt wielkiego sensu i jej miejsce jest nie w kodeksie karnym, ale ewentualnie w kodeksie wykroczeń […].

Jeśli karę wymierza się z nastawieniem na osobę sprawcy, to pojawiają się trzy niewiadome. Nie da się dokładnie ocenić tej osoby, nie da się dobrać odpowiednich środków dla oceny sprawcy ani nie da się przewidzieć przyszłego losu przestępcy ukaranego zgodnie z zasadami resocjalizacji. Tak wymierzona kara jest niepro-

eprasa.pl 82443a69e0

porcjonalna do winy i do przestępstwa. To zresztą leży w samych założeniach kodeksu, które mówią, że wina ma charakter jedynie limitujący, czyli kara nie powinna przekraczać górnej granicy zawinienia, może natomiast być mniejsza, a nawet jest bardzo ładnie, kiedy taka jest, gdy przemawiają za tym względy resocjalizacyjne. Innymi słowy, zostaje przekreślona jedna z podstawowych zasad – proporcjonalność winy, przestępstwa i kary. Aby ją przywrócić, należy przyjąć założenie, że kara wymierzana jest przede wszystkim w interesie społeczeństwa, a nie sprawcy, czyli ma za zadanie umacnianie tych wartości, którym zaprzeczał czyn przestępny. Przestępstwo jest bowiem wymierzone nie tylko w ofiarę, lecz także w całe społeczeństwo, które jest zagrożone dezintegracją, o ile przestępstwo nie zostanie należycie ukarane. Zatem zasada proporcjonalności winy i kary powinna lec u podstaw nowego kodeksu. To podejście retrybutywne […].

»Zemsta« i »odpłata« to język, którym posługują się przeciwnicy tych koncepcji po to, by odpowiednio ustawić sobie tego, kogo chcą zwalczyć. Tu przecież nie chodzi o zemstę ofiary przestępstwa, ale o to, że społeczeństwo występuje w obronie swoich podstawowych wartości. Jeden z francuskich teoretyków prawa karnego powiedział kiedyś, że wymiar sprawiedliwości odgrywa w społeczeństwie taką rolę, jak zwornik w sklepieniu katedry. Jeśli wymiar sprawiedliwości, zwłaszcza karnej, przestaje funkcjonować, to katedra może się rozpaść".

Ten długi cytat jest konieczny, bo ustawia we właściwej perspektywie poglądy obecnej ekipy, która zapowiada wypuszczenie z więzień ogromnej liczby przestępców, czyli faktycznie amnestię ukrytą pod pozorami przejścia na wolnościowe sposoby odbywania kary (m.in. dozór elektroniczny). Janusz Kochanowski w przywołanym cytacie doskonale wskazał, dlaczego skupienie się na „naprawianiu" przestępcy ma fatalne skutki społeczne. Przede wszystkim dlatego, że „rozmontowuje" poczucie sprawiedliwości. A to jest absolutnie niezbędne dla funkcjonowania społeczeństwa.

ZNIENAWIDZONA ODPŁATA

W teorii prawa istnieją trzy wymiary kary, przy czym jeden z nich – prewencja – ma dwa piętra.

Pierwszy wymiar to wspomniana prewencja, którą dzielimy na ogólną i szczególną. Ogólna to odstraszanie innych potencjalnych sprawców poprzez przykład. Szczególna to odizolowanie sprawcy od społeczeństwa. Sprawca osadzony w zakładzie karnym (lub będący pod innego rodzaju ścisłym nadzorem) nie będzie w stanie popełniać kolejnych przestępstw. Do prewencji liberałowie prawni mają stosunek niechętny, a kary izolacyjne uznają za ostateczność. Nie akceptują prostej prawdy, że złodziej siedzący w celi niczego w tym czasie nie ukradnie, a więc dzięki takiej formie odbywania kary zostanie ocalony dobytek jakiejś liczby osób.

Drugi wymiar to uwielbiana przez liberałów resocjalizacja. Celem kary nie jest tak naprawdę ukaranie, ale nauczenie sprawcy, aby w przyszłości nie popełnił już błędów. Nie jest oczywiście tak, że resocjalizacja nigdy nie ma sensu. Są ludzie, którzy faktycznie mogą się w więzieniu zmienić. To zwłaszcza ci, którzy znaleźli się tam po raz pierwszy i mają na sumieniu lżejszego kalibru czyny. Trudno zaprzeczyć, że w interesie społeczeństwa jest, aby po wyjściu byli ludźmi lepszymi, a nie tak samo złymi albo gorszymi niż w chwili przekraczania bramy zakładu karnego. Problem zaczyna się, gdy resocjalizacja jest uznawana za rację dominującą i najważniejszą.

Trzeci wymiar to retrybucja, czyli sprawiedliwa odpłata za czyn. Tego wymiaru nienawidzą i deprecjonują go liberałowie, tacy jak Maria Ejchart. W rozmowie z „Rzeczpospolitą" pani wiceminister skupiła się wyłącznie na dobrym samopoczuciu sprawców. Mówiła: „Przez ostatnie lata celem kary w Polsce było trwałe odizolowanie przestępców od społeczeństwa i dotkliwy odwet. Natomiast celem kary według europejskich standardów, od niemal 80 lat, jest zmiana więźnia. Ma on powrócić do społeczeństwa lepszy i należy nad tym pracować od pierwszego dnia odbywania kary, niezależnie od tego, czy został skazany na 2 lata, na 5 lat czy na 25 lat. To wymaga przede wszystkim zmiany sposobu myślenia o karze i jej wykonywania".

Warto zwrócić uwagę na podane przez panią wiceminister wymiary kar. Karę 25 lat pozbawienia wolności wymierza się bowiem za szczególnie ciężkie zbrodnie (zbrodnia to według kodeksu karnego czyn zagrożony karą minimum 3 lat pozbawienia wolności). Pani Ejchart mówi nam zatem, że państwo ma np. troskliwie pochylić się nad zabójcami, w tym tymi, którzy mordowali ze szczególnym okrucieństwem, i zająć się ich dopieszczeniem. To radykalne pójście wbrew społecznemu poczuciu sprawiedliwości, które szczególnie w wypadku ciężkich win domaga się właśnie głównie zadośćuczynienia. Skoro zaś pani Ejchart przywołuje mityczne „europejskie standardy", to warto przypomnieć poglądy Immanuela Kanta, bo chyba trudno znaleźć filozofa bardziej europejskiego. Królewiecki myśliciel wskazywał, że funkcją kary musi być przywrócenie w społeczeństwie równowagi zachwianej czynem sprawcy – tylko wówczas wymiar sprawiedliwości spełni swoje zadanie. Nawiasem, Kant był z tego właśnie powodu jednoznacznym zwolennikiem kary śmierci.

Co oznaczają zapowiedzi pani wiceminister? Twierdzi ona, że będzie zachęcać dyrektorów więzień do kierowania wniosków do sądów penitencjarnych o zawieszenie wykonywania kary tam, gdzie to tylko możliwe. Nietrudno odtworzyć sobie, jaki mechanizm tu zadziała. Skoro takie będzie życzenie urzędnika odpowiedzialnego za więziennictwo, to większość dyrektorów zakładów karnych będzie się starała nie podpaść, czyli zacznie się rywalizacja o to, kto szybciej i w większym stopniu spełni oczekiwania władzy. Wnioski będą zatem kierowane w stosunku do osadzonych, co do których dyrektorzy by ich nie skierowali, gdyby nie nacisk ministerstwa. Kandydaci do zwolnienia będą wyszukiwani na siłę. Cała nadzieja w sądach penitencjarnych, które będą te wnioski oceniać, bo tylko one mogą powstrzymać to szaleństwo.

Oczywiście instytucja warunkowego przedterminowego zwolnienia albo kary w rodzaju dozoru elektronicznego nie są z definicji czymś złym. Pod warunkiem jednak, że są stosowane wobec osób, które faktycznie się do nich kwalifikują, i że takie osoby nie są wyszukiwane na siłę, zgodnie z założonym a priori przez władzę planem. Zapowiedzi pani wiceminister sprawiedliwości wskazują, że mamy do czynienia z realizacją najczyściej ideologicznego założenia. Niestety, jak zwykle w takich sytuacjach, kosztem zwykłych ludzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

Fikcja państwowości

Andrzej Krzystyniak

Europejski wyrok w sprawie rejestracji Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej wcale nie wskazuje, że taka narodowość istnieje. Choć niektórzy będą tak to w Polsce próbowali przedstawiać

Wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie rejestracji Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej został entuzjastycznie przyjęty nie tylko, co zrozumiałe, przez środowiska „regionalistów", lecz także przez zdecydowaną większość polskich mediów oraz ekspertów prawnych. Ogłosili oni wręcz entuzjastycznie „porażkę" albo klęskę państwa polskiego wobec rzekomo słusznych dążeń Ślązaków w długoletniej walce z tymże państwem o uznanie swojej odrębności wobec Polski i Polaków.

Polski Sąd Najwyższy nakazujący przed laty likwidację Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej miał się wręcz dopuścić, tym działaniem, represji wobec Ślązaków. Jednocześnie pojawiły się w mediach głosy ekspertów wskazujące nie tylko bez cienia wątpliwości błąd polskiego wymiaru sprawiedliwości, lecz także groźbę izolacji Polski w związku z przypięciem naszemu krajowi łatki państwa łamiącego prawa człowieka. Rzecz jasna, naprawić to może tylko uznanie „słusznych praw Ślązaków" do odrębności i niezależności.

Przypomnijmy w skrócie, że sprawa dotyczyła rejestracji wspomnianego Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej zarejestrowanego przez opolski sąd rejonowy w 2011 r. Na wniosek prokuratury w Opolu twierdzącej, że postanowienie o rejestracji jest sprzeczne z ustawą o mniejszościach narodowych i etnicznych, w której to narodowość śląska nie została wymieniona, sprawa trafiła ostatecznie w grudniu 2013 r. do Sądu Najwyższego, który uznał, że nazwa i cel SONŚ wprowadzają w błąd, gdyż Ślązaków, zgodnie ze stanem faktycznym, nie można uznać za odrębny naród,

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER, ADOBE STOCK, MONTAŻ: JAN

eprasa.pl 82443a69e0

a zatem wspomniane Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej nie może być zarejestrowane przez polski sąd.

SĄD NAJWYŻSZY TEGO NIE ZMIENI

Obecny wyrok ETPC w opinii zdecydowanej większości komentatorów oraz ekspertów ma stanowić prawdziwy przełom, po którym państwo polskie powinno bez wahania prawie natychmiast uznać Ślązaków za odrębny naród, przyznać określone w tym względzie przywileje oraz nadać gwarze śląskiej status języka.

Wspomniany wyrok ETPC wydaje się być przedstawiany prawie we wszystkich polskich mediach poza wszelkimi wątpliwościami, jak gdyby wbrew logice prawnej stał wyżej aniżeli prawo krajowe, w tym konstytucja. Warto wspomnieć, że z punktu widzenia prawa skutki wyroku strasburskiego określa prawo polskie i rozstrzygnięcie co do sposobu jego wykonania należy do ustawodawcy. To jednak nie zostało przez niego uregulowane ani też sprecyzowane. Nie może być też mowy o wznowieniu postępowania przed polskim sądem, gdyż takowe wznowienie nie jest na gruncie prawa możliwe przed Sądem Najwyższym. Mówiąc w skrócie: wyrok ETPC nie może wpływać wprost na moc prawną orzeczenia wydanego przed laty przez Sąd Najwyższy.

Jednak komentatorzy, eksperci zdaje się już wydali niepodlegające dyskusji orzeczenie, nie czekając na polski wymiar sprawiedliwości. Cóż może bowiem znaczyć polski wymiar sprawiedliwości wobec europejskich trybunałów? Można się domyśleć, że niebawem Polska będzie okrzyknięta krajem łamiącym prawa mniejszości narodowych lub nawet je prześladującym, skoro nawet Europejski Trybunał Praw Człowieka zakwestionował wyrok polskiego Sądu Najwyższego.

Niektórzy eksperci i politycy (głównie lewicy) zabiegający o uznanie odrębności Ślązaków orzeczenie ETPC w sprawie SONŚ określili wprost jako podstawę do uznania przez Polskę narodowości śląskiej oraz „języka śląskiego".

Warto zauważyć, że Polska nie jest jedynym krajem europejskim mającym podobne problemy, jednak sposób ich rozwiązywania poza naszymi granicami wydaje się zgoła inny. W marcu 2023 r. francuski sąd w mieście Bastia na Korsyce uznał, że używanie języka korsykańskiego w lokalnym parlamencie jest niezgodne z francuską konstytucją. Ponadto wydał orzeczenie, że ustanowione na szczeblu lokalnym prawo mówiące o istnieniu narodu korsykańskiego jest również niezgodne z konstytucją Francji. A zatem zgodnie z ustawą zasadniczą Francji zdaniem sądu w Bastii we wszystkich urzędach publicznych dopuszczalne jest używanie jedynie języka francuskiego. Tym samym prowadzenie debat w lokalnym parlamencie w języku korsykańskim uznał za niekonstytucyjne i zabronił tego, jak to określił, procederu. Trudno sprawy nie powiązać z rozmowami administracji prezydenta Emmanuela Macrona na temat zwiększenia autonomii wyspy prowadzonymi z władzami Korsyki na początku 2023 r. Nie ma jednak w tym mowy o uznaniu narodu korsykańskiego.

Dodajmy, że wniosek w powyższej sprawie złożony został przez prefekta wyspy. Nic nie wiadomo, aby inicjatorzy projektu odwoływali się do wyższej instancji przewidzianej w prawie francuskim czy też do ETPC. Można się jedynie domyślać, że nie odnieśliby z całą pewnością oczekiwanych rezultatów prawnych oraz w sferze medialnej.

Z kolei podczas prób ogłoszenia niepodległości, czyli odłączenia się od Hiszpanii przez Katalonię w 2017 r., ówczesny szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker ostrzegł katalońskich liderów separatystów, że „nie powinni nie doceniać szerokiego poparcia", na które może liczyć w Europie hiszpański premier, Mariano Rajoy, w przeciwnym wypadku „całkowicie się pomylą".

Można się zastanowić, co byłoby, gdyby podobna sytuacja dotyczyła Polski i postępowania polskiego rządu względem domagającej się całkowitej niezależności od Warszawy mniejszości narodowej. Obserwując, jak polskie władze są traktowane przez europejskie trybunały, zapewne dostalibyśmy podobne ostrzeżenie, tylko ostrzejsze w formie, z jednoczesną zapowiedzią wstrzymania wszelkich funduszy pochodzących z budżetu Unii Europejskiej.

Dodajmy, że katalońscy separatyści są dziś podejrzewani o współpracę z rosyjskimi służbami specjalnymi, które miały animować i wspierać również finansowo ich działalność.

BIERNE WYCZEKIWANIE

Do tej pory państwo polskie przyjęło w stosunku do tendencji separatystycznych na Śląsku w najlepszym wypadku postawę biernego wyczekiwania na dalszy rozwój wypadków. Przez osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy nie potrafiono wypracować żadnej strategii postępowania wobec poważnych zagrożeń, które mogą występować w przyszłości na Śląsku. Problem separatyzmu albo bagatelizowano, albo udawano, że go nie ma, obronę unitarności państwa czy też polskości ograniczono do okolicznościowych akademii lub też zasadzenia pamiątkowych dębów „ku czci". Szkodliwości tego typu działań dla integralności państwa zdawały się nie dostrzegać zarówno wcześniej, jak i obecnie instytucje powołane do dbania o bezpieczeństwo wewnętrzne naszego państwa.

Tymczasem 20 marca odbyło się w nowym Sejmie pierwsze czytanie projektu uznania „języka śląskiego" i można było zaobserwować postawę obecnie rządzącej koalicji wobec przytoczonych zagrożeń, najlepiej scharakteryzowaną z mównicy sejmowej przez słowa przedstawiciela Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, który zadeklarował w imieniu swego resortu: „Pełne i przychylne procedowanie nad wspomnianą ustawą".

Obecne rządy Koalicji Obywatelskiej wraz z sojusznikami nie cofną się przed uznaniem nawet najbardziej destrukcyjnych dla państwa polskiego ustaleń prawnych, zwłaszcza jeśli takowe padły w którymś z europejskich trybunałów. Nie liczyłbym w tym względzie na opamiętanie, skoro orzeczenie ETPC w sprawie rejestracji stowarzyszenia jest ogłaszane wszem wobec jako niezwykły, wręcz epokowy przełom dla polityki prawnej państwa polskiego względem mniejszości narodowych. Unia Europejska nie przepada za państwami narodowymi, co nietrudno dostrzec, dąży również do ich rozmontowania. Polska wydaje się w tym względzie w obecnej konfiguracji politycznej dosyć łatwym celem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

Jaka brzydka jest Warszawa...

Teresa Stylińska

Centrum Warszawy efektownie wygląda wieczorem. Jasne okna na czarnym tle są jak latarnie zawieszone w przestrzeni. Światło dzienne odkrywa jednak niewesołą prawdę: jest brzydko. Ciemność kryje zbiorowisko nieciekawych, banalnych budynków, monotonnych szklanych fasad, dziwacznych form

Wybory samorządowe to dobra okazja, by zastanowić się, co jest naprawdę ważne, gdy zarządza się miastem. Jeżeli sądzić po deklaracjach i działaniach z ostatnich lat, to ważna jest szeroko rozumiana komunikacja – środki transportu, sieć połączeń, dostępność – w tym najważniejsze z ważnych, czyli ścieżki rowerowe. Ważna jest ekologia, zwłaszcza segregowanie śmieci, bo gdy dochodzi do wycinania drzew, sumienie ekologiczne często milknie. Ważna jest tzw. równość, stąd patronat nad paradami równości, czego przynajmniej – i to należy jej zapisać na wielki plus – Hanna Gronkiewicz-Waltz jako prezydent miasta konsekwentnie odmawiała.

Jak widział miasto Stefan Starzyński? Najznakomitszy z prezydentów Warszawy za cel postawił sobie uczynienie z niej miasta wielkiego nie tylko w wymiernych kategoriach. „Chciałem, by Warszawa była wielka [...]. Ja i moi współpracownicy kreśliliśmy plany, robiliśmy szkice wielkiej Warszawy przyszłości" – mówił we wrześniu 1939 r. w ostatnim swym przemówieniu radiowym.

Wszystko, co powstało w ciągu zaledwie pięciu lat rządów Starzyńskiego (który, dodajmy, objął urząd jako prezydent komisaryczny), przetrwało próbę czasu. Nie chodzi tylko o budowle publiczne, takie jak Muzeum Narodowe, wytwórnia papierów wartościowych czy akademik przy placu Narutowicza, lecz także o zwykłe dzielnice mieszkaniowe. Atrakcyjność przedwojennych dzielnic i kamienic z lat 30. jest nieustająca – co znajduje wyraz także w cenach mieszkań. To, co wówczas zbudowano, było nie tylko solidne. Było piękne.

CORAZ WYŻEJ I WYŻEJ

Przywykło się uważać, że największym problemem estetycznym Warszawy jest zaśmiecenie przestrzeni publicznej i panujący w niej chaos: krzykliwe reklamy, wszechobecne billboardy, gigantyczne płachty zasłaniające całe fasady domów. To prawda – choć połowiczna. Bo z chaosem można się uporać. Wystarczyłoby twardo powiedzieć „nie" reklamowemu rozpasaniu. Jeśli nikt tego nie robi, to dlatego, że brakuje woli działania. Konia z rzędem temu, kto pamięta o ustawie krajobrazowej, z którą w swoim czasie wiązano duże nadzieje.

Tworzenie pięknego miasta jest jednak sprawą zupełnie innego kalibru. Wymaga wiedzy, wyobraźni, wyczucia i woli. Usunięcie brzydkiego budynku nastręcza o wiele więcej problemów niż zdjęcie reklamowego banneru. W teorii – bo masowe burzenie warszawskich budynków pod budowę nowych, coraz wyższych pokazuje, że gdy w grę wchodzą bodźce finansowe, nic ma rzeczy trudnych.

I nic nie wskazuje na to, by mogło być lepiej. Szkaradny hotel Czarny Kot przy ul. Okopowej rozebrano, na jego miejscu jednak ma powstać kolejny wysokościowiec, jakich wiele, tym razem z mieszkaniami. Przy skrzyżowaniu al. Jana Pawła II z ul. Grzybowską zniknął biurowiec Atrium z przełomu lat 80. i 90., gdy przy ulicy wówczas jeszcze Marchlewskiego zaczęto stawiać ciąg nowych budynków biurowo-handlowych. Podzielił więc los hotelu Mercure z naprzeciwka. Mercure nie był piękny, to prawda. Ale czy wybudowany na jego miejscu 155-metrowy biurowiec Q22 jest choć trochę lepszy? Taką samą wysokość ma wieżowiec SKYSAWA, pod którego budowę zburzono kilkupiętrowy dom mieszkalny przy ul. Świętokrzyskiej, przeznaczony niegdyś na mieszkania dla cudzoziemców. Dom był zwyczajny, ale wraz z podobnymi domami tworzył harmonijną pierzeję ulicy.

A plany są ambitne. Wynika z nich, że w nieodległym czasie Warszawa pożegna się z wieloma niestarymi budynkami. Są za niskie – a zatem za mało dochodowe. I to, oczywiście, koniecznie trzeba zmienić.

MANHATTAN PO WARSZAWSKU

Przed 30 laty, u progu demokracji i wolności, można było żywić nadzieję, że zachodzące zmiany obrócą się na dobre także dla stolicy, która po zniszczeniach wojennych nigdy nie odzyskała dawnej formy. Powojenna odbudowa wniosła obcą nam architekturę rodem ze Związku

eprasa.pl 82443a69e0

Czy Warszawa, idąc w górę, staje się prawdziwą metropolią? W takim razie Paryż czy Budapeszt metropoliami nie są FOT. ADOBE STOCK

Sowieckiego (która zresztą z upływem czasu nabrała szlachetności, zwłaszcza na tle dokonań ostatnich lat), a przy tym pozostawiła wiele pustych miejsc, szczególnie w zachodniej części śródmieścia zwanej wówczas Dzikim Zachodem. Jeszcze za PRL tę lukę częściowo wypełniło mało urodziwe osiedle Za Żelazną Bramą. A za demokracji na Dziki Zachód wdarły się wysokościowce.

Szansę, by w tym miejscu zbudować dzielnicę, w której resztki dawnych kamienic harmonijnie połączy się z nowymi budynkami, zmarnowano raz na zawsze. Wyrósł tu prawdziwy Manhattan: dzielnica wieżowców, z angielska nazywanych „wieżami". To przedmiot dumy tych, którzy najzupełniej serio dowodzą, że Warszawa, idąc w górę, staje się wreszcie prawdziwą metropolią. Wiedeń, Paryż czy Budapeszt metropoliami więc nie są, bo wieżowców albo nie mają, albo też wyrzucają je poza centrum, nie dopuszczając do tego, by żywioł wysokościowy popsuł miasto.

W Warszawie natomiast świetnie mają się potworki – czy wręcz potwory – w rodzaju wieżowca Złotych Tarasów czy Europlexu na miejscu kina Moskwa. Ten ostatni ma podobno zostać rozebrany i byłaby to doskonała wiadomość, gdyby nie to, że na jego miejscu z pewnością wyrośnie kolejny drapacz chmur, który zniszczy panoramę tak samo jak biurowiec zbudowany na miejscu nieszczęsnego Supersamu, rozebranego mimo długich i stanowczych protestów. Ich nieskuteczność dowodzi, że w starciu z deweloperami mieszkańcy Warszawy są bez szans.

Cóż więc mamy dzisiaj? Centrum nieciekawe, jak w żadnym z wielkich miast Europy. Pustą połać placu Defilad, który stał się wielkim parkingiem, sąsiadującym z zabałaganionym zejściem pod rondo Dmowskiego. Czy powstające Muzeum Sztuki Nowoczesnej coś zmieni? Mamy dwie główne ulice, o wątpliwej wielkomiejskości. Dobre sklepy? Dawno temu. Marnie skończył plac Bankowy: z prawdziwej perły dawnej Warszawy (polecam stare fotografie i filmy) stoczył się do roli odcinka przelotowej arterii. Placem jest już tylko z nazwy.

MIASTO SPISANE NA STRATY

Ekspansja wysokościowców, które rosną z projektu na projekt (Rondo 1 i Złota 44 mają po 192 m, Warsaw Spire – 220 m, Varso – 310 m, najwięcej w Unii Europejskiej, prawdziwy powód do chwały) okazała się nie do powstrzymania. Pierwotnie zapewniano, że skupią się one wokół ul. Emilii Plater i w rejonie al. Jana Pawła II. Ich obecność miała osłabić dominację obcego ciała, którym jest Pałac Kultury. Nie osłabiła, bo jest to niewykonalne, za to deweloperzy chwycili wiatr w żagle. W efekcie wysokie budynki rozpełzły się po całej okolicy, wokół ulic Żelaznej, Towarowej, wzdłuż Al. Jerozolimskich. Budowane jak leci, psują pejzaż miejski z bliska i z daleka, tkwiąc w nim jak kołki wrzucone byle gdzie, bez planu i zasad.

To jasne, że deweloperzy z myślą o zysku chcą budować jak najwyżej (choć odrobina powściągliwości by nie zawadziła). Zdumiewa jednak, że miasto nie potrafi ani zdefiniować, ani reprezentować interesów ogółu mieszkańców. Poręczny argument, zgodnie z którym korzystają wszyscy, bo uzyskane pieniądze są przeznaczane na miejskie przedsięwzięcia, a więc na dobro wspólne, ma pewien pozór słuszności. Pytanie jednak, co na szali miejskiej powinno być najważniejsze.

Nie są to sprawy jednoznaczne i nie przypadkiem duże poruszenie budziła w swoim czasie kwestia przenoszenia śródmiejskich szkół, które zajmują działki zbyt cenne, by mogły się marnować na niedochodowe cele edukacyjne. Szkoły są na straconej pozycji, bo władze miejskie postępują tak, jak gdyby nic nie wiedziały o swych powinnościach wobec mieszkańców. Weźmy najgłośniejszy przypadek renomowanego liceum im. Hoffmanowej, które musiało opuścić swą siedzibę przy ul. Emilii Plater, bo na tym miejscu musi powstać wysoki budynek (który zresztą do dziś nie powstał). Właściwie – dlaczego musi?

I oto mamy miasto, w którym brakuje miłych dla oka zaułków, ciekawych perspektyw, placyków, przytulności. Żadne kluby, nocne lokale, nocne życie, które – według niektórych mediów – przydają Warszawie wielkomiejskości, tego nie zastąpią.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że od czasów Stefana Starzyńskiego dzielą Warszawę lata świetlne. Obecne jej władze są z całkiem innej bajki. Nie można powiedzieć, że nic nie robią, zresztą każdym dokonaniem (metro, mosty, linie tramwajowe) chwalą się bez umiaru. Jeżeli jednak ich pracę mamy oceniać po owocach, to nie dopatrzymy się ani poczucia służebności, ani pokory – dwumilionowe miasto nie może brać za wzór Nowego Jorku czy Tokio, to nie ta skala – ani szacunku dla tradycji, ani potrzeb estetycznych. Piękno to kategoria, która w zderzeniu z realiami jest skazana na porażkę.

Nie każdy też ma świadomość, że w Warszawie każda zmiana ma w sobie drugie dno. Remont ulicy? Zostanie połowa miejsc do parkowania (miasto nie jest dla zmotoryzowanych, tylko dla pieszych i rowerzystów). Budowa mostów i nowych arterii? Wszystko przesłonią paskudne ekrany, bo przejrzyste są kosztowne. Skrzyżowania i rozjazdy? Koniecznie w wersji maksi. Obłędne czynsze dla sklepów? A po co komu sklepy?

Choć recepta jest właściwie banalnie prosta: postawić tamę wysokościowcom, rozważyć, co można zrobić, by miasto stało się przyjemne dla oka i dobre do życia, i stworzyć ramy w postaci dobrych planów. Pamiętać, że w Warszawie z dawnej substancji pozostało tak mało, że tym bardziej trzeba ją chronić. To się zdarza – vide: sławny niegdyś Pekin na rogu ulic Złotej i Żelaznej, mocno nadwątlony zębem czasu i historii, dziś olśniewający. Szanować tradycję i czerpać z dobrych wzorów. A tych wcale nie brakuje i nie trzeba ich szukać za granicą, bo jest ich pod dostatkiem w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

Feministki nas urządzą

Zuzanna Dąbrowska

Aborcja i pigułka „dzień po", sprawy środowiska LGBT. Gdyby wierzyć w świat przedstawiany nam przez lewicowe portale, to są tematy najważniejsze dla wszystkich polskich kobiet

Współczesna Polka chce mieć aborcję na żądanie, nieograniczony dostęp do tzw. antykoncepcji awaryjnej oraz aktywnie wspiera mniejszości. Sęk w tym, że to jedynie przepuszczona przez soczewkę współczesnego, skrajnie radykalnego feminizmu wizja rzeczywistości, a nie jej wierne oddanie. Warto wiedzieć, jak chcą nam urządzić świat aktywistki feministyczne, ponieważ ze względu na aktualny układ polityczny ich głos coraz mocniej rezonuje wśród rządzących.

– Niestety, żyjemy tu i teraz w tym patriarchalnym świecie, w którym dzban stoi koło dzbana. W którym jest mnóstwo mężczyzn i niestety kobiet, które nienawidzą nas, siostry, które nienawidzą kobiet, które chcą nas tłamsić, nie szanować, gnoić, które chcą, żebyśmy nie miały naszych praw – wykrzykiwała podczas manifestacji przed Pałacem Prezydenckim jedna z działaczek Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Pikietę zorganizowano z okazji 8 marca, który w tym roku upłynął (jeszcze bardziej niż w latach ubiegłych) pod hasłem aborcji.

Wściekłość feministek wywołał ruch marszałka Sejmu Szymona Hołowni. Zdecydował on, że projekty aborcyjne, w tym ten wprowadzający możliwość przerywania ciąży bez podania powodu do 12. tygodnia życia dziecka nienarodzonego, będą procedowane dopiero po wyborach samorządowych. – Jest mnóstwo dzbanów nawet w pałacach, którzy uważają, że jesteśmy za głupie, siostry, żeby decydować o swoim życiu, że jesteśmy za głupie, żeby decydować o własnym ciele, że jesteśmy za głupie, żeby decydować o własnych cip.ach – grzmiała aktywistka. Środowiska aborcyjne

eprasa.pl 82443a69e0

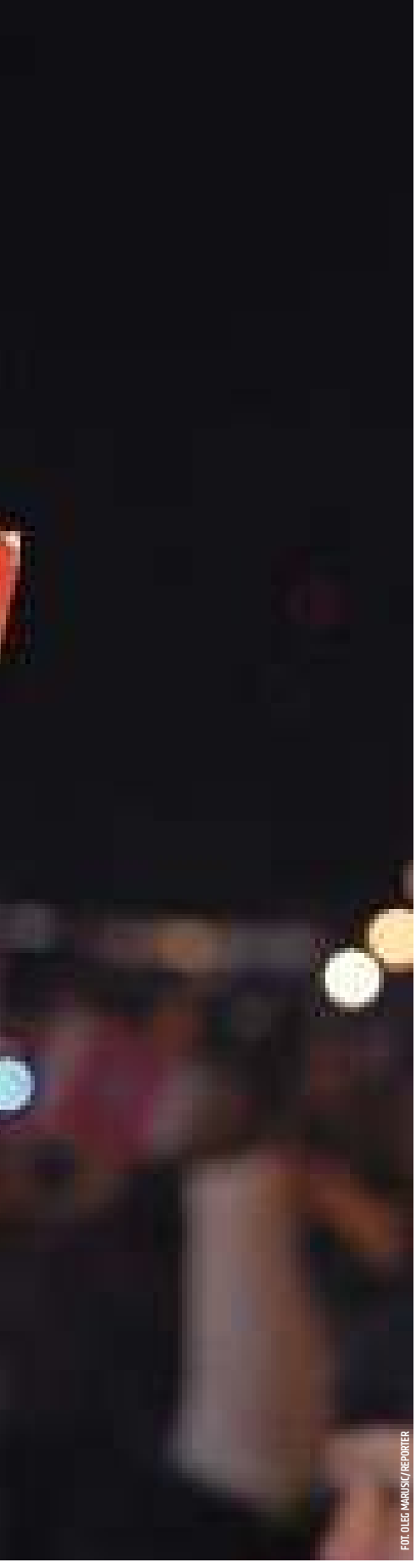

FOT. OLEG MARUSIC/REPORTER

zapowiedziały, że jeżeli będzie trzeba, to znowu wyjdą masowo na ulice.

Nic dziwnego, że szeregowe działaczki śrubują nastroje, skoro również w Sejmie emocje sięgają zenitu. Szefowa klubu Lewicy Anna Maria Żukowska wykrzykiwała z mównicy w stronę marszałka Hołowni, że dla mężczyzn nigdy nie jest dobry czas, by zająć się sprawami kobiet. Wręczając mu wniosek o zamknięcie posiedzenia (w celu uzupełnienia porządku obrad o projekty w sprawie aborcji), wykrzyczała: „A ta błyskawica, panie marszałku, będzie wymierzona w pana!". – Jestem zła, sfrustrowana i jestem w gniewie. Tak jak wiele innych kobiet, które już mają dosyć czekania na zmiany w prawie aborcyjnym. Nie chodzi o to, czy takie ma poglądy czy tak zagłosuje pan Hołownia. Niech zagłosuje, właśnie o to chodzi, żebyśmy się wszyscy dowiedzieli, kto ma ostatecznie jakie poglądy – tak Żukowska tłumaczyła później w jednym z wywiadów skandaliczny i wulgarny wpis na portalu X, w którym stwierdziła, że lider Polski 2050 powinien „wypier….ć".

Na politykę rządu próbuje też wpływać Marta Lempart, która po dłuższej nieobecności wróciła do obiegu publicznego. – Nie możemy mieć marszałka Sejmu, który wykorzystuje swoje stanowisko, żeby prowadzić swoją propagandę; wpadać w histerię i blokować ustawy, nazywając się przy tym „demokratą" – stwierdziła. Zwróciła się do premiera, aby „zrobił porządek z koalicjantami". – Panie Donaldzie, panie premierze, czy pan coś z tym zrobi? Może ktoś się nabiera, że Trzecia Droga, zwłaszcza jej część pt. PSL, w honorze uniesie się, odda wszystkie stanowiska i odejdzie z koalicji. Myślę, że czas przestać się na to nabierać. To oni powinni się bać, że wyrzuci ich pan z koalicji – wskazała.

MĘŻCZYŹNI BEZ PRAWA GŁOSU

Pomysły dotyczące aborcji idą niekiedy w dość egzotyczną stronę, choć obserwując niechęć środowiska feministycznego do mężczyzn, nie powinny one budzić szczególnego zdziwienia. Podczas debaty o prawach kobiet w studiu TVP Info gościła pisarka Katarzyna Grochola, która ogłosiła, że „nie życzy sobie, żeby ktoś zaglądał do jej brzucha". – Papież Franciszek powiedział, że sprawa aborcji jest sprawą między tym człowiekiem, który dokonuje aborcji, a Panem Bogiem. I tego bym się raczej trzymała. Ale nie nabieram się na demagogię, czy to chodzi o skrobanki czy nie. Chodzi o to, że kobiety mają decydować. Jeżeli pan Hołownia wymyślił referendum, to bardzo proszę, z tym że wobec tego tylko kobiety mają prawo brać udział w tym referendum – stwierdziła.

Takie postawienie sprawy zdziwiło nawet prowadzącego program Marka Czyża, który zapytał, czy mężczyźni nie powinni mieć prawa głosu. – Nie, bo wy nie macie macicy – odparła Grochola. – Będę się upierał, że jednak jakiś udział w tym przedsięwzięciu mamy – nie odpuszczał dziennikarz. – Bardzo mały i znikomy, nikt przy was nie stoi, prokurator Ziobro nie stał, jak myjecie się pod prysznicem zbyt wytrwale – podsumowała pisarka, występując w roli autorytetu.

Antynaukowa i alogiczna teza, jakoby ciąża była sprawą wyłącznie kobiety, jest dość powszechna wśród zwolenniczek „wolnego wyboru". Prezenterka TVP Info Karolina Opolska przekonuje, że „o kwestii aborcji NIE POWINNO decydować się w referendum, a jednym z powodów (poza bardziej oczywistymi) jest to, że w referendum wzięłyby udział osoby, których ten problem nie dotyczy".

Referendum w sprawie liberalizacji przepisów aborcyjnych generalnie jest dla zwolenniczek aborcji problematyczne. Między nietrafionymi argumentami udziału w nim grup rzekomo niezainteresowanych można natknąć się na ostrzeżenie – referendum może pójść nie tak, jak powinno. Niedawno Irlandczycy sprzeciwili się właśnie na drodze referendum zmianie zapisów konstytucji dotyczących nadrzędnej roli małżeństwa oraz roli kobiety. Druga proponowana zmiana dotycząca sformułowania roli kobiet w domu została odrzucona przez 73,9 proc. Irlandczyków, co stanowi najwyższy w historii odsetek głosów na „nie" w przeprowadzonych do tej pory referendach w Irlandii.

„Jeśli Irlandia odrzuca zmiany w konstytucji dotyczące roli kobiet, bo spartaczono kampanię referendalną, to jakim cudem ktoś jeszcze wierzy, że w Polsce uda się zorganizować referendum aborcyjne?" – pyta w tekście na

eprasa.pl 82443a69e0

łamach „Gazety Wyborczej" Dominika Wantuch. Autorka stara się przekonać czytelników (a może także samą siebie?), że odrzucenie przez społeczeństwo ideologicznych nowinek to swego rodzaju błąd w Matrixie, efekt źle prowadzonej kampanii referendalnej. „W Polsce na merytoryczną debatę dziś nie ma szans, a powiązane z wyborami referendum 15 października 2023 r. pokazało, jak łatwo można manipulować pytaniami referendalnymi" – podkreśla dziennikarka.

Aborcja jest Świętym Graalem feministek. 10 marca aktywistki z Aborcyjnego Dream Teamu świętowały „Dzień Uznania Pracy Aborcjonistek, szerzej znany jako Dzień Wdzięczności do osób, które dostarczają aborcje wszystkim tym, które jej potrzebują". Robert Biedroń z Lewicy przekonuje, że na wzór Francji aborcja powinna zostać zapisana w konstytucji.

Obok walki o „legalną aborcję tu i teraz" porządna feministka powinna „rypać patriarchat". O tym, jak jest to ważne, pisała przy okazji afery wokół stołecznego Teatru Dramatycznego pisarka Agnieszka Szpila. „Odcinam się od rewolucji głoszonej przez Monikę Strzępkę powołującą się na mój tekst, bo w jej wydaniu ów »heksowy przewrót« jest fejkiem. Tak jak cała głoszona przez nią rewolucja" – grzmiała, odnosząc się do zarzutów o mobbing, formułowanych wobec Strzępki (ostatecznie odwołanej w styczniu z funkcji dyrektora).

Pisarka dodaje, iż „Monika Strzępka nie zrozumiała, że nie można rypać patriarchatu bez zrypania tego, co patriarchalne najpierw w sobie". Dalej Szpila pisze: „Jednocześnie cały czas wierzę w potężne przesłanie HEKS, zgodnie z którym to, co Sterczące, a zatem patologicznie utrzymujące hierarchię władzy i zależności, należy zastąpić tym, co płożące i miękkie, uwspólnione". Pisarka przedstawia swoją wizję feminizmu. „Poznałam HEKSY – nie kobiety, a mężczyzn, a także osoby niebinarne, które swój feminizm realizowały w zupełnie nowy, niezwykle żywy sposób, nie deklarując go w hasłach czy pisaninie, a w aktywnościach i aktywizmie. Bo feminizm jest dążeniem do równości, a nie do dominacji w odwecie za opresję; obietnicą, że nigdy nie będziesz szła, nie będziesz rozrabiała i nie będziesz walczyła o godność sama, sam i samo" – zaznacza.

Manifest ten pokazuje jeszcze dobitniej, jak radykalnych zmian ideologicznych chcą feministki, gdy zna się poglądy Moniki Strzępki. Nie jest to bynajmniej artystka konserwatywna. To ona „wprowadziła" do Teatru Dramatycznego rzeźbę waginy i urzędowała w „waginecie"; to Strzępka stwierdziła, że „żyjemy w kraju, w którym mamy penisów wysztorcowanych wszędzie bez liku, bo to są symbole fallusa. Wszystko, co jest wysokie i pnie się w górę, to jest męskie".

FEMINIZM A PRĄD

Niezwykle ważną zdobyczą na drodze do obalenia znienawidzonego patriarchatu będzie pigułka „dzień po". „Ograniczając dostęp do antykoncepcji awaryjnej, antyaborcyjni, anty-antykoncepcyjni, katolicko-radykalni działacze prawicy podzielili społeczeństwo i chcieli wywołać wstyd u tych kobiet i mężczyzn, którzy z antykoncepcji awaryjnej musieli skorzystać" – pisała w „Wysokich Obcasach" cytowana już wcześniej Dominika Wantuch. Jej zdaniem ustawa wprowadzająca pigułkę bez recepty, już od 15. roku życia, „to pierwszy krok do normalności. Ważny, ale dopiero pierwszy".

Dziennikarka jest oburzona wątpliwościami prezydenta Andrzeja Dudy, który ustawy nie chce podpisać, ponieważ w jego ocenie środki tak silne i inwazyjne nie powinny być dostępne na każdym rogu. Jednak jedyne, co ze słów prezydenta wyciągnęła redaktor z „WO", to rzekome (zapewne patriarchalne) poczucie wyższości. „Przede wszystkim razi to, jak beztrosko i z uśmiechem na ustach prezydent Polski obraża kobiety i traktuje nas jak idiotki i obywateli drugiej kategorii. Oto bowiem kreśli Andrzej Duda świat, w którym mądrzy, odpowiedzialni politycy muszą ograniczać nam dostęp do tabletek, bo jeśli nie będzie recept, to rzucimy się wszystkie jak stado głupich krów do aptek i będziemy łykać pigułkę »dzień po« do śniadania, przy obiedzie i do kolacji" – żali się Wantuch. I domaga się przeprosin: „Panie Prezydencie, pan nas, kobiety, obraża i powinien pan przeprosić".

Walczyć z patriarchatem można na każdym polu, także w… energetyce. „Transformacja energetyczna to czas przełamywania tradycyjnych wzorców. Także tych dotyczących roli kobiet" – czytamy w tekście opublikowanym przez portal OKO.press. „W Polsce w działalnościach związanych z wytwarzaniem energii pracuje już blisko 45 tys. kobiet. To plasuje nas na trzecim miejscu w Europie (po Niemczech i Francji). Jednak w ujęciu procentowym ten obraz nie jest już tak optymistyczny. Kobiety stanowią jedynie 23 proc. zatrudnionych w działalnościach związanych z wytwarzaniem i zaopatrywaniem w energię. To wskaźnik o połowę niższy niż dla całej gospodarki" – zaznaczono.

Według serwisu rozwój energetyki wymaga „energii wielu osób o różnorodnych kompetencjach", a „branża nie może sobie pozwolić na to, aby nie sięgać do puli talentów, a także dodatkowych korzyści, jakie niesie ze sobą różnorodność pracowników". Co ma do tego płeć? Według OKO.press „większy udział kobiet może pomóc w lepszym odzwierciedleniu różnorodności społeczności lokalnych i zachęcać do uczestniczenia w projektach energetycznych".

Podobne tezy można rzucać w każdej dziedzinie życia, bo przecież nikt nie jest w stanie udowodnić, że tak nie będzie, a wyznawcom feminizmu nie przeszkadza to, iż nie mogą pokazać twardych danych.

POD JEDNĄ TĘCZĄ

Aktywiści udający walkę o prawa kobiet chętnie maszerują pod tęczową flagą. – Zależy mi na tym, by w moim biurze znalazła się tęczowa flaga. Nie będzie ona stała obok flag Polski i UE, ale ten symbol musi zaistnieć – mówiła, obejmując urząd ministra do spraw równości Katarzyna Kotula z Lewicy. Problem w tym, że rewolucja ma się dokonać nie tylko w sferze symboli (choć ta jest także niezmiernie ważna).

W przejętym przez lewicowców resorcie sprawiedliwości ruszyły prace nad przepisami o „mowie nienawiści". Wiceminister Krzysztof Śmiszek zapowiedział, że zgodnie z umową koalicyjną poszerzony zostanie katalog przesłanek, które będą traktowane jako dyskryminacyjne – obok orientacji seksualnej, tzw. tożsamości płciowej, wieku oraz niepełnosprawności ma nią być także płeć.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

REPUBLIKA

„Rozmawiam o polityce. Z moimi gośćmi komentuję najważniejsze wydarzenia z kraju i z zagranicy. Zadaję konkretne pytania i oczekuję rzeczowych odpowiedzi. Zapraszam od wtorku do piątku o 18:20 do Telewizji Republika"
– Miłosz Kłeczek

MIŁOSZ KŁECZEK
ZAPRASZA

od **wtorku**
do **piątku**
18:20
w Telewizji Republika

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

epiprasa.pl 82443a69e0

Z Krzysztofem Łukaszewiczem, reżyserem, scenarzystą i aktorem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Kwiaty wzrosłe z

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Pamięta pan moment, w którym zakiełkował pomysł filmu fabularnego o Monte Cassino?

KRZYSZTOF ŁUKASZEWICZ: Towarzyszyły temu sprzyjające okoliczności, zbliżała się 80. rocznica bitwy. Pomogłem Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych skończyć „Raport Pileckiego", w którego realizację zaangażowany był minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński. Uznałem, że to może być szansa wyjednania wsparcia u ministra. Tekst, który przyniosłem, przypadł do gustu.

Mam to przełomowe starcie w głowie za sprawą lektury książki Melchiora Wańkowicza. Pańskie doświadczenie jest podobne?

Sam reportaż Wańkowicza posłużył mi za całą literaturę niezbędną do napisania scenariusza. Wańkowicz zdaje się być wszędzie, jednocześnie. Towarzyszy zwykłym żołnierzom na polu walki i dowódcom w sztabie. Stąd na ekranie postać redaktora W. Leszek Lichota wcielił się w rolę alter ego Wańkowicza, będącą swoistym pomnikiem dla wybitnego reportażysty, który utrwalił pamięć o zdobywcach Monte Cassino.

Scenariusz tkał pan z myślą o konkretnych wykonawcach czy wyłoniono ich drogą eliminacji?

Powstawał dwutorowo: wątek fikcyjny miał za zadanie stworzyć bohatera nieoczywistego, o własnych, wewnętrznych motywacjach. Tak narodził się Jędrek, niespełna 18-letni cwaniak, który to się „między gierki nie pcha", za to jest gotów na wszystko, aby ocalić od ryzyka udziału w bitwie tych, których kocha.

Z kolei wątek historyczny to gen. Władysław Anders i odwzorowanie jego dowódczej roli w czasie bitwy. Do tego podczepiłem jeszcze element reportażowy, a więc zaczerpnięte z pisarstwa Wańkowicza postacie żołnierzy walczących na pierwszej linii – porucznicy Wilkosz oraz Drelicharz, sanitariusz Brzeziński i inni.

Pisząc scenariusz, „widziałem" już w roli gen. Andersa Michała Żurawskiego, a jako redaktora W. – Leszka Lichotę…

Główni bohaterowie są fikcyjni?

Wspomniany już Jędrek, jego starszy brat Stanisław, oficer pancerniak, nastoletnia Pola z Pomocniczej Służby Kobiet to figury stworzone na potrzeby dramaturgii, mające konkretne funkcje do spełnienia.

Na ekranie oglądamy też jednak postacie autentyczne…

Oprócz Andersa występują jego podkomendni generałowie: Nikodem Sulik, Bolesław Duch, Zygmunt Szyszko-Bohusz, a także niżsi rangą oficerowie oraz żołnierze. Historię z fikcją spina osoba wszędobylskiego alter ego Wańkowicza.

To generalnie męskie kino, zawiera również pierwiastek żeński.

Mój wieloletni chlebodawca, producent filmowy Tadeusz Lampka, twierdził po premierze „Karbali", że gdybym umieścił tam wątek miłosny, to liczyłbym widzów nie w setkach tysięcy, ale w milionach. Stąd w „Czerwonych makach" ekscytacje uczuciowe Jędrka wobec Poli, choć w sprawie przekonań dzieli ich wszystko.

Istotnym elementem obrazu jest batalistyka. Obsada musiała przejść specjalistyczne kursy?

Aktorzy biorący udział w scenach walk, a więc Mateusz Banasiuk, Dariusz Toczek, Cezary Łukaszewicz, Krystian Wieczorek czy Szymon Nygard, okazali się na tyle sprawni, że nie było potrzeby dodatkowego przeszkolenia. Broń uczyli się obsługiwać na planie. Z kolei Nicolas Przygoda, czyli Jędrek, to urodzony sportowiec, grał w kadrze juniorów w piłkę, codziennie biega, chodzi na siłownię. Wyraził nawet chęć wykonania skoku z mostu na jadącą ciężarówkę (rzecz dzieje się w irańskim prologu „Maków"),

eprasa.pl 82443a69e0

Kadr z filmu „Czerwone maki"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

polskiej krwi

ale od tego są dublerzy. Kaskaderzy wyszkolili chorwackich statystów celem bezpiecznego poruszania się po skałach kamieniołomów, gdzie realizowaliśmy przebieg bitwy, dublowali Jędrka, robili pierwszoplanowe upadki „ginących" żołnierzy…

Po raz kolejny przydało się panu doświadczenie zdobyte podczas terminowania u boku Jerzego Hoffmana?

Jasne, wykorzystane potem w „Karbali", „Orlętach. Grodno '39" i podczas ekranizacji całkiem pokaźnej bitwy pod Grunwaldem – do serialu „Jagiellonowie"… A „Ogniem i mieczem" było, mój Boże, 27 lat temu!

Czemu zdjęcia plenerowe realizowano w Bułgarii oraz Chorwacji?

O Bułgarii zadecydowało wyposażenie w New Bojanie – studiu filmowym położonym pod Sofią. Mają tam imponujące dekoracje – arabskie, rzymskie i włoskie, które przy stosunkowo niewielkich adaptacjach Marek Warszewski zamienił na perskie miasto, Pahlavi, gdzie dzieje się prolog filmu. Z kolei obóz cywilów ewakuowanych z ZSRS, nad Morzem Kaspijskim – zrealizowaliśmy na wybrzeżu Morza Czarnego. Zatem Bułgaria robiła nam za Iran. Natomiast Chorwacja udawała Włochy. W okolicach pięknego, usytuowanego nad Adriatykiem, Starigradu udało nam się znaleźć wszystkie potrzebne plenery w odległości pół godziny od hoteli. Między innymi nieczynny kamieniołom. Mogliśmy w nim do woli strzelać i eksplodować, realizując całą batalistykę. Produkcyjnie trudno o bardziej dogodną lokalizację. No i te gołe góry, były dokładnie takie jak 80 lat temu pod Monte Cassino, które dziś jest tak porośnięte roślinnością, że w niczym nie przypomina krajobrazu z czasów drugiej wojny światowej.

Scenerii historycznej w kadrze „Czerwonych maków" zabrakło?

W scenopisie figurował wieńczący film „widok współczesny cmentarza na Monte Cassino", lecz okazał się niepotrzebny. Zbyszek Domagalski, producent, dyrektor WFDiF, i tak narzekał na zbyt dużą liczbę epilogów.

Jaka sekwencja wymagała najwięcej wysiłku?

Batalistyka, jak to zwykle w gatunkowym, wojennym kinie. W Polsce przy tego rodzaju produkcji zawsze jest niedostateczny budżet, który przenosi się potem na brak „hollywoodzkiego" rozmachu. W efekcie sekwencje militarne trzeba robić naprędce i „sposobem", skupiając się w kadrze na bohaterze, a nie na epickości urody sceny batalistycznej jako takiej. Takowa jest zresztą bodaj najtrudniejsza w realizacji – kilkuset statystów trzeba jakoś podszkolić, aby się nie pozabijali. W to wszystko włożyć kaskaderów i pirotechnikę. Pół dnia prób, potem ujęcie całości, które nie może się nie udać, bo nie ma już czasu na przygotowanie dubla, albo materiały pirotechniczne są wyliczone i na powtórkę ich zabraknie To jest – nomen omen – praca sapera, nie możesz się pomylić.

Starcie, które otworzyło aliantom drogę do Rzymu, jest w zachodniej historiografii mało znane. „Czerwone maki" będą wyświetlane za granicą?

To pytanie do dystrybutorów. Oczywiście chciałbym, żeby tak się stało.

Wersja serialowa jest przewidziana?

Na szczęście nie. Materiału mamy na 120 minut. To i tak nieźle, zważywszy na zaledwie 33 dni zdjęciowe, które mieliśmy do dyspozycji.

Dorobek filmowy Krzysztofa Łukaszewicza dowodzi, że nauka zwana przez starożytnych nauczycielką życia jest mu bardzo bliska. Studia historyczne nie wchodziły w rachubę?

Z racji szczególnych zainteresowań historią myślę, że z pewnych okresów dziejów Polski mam wiedzę na poziomie magistra. Skończyłem ekonomię w Szczecinie i dziennikarstwo w Warszawie, a robię filmy wojenne. Czasem nie wierzę w to wszystko. Rzeczywistość przebiła moje marzenia. I to wielokrotnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Krzysztof Łukaszewicz – reżyser, scenarzysta, okazjonalnie aktor, absolwent Wydziału Ekonomii i Zarządzania Uniwersytetu Szczecińskiego oraz Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Ma w dorobku takie tytuły jak: „Lincz", „Karbala", „Żywie Białoruś!", „Orlęta. Grodno '39", „Korona królów. Jagiellonowie", „Grunwald 1410", „Raport Pileckiego" i najnowszy – „Czerwone maki", który na ekrany kin trafi 5 kwietnia.

eprasa.pl 82443a69e0

Mamy problem

Piotr Gociek

„Problem trzech ciał”, ekranizacja kontrowersyjnego chińskiego bestsellera, to science fiction z wielkim naciskiem na „science”. Ale najważniejsze są tu pytania natury moralnej

Numer jeden w zestawieniu najchętniej oglądanych produkcji Netflixa, entuzjazm fanów i przychylne opinie krytyków – można się było tego spodziewać po serialu, którego jedyną wadą jest to, że – jak donosi jeden z amerykańskich portali filmowych – „jeden odcinek kosztuje 20 mln dol.”. Odcinków jest na razie osiem, ale są perspektywy na dużo, dużo więcej, bo David Benioff i D.B. Weiss dopiero się rozpędzają, mając za paliwo wielki bestseller science fiction ostatnich lat, czyli trylogię Cixina Liu „Wspomnienie o przeszłości Ziemi”. Składa się ona z powieści „Problem trzech ciał”, „Ciemny las” i „Koniec śmierci” (wydanych w Polsce nakładem Rebisu w latach 2017–2018).

Benioff i Weiss to nazwiska doskonale znane miłośnikom telewizyjnych produkcji klasy premium, bo to oni stoją za sukcesem „Gry o tron”, wielkiego przeboju HBO według serii powieści George’a R.R. Martina. Teraz w pracy wspomagał ich jeszcze Alexander Woo, współscenarzysta znanych seriali „Czysta krew”, „Terror” czy „Nieśmiertelne życie Henrietty Lacks”. Benioff i Weiss mieli propozycje dalszej współpracy z HBO, ale odrzucili ją na rzecz długiej i obejmującej wiele projektów umowy z Netflixem. „Problem trzech ciał” („3 Body Problem”) to pierwszy widomy efekt tego biznesowego porozumienia. Okrzyknięto ich po premierze nowej serii specjalistami od ekranizowania książek niemożliwych do sfilmowania. Poczekajmy, zobaczymy, co będzie dalej. Jeśli duet B&W chce opowieść przeprowadzić do końca, to będzie musiał opowiedzieć historię sięgającą końca istnienia naszego Wszechświata. Wtedy ocenimy. Na razie dostaliśmy prolog całej historii.

SCENA WARTA KAŻDYCH PIENIĘDZY

Rzecz rozgrywa się na kilku płaszczyznach. Po pierwsze, we współczesnym Londynie wytrawny detektyw Clarence Shi prowadzi dochodzenie w sprawie tajemniczych zgonów najlepszych fizyków. Dlaczego odbierają sobie życie? Dlaczego naukowcy mówią o tym, że „fizyka przestała mieć sens”? Czemu zamykane są wszystkie ziemskie akceleratory cząstek?

Jeszcze ważniejsze rzeczy dzieją się o dekady wcześniej w komunistycznych Chinach. Tam w samym środku rewolucji kulturalnej Mao (jakże eufemistyczna nazwa zwykłego ludobójstwa) młoda Ye Wenjie jest świadkiem publicznej egzekucji swojego ojca, profesora fizyki, zatłuczonego na oczach tłumu przez Czerwoną Gwardię. Ta scena otwiera pierwszy odcinek i nawet jeśli z całego serialu nie miałoby być żadnego pożytku, to warta jest ona każdych pieniędzy. Szokująca, brutalna, ale oddająca prawdę o praktykach chińskich komunistów – i zobaczyły ją teraz dzięki Netflixowi dziesiątki, jeśli nie miliony widzów na całym świecie. Bezcenne, podobnie jak późniejsze sceny z chińskiego gułagu i chińskiego więzienia. W Chinach Netflix usług nie świadczy, ale pirackie wersje rozchodzą się w Internecie błyskawicznie, więc wybuchła burza komentarzy. Widać w niej, moim zdaniem, interwencję chińskiego rządu – wiele opinii to próby przekierowania uwagi z problemu prawdziwego na wydumany. Czyli z ponurej historii reżimu Mao na zarzut rasizmu. Jak Zachód śmiał zamienić w serialu chińskich bohaterów na piątkę białych z Oxfordu?!

Wróćmy do akcji powieści i serialu. Ye Wenjie trafia do tajnego programu, którego celem jest nawiązanie kontaktu z obcą cywilizacją. Cel udaje się osiągnąć w tajemnicy przed przełożonymi. Ale z niebios przychodzi ostrzeżenie od kosmicznego

eprasa.pl 82443a69e0

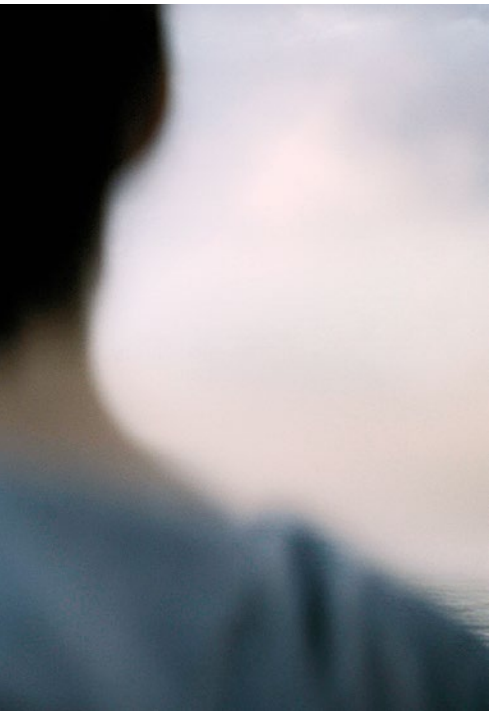

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

pacyfisty: nie kontaktujcie się z nami, bo was podbijemy. Rozczarowana ludzkością Ye Wenjie odpisuje: przylećcie, bez was sobie nie poradzimy. Wiele lat później okazuje się, że wysłannicy obcych już tu są, a w kierunku Ziemi leci wroga flota. Przybędzie za 450 lat. I co dalej?

Cixin Liu w swoich powieściach (niezmiernie popularnych i w Chinach, i na Zachodzie, gdzie wychwalali je Zuckerberg czy Obama) łączy zręcznie masę zgranych i znanych od dawna motywów. Jest u niego wirtualna rzeczywistość, są komputery działające w 11 wymiarach, splątania kwantowe, sztuczne inteligencje, kriogenika, żagle słoneczne itd. No i przede wszystkim obca inwazja. „Model inwazyjny w fantastyce właściwie wyklucza subtelne rozważania na temat konfliktu wartości” – pisał Jacek Sobota w pracy „Konflikty moralne. Literatura fantastyczno-naukowa jako próba symulacji sytuacji konfliktowej” (Olsztyn 2011). „Impakt wiedzie prostą drogą ku eksterminacji przeciwnika” – przypomina Sobota. I dodaje, że w „konkwistadorskim” modelu kontaktu zwykle ludzkość obsadza się w roli Indian skazanych na wygubienie.

ZIMNY REALISTA

W posłowiu do „Problemu trzech ciał” wtóruje mu Cixin Liu: „Między naiwnością i dobrocią, którą ludzie przejawiają wobec Wszechświata, a ich stosunkiem do bliźnich jest dziwna sprzeczność. Na Ziemi mogą wyruszyć na inny kontynent i bezmyślnie zniszczyć cywilizacje, które tam zastaną, ale gdy patrzą na gwiazdy, stają się sentymentalni i wierzą, że jeśli istnieje inteligencja pozaziemska, to stworzone przez nią cywilizacje muszą przestrzegać uniwersalnych, szlachetnych zasad moralnych i że różnorodne formy życia muszą się kierować równie powszechnym, oczywistym kodeksem postępowania”. I puentuje: „Uważam, że powinno być dokładnie odwrotnie – obdarzmy życzliwością członków naszego rodzaju na Ziemi i budujmy zaufanie oraz zrozumienie pomiędzy różnymi ludami i cywilizacjami, natomiast ostrożność wobec Wszechświata, i bądźmy gotowi przypisywać jak najgorsze intencje obcym”. Chiński autor jest zimnym realistą w ocenie potencjalnych braci w rozumie i jednocześnie jest utopistą w ocenie ludzkości. Ale jaka utopia mu się marzy? Jak zacieśniać współpracę w imię wspólnej walki z kosmicznym zagrożeniem?

Tu zaczyna się prawdziwy problem, którego pierwszy sezon „Problemu trzech ciał” dotyka tylko w jednym momencie (wszystko przed nami – jak wspomniałem, jesteśmy dopiero na początku bardzo długiej i pogmatwanej opowieści). Aby zdobyć informacje o szczegółach obcego zagrożenia, trzeba będzie dokonać krwawych czynów: mniejszego zła w imię wspólnego dobra – ocalenia ludzkiej rasy. Ale kto ma te decyzje podejmować i jak daleko może się posunąć?

Wierny czytelnik i błyskotliwy krytyk fantastyki Wojciech Orliński kpił w „Wyborczej”, gdy ogłoszono plany ekranizacji trylogii Cixina Liu: „Wymordować milionik czy dwa? Bywa, trudno. Chiński pogląd na światowy ład wkrótce rozpropaguje Netflix” i wykładał kawa na ławę: „Ludzkość uratują dyktatorskie rządy Koalicji dowodzonej przez Chińczyków. Tamtejsze społeczeństwo nadzoru i kontroli doczekało się światowej gwiazdy science fiction na serio wierzącego w świetlaną przyszłość tego ustroju”. Jak będzie w serialu, tego jeszcze nie wiemy, najtrudniejsze przed nami. Ale kontrowersje wokół chińskiego autora już wybrzmiały. Piątka amerykańskich kongresmenów pytała w liście do Netflixa, czy gigant podziela poglądy Cixina Liu na sprawę prześladowanych mniejszości w Chinach. Powtarzał wszak w „New Yorkerze” propagandową papkę Pekinu na temat Ujgurów, których masowo zamyka się w obozach „reedukacyjnych”.

Cixin Liu żyje i pisze w Chinach, jego książki nie mogłyby się ukazać, gdyby wszedł w konflikt z polityką władz. W cytowanym już posłowiu zastrzega przezornie, że jego celem jako fantasty nie jest „krytykowanie obecnej rzeczywistości”, bo zadaniem science fiction jest „tworzenie licznych wymyślonych światów”. Od kwestii politycznych i moralnych jednak nie uciekniemy.

Serialowa wersja „Problemu trzech ciał” zrealizowana jest wyśmienicie, choć dla niezainteresowanego fantastyką odbiorcy próg wejścia jest dużo wyższy niż w przypadku „Gry o tron”. A trudne pytania dopiero nadejdą. Linie podziału już widać, bo jedni z bohaterów idą śladami Ye Wenjie w jej bezbrzeżnej mizantropii (ludzkość jest paskudna, niech obcy zrobią z nami porządek), inni chcą z kosmitami współdziałać, a nawet oddawać im cześć, a jeszcze inni szykują się do bezlitosnej wojny. Czy wzięcie ludzkości za twarz i wprowadzenie naukowej dyktatury to rzeczywiście działanie dla naszego dobra? Są czytelnicy, którzy za chińskim autorem akceptują teorię amoralnego wszechświata, w którym liczy się tylko prawo silniejszego.

A ja przypominam sobie cykl o Enderze autorstwa Orsona Scotta Carda. Tam główny bohater, który odpowiadał za niemal całkowite wybicie obcego gatunku (ksenocyd), spędził resztę życia na pokucie i próbie naprawienia swego błędu. Doprowadziło go to do miejsca, w którym otwarcie przeciwstawił się reszcie ludzkości, twierdząc, że cywilizacja, gotowa do unicestwienia innych istot rozumnych, sama nie zasługuje na istnienie. Card jest zaczytanym w Biblii mormonem, Cixin Liu przybywa do nas ze świata chińskiego komunizmu i religii efektywności. Starcie tych punktów widzenia jest ważne nie dlatego, że za chwilę pojawi się na naszym niebie flota obcych, ale dlatego, że już trwa wojna cywilizacji o to, kto i jak będzie kształtował przyszłość ludzkości. Mnie do rozwiązań chińskiego pisarza nieśpieszno. Czekam na koleje sezony „Problemu trzech ciał”, bo ciekaw jestem, jak z tymi dylematami poradzą sobie Benioff i Weiss.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Wściekłe pięści

Wykidajło" („Road House") z 1989 r. był filmem głupiutkim i nieintencjonalnie zabawnym. Patrick Swayze jako praktyk wschodnich sztuk walki wyglądał absurdalnie, ale wielką charyzmą nadrabiał wszystko. Partnerująca mu Kelly Lynch emanowała seksapilem bardziej pasującym do popularnych w latach 90. filmów neo-noir, a na drugim planie błyszczał niezawodny jak zwykle Sam Elliott. Film Rowdy'ego Herringtona stał się kultowym klasykiem wśród filmów tak złych, że aż dobrych – w każdym razie bardzo chętnie oglądanych.

Nowa wersja, którą dla Amazona nakręcił Doug Liman („Na skraju jutra", „Tożsamość Bourne'a"), nie ma żadnych zalet oryginału, za to do jego wad dokłada nowe.

Jest więc podobnie jak film Herringtona głupiutka, ale jednocześnie nudna i niepotrzebnie pretensjonalna, gdy bohaterowie próbują być meta, dyskutując, czy występują w westernie czy jednak w kryminale. Fabuła podobna: walczący z demonami przeszłości (zabił człowieka na ringu) wykidajło najęty zostaje do prowincjonalnej knajpy, żeby pomóc właścicielowi (tu: właścicielce) zaprowadzić porządek z trudną klientelą. Bandziory powiązane są zaś z miejscowym bogaczem, snującym niecne plany. Reszta to rutyna: mordobicia, rozwalanie sobie na głowach krzeseł i tak dalej. Tyle że u Limana akcja rozgrywa się nie w stanie Missouri, lecz na jednej z wysepek Florida Keys.

Przy wszystkich wadach, kliszach i nieprawdopodobieństwach film Herringtona był zabawny – film Limana jest męczący. Oryginał miał styl jak serial „Miami Vice"; nowa wersja to dziwaczna próba przeniesienia do nadmorskiej knajpy stylistyki pojedynków MMA, w których biorą udział absurdalnie umięśnieni osobnicy wyglądający jak wyjęci z gry „Mortal Kombat". Zresztą głównym przeciwnikiem bohatera granego (bez wdzięku) przez wyżyłowanego Jake'a Gyllenhaala jest prawdziwy fighter MMA, czyli Conor McGregor. Jeśli miał być to hołd dla oryginału, to nieudany, jeśli pastisz – to kulawy. Jak zresztą stworzyć pastisz czegoś, co już za pierwszym razem było pastiszem? „Road House" to film zupełnie niepotrzebny, ale osiągnął swój cel – błyskawicznie po premierze stał się (nie tylko w Polsce) najchętniej oglądanym filmem Amazona. Co gorsza, drzwi do sequela są otwarte. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. DOUG LIMAN
„ROAD HOUSE"
USA 2024

wyst. Jake Gyllenhaal, Daniela Melchior, Conor McGregor

NOWE SERIALE: „DŻENTELMENI"

Powrót do przestępczego świata Londynu znanego kinowego hitu pod tym samym tytułem (z roku 2019). Bohaterowie inni, perypetie znajome: jak nie gangsterzy, to dilerzy, jak nie podziemne walki bokserskie, to lichwiarskie pożyczki. W nowym dla siebie świecie próbuje nawigować świeżo upieczony dziedzic fortuny Halsteadów (Theo James). W obsadzie także Vinnie Jones, Giancarlo Esposito i Ray Winstone. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***reż. Guy Ritchie, Nima Nourizadeh „Dżentelmeni" („The Gentlemen"), Wielka Brytania 2024***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Palm Royale"***, *USA 2024* — tv
- *miniseria* ***„Boat Story"***, *Wielka Brytania 2024* — SKY SHOWTIME
- *sezon 1* ***„Buntowniczka Nell" („Renegade Nell")***, *Wielka Brytania 2024* — Disney+

eprasa.pl 82443a69e0

Usta ciemności

arte

Nonszalancka rekonstrukcja przedostatniego rozdziału biografii poety przeklętego. Arthur Rimbaud, mając 17 lat, chciał „docierać do nieznanego". Odkąd wszedł w wiek męski, interesują go już tylko pieniądze, które dają człowiekowi prawdziwą wolność. Zrażony do Europy, próbuje zbić fortunę w Afryce. Interes z kawą nie wypalił? To nawet lepiej, bo można zarobić znacznie więcej, dostarczając cesarzowi Etiopii 2 tys. strzelb z demobilu. Ale i tu kłopoty mnożą się jak króliki. Francuz na wiele miesięcy ugrzęźnie w porcie Tadżura (filmowcy wybrali bliższe i bezpieczniejsze Maroko). Niesolidność wspólników tudzież inercja tubylców sprawią, że straci nerwy oraz fason.

Gauguin w tropikach też się źle prowadził, ale przynajmniej malował. Reżyser, najwyraźniej chcąc podkreślić, że Arthur wizjoner i Arthur kupiec to dwie różne osoby, zatrudnił aktora, którego trudno pomylić z Leonardem DiCaprio. Fabuła zatacza pętlę, Aguilera kreując atmosferę osaczenia, zapożycza się u Kafki i Lyncha. Zagadka Rimbauda pozostaje nierozwiązana.

★★★☆☆☆

REŻ. PEDRO AGUILERA
„SPLENDID HOTEL"
FRANCJA 2023

wyst. Damien Bonnard, Patricia Iloki, Layachi Lembrabet

„Splendid Hotel" jest jak typowy zjazd absolwentów. Gdy po 20 latach wychodzi na jaw, że klasowy geniusz został drobnym urzędnikiem, dyżurny dowcipniś robi karierę w służbach, a królowa balu maturalnego stała się kurą domową. Jednym słowem: rozczarowanie. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PRZEKRĘT STULECIA

sky SHOWTIME

Bajka, ale wciąż doskonale się ją ogląda. „Żądło" kochają widzowie, trochę mniej krytycy filmowi. Gdy pół wieku temu George Roy Hill i spółka triumfowali na oscarowej gali, żadna z siedmiu statuetek nie trafiła w ręce aktorów. Haniebnie skrzywdzono duet, który sprawdził się już w westernie „Butch Cassidy i Sundance Kid". Wtedy zresztą również obeszło się bez nagród. Redforda doceniła przynajmniej Włoska Akademia Filmowa. Newman musiał natomiast zadowolić się sławą człowieka, który odkrył niezawodny sposób na kaca (dzieciaki, nie próbujcie tego robić w domu, Paul był profesjonalistą). Opowieść o pospolitym ruszeniu oszustów, pragnących pomścić śmierć kolegi, płynęła na wzbierającej fali retro. „Żądło" można nawet uznać za pierwszą jaskółkę filmowego postmodernizmu. Scott Joplin wymyślił wszak ragtime na początku XX w. W kryzysowych latach 30. Ameryka słuchała już innej muzyki.

★★★★★☆

REŻ. GEORGE ROY HILL
„ŻĄDŁO" („THE STING")
USA 1973

wyst. Robert Redford, Paul Newman, Robert Shaw

PONIEDZIAŁEK: JA

KINO

Eric Rohmer nie żyje, niech żyje Christian Petzold! Niemiecki reżyser popełnił psychodramę, rozpisaną na cztery osoby (w porywach pięć), które spotykają się w letnim domku, położonym w leśnej głuszy, lecz zarazem w pobliżu Bałtyku. Głównym bohaterem uczynił antypatycznego grubaska. Leon, młodzieniec wiecznie nadąsany i bezinteresownie złośliwy, w pocie czoła cyzeluje nową powieść. Jak łatwo zgadnąć: to proza nadęta i wydumana, mimowolnie ujawniająca narcyzm autora. Gdyby nasz berlińczyk raczył dostrzec otaczający go świat, odkryłby, że dobre tematy leżą na ulicy (albo na plaży). Na szczęście, gdy zawiodą perswazje otoczenia, do akcji wkroczy opatrzność, fundując Leonowi serię upokorzeń i zaskakujących zwrotów akcji. Petzold wykorzystał w „Czerwonym niebie" wiersz Heinego, który z powodu nadmiernej szczerości musiał ewakuować się do Francji. Przypadek? ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆

REŻ. CHRISTIAN PETZOLD
„CZERWONE NIEBO" („ROTER HIMMEL")
NIEMCY 2023

wyst. Thomas Schubert, Paula Beer, Langston Uibel

GRA TYGODNIA: „MLB: THE SHOW 24"

★★★★☆☆

W Polsce to sport niszowy, ale producenci wzięli pod uwagę, że bejsbolowych ignorantów jest wśród graczy większość. Wiele więc możemy tu zautomatyzować i ułatwić, ale jeśli o tym sporcie nie wiemy nic, to nie mamy co liczyć na miękkie lądowanie. Dziewiętnasta odsłona cyklu symulatorów z licencją największej ligi świata, Major League Baseball, robi wrażenie oprawą wideo i klimatem rozgrywek. Rzecz dla fanów bejsbola lub przynajmniej osób znających zasady. Reszta może zaspokoić ciekawość w zasadzie bezkosztowo – gra jest dostępna w Game Pass. ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *sportowa*
- ***Platforma:*** *PS5, PS4, XONE, XSX, NS, PC*
- ***Wydawca:*** *San Diego Studio; Sony Interactive Entertainment*

eprasa.pl 82443a69e0

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nowe szaty Marksa

Po rozpadzie bloku sowieckiego i upadku czegoś, co nazywamy realnym socjalizmem, a co było smutną rzeczywistością i w Polsce, i w wielu innych krajach, wydawać się mogło, że marksizm spocznie wreszcie zasłużenie na cmentarzysku idei, co najwyżej wegetując jeszcze w takich państwach jak Korea Północna. Okazał się jednak zadziwiająco odporny na dziejowe wstrząsy i w nowej postaci, najczęściej przepoczwarzony w neomarksizm kulturowy, znów zatruwa nam życie. O tym, czym naprawdę była i jest ta chora ideologia, niezmiennie bazująca na bezbożności, terrorze i nachalnej propagandzie, opowiada w swojej najnowszej książce prof. Wojciech Roszkowski. Stwierdzając, że „podtrzymywany głównie z powodów politycznych marksizm jest zarówno nagi, jak i martwy. Mimo to zaraża kolejne pokolenia".

Mając swoje, jak najgorsze, doświadczenia z teoriami wymyślonymi dawno temu przez Karola Marksa, a wtłaczanymi nam do głów przez ich tępych propagatorów, nie bierzemy pod uwagę tego, że marksizm przez czas miał i ma swoich zwolenników w Europie Zachodniej. W latach 60. opanował on uniwersytety we Francji, we Włoszech, w Niemczech, wprowadzając na katedry takich osobników jak uchodzący za filozofa Louis Pierre Althusser, klasyczny psychol, uznany przez sąd za niepoczytalnego i tylko dlatego nieskazany za zamordowanie żony, ale i komuch, który w pracy „Czytając »Kapitał«", bolał nad niezrozumieniem Marksa przez potomnych. I dzieło to ze śmiertelną powagą roztrząsane było na uczelniach całego świata, choć napisane było językiem wykluczającym jakąkolwiek z nim dyskusję.

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Ale i w Europie Wschodniej, zdawałoby się uodpornionej na wszelkie „powaby" marksizmu, co jakiś czas objawia się on, często – jak czytamy – „w postaci uatrakcyjnionej przez zachodnią elegancję", np. w twórczości szalenie modnego jakiś czas temu słoweńskiego filozofa, Slavoja Žižka. Cóż dopiero, gdy zajrzymy głębiej w przeróżne „izmy", na pozór niemające wiele wspólnego z ideami wyróżniającego się bujnym zarostem rzekomego mędrca, którego 200. rocznicę urodzin upamiętniły uroczystości w Trewirze, z odsłonięciem pomnika Marksa – daru Chińskiej Republiki Ludowej i przemówieniem szefa Komisji Europejskiej Junckera.

Profesor Roszkowski po kolei przygląda się i objaśnia, czym są współczesny genderyzm, feminizm, ekologizm, a wreszcie transhumanizm, wedle którego największym zagrożeniem dla świata jest człowiek. Trzeba więc stworzyć nowego człowieka, czemu towarzyszyć musi budowa nowego społeczeństwa. Tu należy przypomnieć, że jednym z założeń transhumanizmu jest – jak to sformułował jeden z jego apostołów, Max More – „praktyczny optymizm", czyli myślenie w pierwszym rzędzie eliminujące religię, jak wiadomo, już z natury rzeczy blokującą postęp.

W szeroko pojętym nurcie ekologizmu mieszczą się z kolei głębokie przemyślenia innego współczesnego guru, Yuvala Noaha Harariego, autora nadzwyczaj poczytnych, także w Polsce, książek takich jak „Sapiens: od zwierząt do bogów". To ten izraelski historyk, weganin i homoseksualista w jednej osobie, uznał, że największą zbrodnią w dziejach jest hodowla zwierząt, a już odrywanie cieląt od matek jest czymś, czego trzeba natychmiast zaprzestać. No cóż, w takim rozumieniu „przyrodnicze sumienie człowieka" staje się – powiada Wojciech Roszkowski – „ważniejsze od sumienia jako takiego, a ochrona planety staje się ważniejsza od ochrony życia ludzkiego".

Sławny „Manifest komunistyczny" Karola Marksa i Fryderyka Engelsa z 1848 r. kończył się, jak niektórzy pewnie pamiętają, słowami: „Niech drżą panujące klasy przed rewolucją komunistyczną. Proletariusze nie mają w niej nic do stracenia prócz swych kajdan. Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!". Sporo się jednak od tamtego czasu zmieniło. Dzisiejsi „aktywiści" w obronę nie biorą już proletariuszy, a z więzów religijnych, etycznych i rodzinnych wyzwolić chcą kobiety, homoseksualistów, osoby uwięzione w swej tożsamości płciowej, „jest nawet mowa o wyzwoleniu z niewoli zwierząt, a nawet całej przyrody".

„Gdzie jest koniec szaleństw ideologicznych wywodzących się z marksizmu?" – pyta w zakończeniu swojej książki prof. Wojciech Roszkowski. I dodaje jeszcze: „Jeśli przyjąć, że należy za wszelką cenę bronić przyrody przed człowiekiem, to dlaczego nie bronić materii nieożywionej przed organizmami żywymi? Ideałem byłby świat martwy?". ©℗

★★★★☆☆

WOJCIECH ROSZKOWSKI „BEZBOŻNOŚĆ, TERROR I PROPAGANDA. FAŁSZYWE PROROCTWA MARKSIZMU"
BIAŁY KRUK, KRAKÓW 2024

eprasa.pl 82443a69e0

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Świadectwo

Drugi dzień wojny. Ulice są puste" – zapisuje w pierwszej notatce swego nieformalnego dziennika Serhij Żadan. Wpisy w mediach społecznościowych, krótkie wypowiedzi wideo, słowa otuchy, apele o pomoc – tu potrzebne ubrania, tam flamastry dla dzieci, jeszcze gdzie indziej trwa zbiórka na samochody i leki. „Praca wolontariuszy to nie wyrzut dla państwa, to dowód na to, że wszyscy dziś pracujemy razem". I powracające jak refren co jakiś czas zdanie: „Nad miastem powiewa nasza flaga". Żadan pozostał w Charkowie. I robił, co mógł.

Od lutego do lutego, pierwszy rok brutalnej rosyjskiej inwazji. List z przeszłości, bolesny i smutny, bo z dzisiejszej perspektywy wiemy, jak próżne były nadzieje na szybkie zwycięstwo, na ratunek dla oblężonych miast. Dzień 59., 23 kwietnia 2022 r.: „Rozmawialiśmy z chłopcami broniącymi Mariupola. Są przekonani, że wciąż jest szansa na ewakuację obrońców miasta, a przede wszystkim – dzieci, kobiet i rannych". Dziś Mariupol przypomina Warszawę dzień po zgnieceniu powstania. I ten los grozi kolejnym miastom; w chwili, gdy piszę te słowa, agencje prasowe donoszą o tym, że 200 tys. mieszkańców Charkowa po ostrzale odciętych jest od prądu, a wojskowi analitycy twierdzą, że oblężenie i zdobycie tej metropolii będzie celem wiosennej ofensywy Rosjan.

Od lutego do lutego, „W mieście wojna" to dziennik pierwszego roku pełnoskalowej wojny. Ile tych lat jeszcze będzie? Nikt nie wie. Mijają miesiące. W połowie czerwca głos odzyskuje Żadan poeta. Od tej chwili w dzienniku pojawiać się będą nie tylko relacje z życia wolontariusza, lecz także zapiski poety i pisarza. „Może właśnie teraz warto zacząć / Ile bym nie przekonywał siebie, że to nie czas [...] wciąż wygląda na to, że mowa jest silniejsza niż strach milczenia [...] Jest w tym wszystkim trwoga. Bo wszystko ma wagę".

Pogrzeby. Powroty na przepustkę przyjaciół, którzy są na froncie. Wracają odmienieni. Z zaciętymi ustami, ciężkimi spojrzeniami. Inni. I ostatnie słowa ostatniego w książce wiersza: ***„ludzie przychodzą do tego miasta / przejmują się nim / bronią go, powtarzają miasto jak wiersz / nauczony w szkole /przepuszczony przez serce".***

Trzeba dać świadectwo. ©℗

★★★★★☆
SERHIJ ŻADAN „W MIEŚCIE WOJNA" CZARNE 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Inny punkt widzenia na batalię, która dla Polaków jest przede wszystkim symbolem bohaterstwa armii gen. Andersa. Parker wskazuje zaś na jej podobieństwo do wojennych rzezi pierwszej wojny światowej.

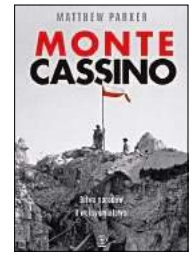

MATTHEW PARKER „MONTE CASSINO" REBIS

Obszerna i wielce zajmująca opowieść o najbardziej fascynującej erze w dziejach brytyjskiej stolicy. Czas błyskawicznego rozwoju, dramatycznych nierówności, brudu i znoju, a także dzieje wykuwającej się nowoczesności.

JUDITH FLANDERS „ŻYCIE CODZIENNE W LONDYNIE DICKENSA" PIW

Dzieje koncernu Apple po śmierci Jobsa, czyli od mekki wizjonerów do czystego biznesu, w dodatku uwikłane w praktyki monopolistyczne i zależności polityczne (jak budzące duże wątpliwości porozumienie z Chinami).

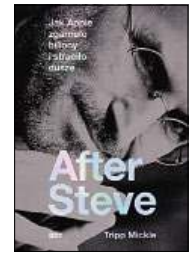

TRIPP MICKLE „AFTER STEVE" ZNAK

Wędrując pieszo po Wielkiej Brytanii, w poszukiwaniu dolin, wrzosowisk, szczytów, rzek czy wysp, których nie zniszczyła współczesność, autor medytuje także nad ich przeszłością. I żegna chorego na raka druha. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

ROBERT MACFARLANE „DZIKIE MIEJSCA" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

KOMIKS TYGODNIA: „DOM USHERÓW"

Belg Jean Dufaux to jeden z najbardziej cenionych scenarzystów frankofońskiego komiksu. Znany ze współpracy z Grzegorzem Rosińskim („Skarga utraconych ziem") i serii „Giacomo C." czy „Murena" tym razem zaprasza do świata jednego z najsłynniejszych opowiadań Edgara Allana Poe. Za stronę graficzną opowieści (technika koloru bezpośredniego) odpowiada Jaime Calderón. ©℗

Piotr Gociek

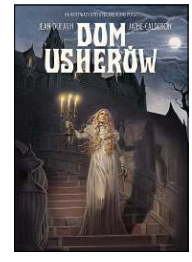

JEAN DUFAUX „DOM USHERÓW" LOST IN TIME 2024

eprasa.pl 82443a69e0

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Wieczny zachwyt

Muzeum Podlaskie w Białymstoku podkreśla, że „Wieczny zachwyt" jest pierwszym w tym regionie tak obszernym pokazem prac Leona Wyczółkowskiego, jednego z czołowych malarzy realistów Młodej Polski. Obrazy olejne, akwarele, gwasze, litografie, akwaforty, akwatinty i rysunki pochodzą z niemal wszystkich okresów twórczości artysty.

FOT. MUZEUM PODLASKIE W BIAŁYMSTOKU

Jest wśród nich jeden z najsłynniejszych obrazów Wyczółkowskiego („Wiosna – wnętrze pracowni artysty"), są prace przedstawiające motywy architektoniczne i zabytkowe, są dzieła impresjonistyczne (w tym „Kopanie buraków"), są wreszcie portrety rodziny i przyjaciół malarza oraz kilka autoportretów. To właśnie portrety, pełne emocji, wydobywające nastroje i stany psychiczne modeli, stanowią główną oś ekspozycji. Nie mogło zabraknąć również dzieł z ważnego w życiu artysty okresu ukraińskiego oraz podkreślających związki Wyczółkowskiego z regionem, zwłaszcza z Białowieżą. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Podlaskie w Białymstoku***
KIEDY? ***do 31 sierpnia***

FOT. MUZEUM MIEJSKIE W TYCHACH

STELLA

Miało być jak nigdy, wyszło jak zwykle. Stella to nazwa jednego z osiedli przyszłości, które zaplanowano w ramach programu „PR-5" uruchomionego w 1974 r. Tyskie osiedle miało wyznaczyć standardy dla budownictwa w średnich i małych miastach. Zespół projektantów pracujących pod kierunkiem Hanny Adamczewskiej-Wejchert i Kazimierza Wejcherta miał swobodę, na którą nie mogliby liczyć w normalnych, nieeksperymentalnych warunkach. O tym niezrealizowanym projekcie opowiada wystawa „Stella – niezaistniałe osiedle przyszłości". ©℗

GDZIE? ***Muzeum Miejskie w Tychach***
KIEDY? ***do 31 sierpnia***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Niebo nadal będzie jutro

Osiemdziesięcioszześcioletni saksofonista nie tylko jest dziś legendą, lecz także wydaje wspaniałe albumy. Ten jest jego 11. płytą opublikowaną ze znakiem wytwórni Blue Note i pierwszą od wielu lat, na której przeważają premierowe kompozycje Amerykanina.

Charles Lloyd jest wolnym duchem muzyki improwizowanej. W swojej grze krzyżuje jazz z folkiem, rockiem i muzyką współczesną. W 1966 r. założył legendarny kwartet, w którym grali perkusista Jack DeJohnette, pianista Keith Jarrett i basista Cecil McBee. Było to pierwsze jazzowe combo, które zyskało sławę wśród hippisów, a jego album koncertowy „Forest Flower" należy do najpopularniejszych płyt jazzowych w ogóle. Okładki do płyt Lloyda z lat 60. projektował polski grafik Stanisław Zagórski.

Po chudych artystycznie dwóch dekadach Charles Lloyd powrócił w latach 90. na wielką scenę dzięki wytwórni ECM. W 2015 r. podpisał kontrakt z Blue Note i już pierwszy nagrany dla niej album „Wild Man Dance" stał się przebojem. W książeczce do najnowszej płyty Lloyd wyjawia, że na początku kariery był naiwnym młodzieńcem, który wierzył, że muzyka może pięknem przyćmić brzydotę świata. Teraz z nowym kwartetem chce „złożyć ofiarę czułości". To bardzo emocjonalna płyta, na której improwizacje grupowe są podporządkowane lirycznym melodiom. Te 15 utworów potwierdza klasę mistrza. ©℗

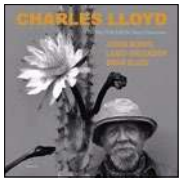

★★★★★★
CHARLES LLOYD
„THE SKY WILL STILL BE THERE TOMORROW"
BLUE NOTE

★★★★★★
AIR
„MOON SAFARI [25TH ANNIVERSARY EDITION]"
WARNER BROS

Francuski duet nagrał chilloutową perłę będącą połączeniem wysmakowanej elektroniki z nostalgicznymi melodiami jakby żywcem wyjętymi z płyt Bacharacha, Gainsbourga i soundtracków do włoskich filmów klasy B.

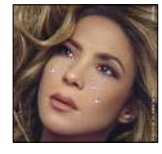

★★★☆☆☆
SHAKIRA
„LAS MUJERES YA NO LLORAN"
SONY

Przez siedem lat Shakira publikowała tylko single, które teraz ukazują się na albumie o tytule „Kobiety Już Nie Płaczą". Zestaw uzupełniają premierowe piosenki, które niestety nie wychodzą poza sztampową mieszankę latynoskiego disco i gorzko-słodkich wyciskaczy łez.

eprasa.pl 82443a69e0

FOT. FUNDACJA IM. BOŻENY I MARIUSZA WALTERÓW

Laury dla ponadprzeciętnych

Krzysztof Masłoń

Wisława Szymborska utrzymywała, że ludzie „głupieją hurtowo, a mądrzeją detalicznie". Tych „detalistów" nie mogę się jakoś doszukać, a już wypatrzyć ich na szklanym ekranie – niepodobna

Mało co tak mnie ostatnio ucieszyło, jak przedświąteczne uhonorowanie Nagrodą im. Mariusza Waltera (jest taka, a co!) w kategorii Wydarzenie Roku zespołu redagującego „19.30". Przekonany byłem, że ta ekipa czyszcząca otrzyma, wzorem wnuka ministra z „Misia" Barei, puchar „za zajęcie pierwszego miejsca", tymczasem 18-osobowa kapituła szczegółowo i jakże przekonująco wyjaśniła motywację tego wyróżnienia. Otóż dzielny zespół nagrodzony został za „przygotowanie w rekordowym tempie, pod presją czasu, oczekiwań społecznych i w trudnych warunkach formalnych, alternatywy dla upolitycznionych »Wiadomości« oraz za dążenie do stworzenia profesjonalnego, obiektywnego i wiarygodnego programu informacyjnego realizującego misję mediów publicznych".

Szczególnie wzruszyły mnie te „oczekiwania społeczne", podobnie jak zapewnienie organizatorów, że osoby nagrodzone wykazują się „ponadprzeciętną odwagą cywilną i twórczą". Trafiony, zatopiony.

Nie wątpię także w ponadprzeciętność nagrodzonej tą samą nagrodą, tyle że w kategorii Osobowość Medialna Roku, Katarzyny Kasi, znanej ze słynącego z obiektywizmu TVN-owskiego „Szkła kontaktowego", jak również z porażających swą błyskotliwością felietonów w rzetelnym do bólu „Newsweeku".

Gdyby to ode mnie zależało, podobny puchar „za zajęcie pierwszego miejsca" przyznałbym nieocenionej Katarzynie Janowskiej, która po triumfalnym reaktywowaniu na Woronicza jej „Hali odlotów", w programie poświęconym sztucznej inteligencji i możliwościach oraz zagrożeniach, które stwarza ona dla świata sztuki i kultury, ni z tego, ni z owego wygarnęła prof. Andrzejowi Zybertowiczowi, że jego formacja polityczna za pomocą Pegasusa podsłuchiwała Bogu ducha winnych rodaków jak Polska długa i szeroka.

Profesor Zybertowicz, swoją drogą nader sceptyczny w ocenach sztucznej inteligencji, co wyłożył w książce „Cyber kontra real", dobrotliwie doradził prowadzącej, by nie powielała propagandowych fejków, i elegancko powrócił do tematu dyskusji, w której toku okazać się miało, że artyści (przynajmniej ci zaproszeni do studia) uważają, że wszystko już zostało napisane, zagrane, wyśpiewane, sfilmowane itd. Pytanie, po co w takim razie robią to, co robią, zamiast np. kijem gruchy obijać, co ze społecznego punktu widzenia byłoby nawet bardziej pożądane, zawisło w próżni.

Z inicjatywy tejże Janowskiej, na co dzień „producentki treści kulturalnych" w Onecie, jej macierzysta firma przy współudziale miasta Krakowa przeprowadziła plebiscyt „O!Lśnienia" połączony z przyznaniem nagród, które dobitnie ukazują stan kultury polskiej otrząsającej się z zapaści, w którą wpędziły ją straszliwe rządy PiS.

Już lista nominowanych była imponująca, a przyznane nagrody mówią same za siebie. I tak w dziedzinie literatury bezkonkurencyjne okazały się „Chłopki" Joanny Kuciel-Frydryszak („lektura oddająca głos pokoleniom kobiet wykluczonych i zagłuszonych"), w dziedzinie filmu naturalnie „Zielona granica" Agnieszki Holland, właśnie wprowadzona – zapewne w świątecznym prezencie dla abonentów – do oferty Canal+, w kategorii teatralnej Mateusz Pakuła za spektakl wymownie zatytułowany „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję" (rzecz „o prawie do godnego umierania, odzierający śmierć z fałszywych upiększeń"), a już nie tyle kulturowym o!lśnieniem, ile prawdziwym objawieniem stał się uhonorowany główną nagrodą serial „1670". Ten „ostry jak brzytwa historyczny serial komediowy z kapitalnymi aktorskimi kreacjami, który obnaża nasze narodowe wady i wchodzi w dialog ze współczesnością", od czasu, gdy jego miłośnikiem okazał się sam Donald Tusk, na sukces był skazany i taki, rzecz jasna, odniósł.

Wisława Szymborska utrzymywała, że ludzie „głupieją hurtowo, a mądrzeją detalicznie". Tych „detalistów" nie mogę się jakoś doszukać, a już wypatrzyć ich na szklanym ekranie – niepodobna. Cóż, z badań przeprowadzonych nie w Polsce nawet, a w uchodzących za kraje wysoko, a nawet bardzo wysoko rozwinięte jak Stany Zjednoczone czy Wielka Brytania wynika – co przypomniała niedawno w „Książkach" Małgorzata Katarzyna Piekarska – że choć na początku zeszłego wieku iloraz inteligencji człowieka wzrastał o trzy punkty na dekadę, to szczyt nastąpił wśród urodzonych w połowie lat 70. i od tego czasu średnia IQ na świecie się zmniejsza, i to aż o siedem punktów. Czyli nasza noblistka miała rację, bo nawet jeśli trafiają się jednostki o wysokim IQ urodzone, powiedzmy, po 1980 r., to i tak większość osób z tych roczników chwalić się może, czym chce, poza inteligencją jednak. A tę, niestety, obraża się na każdym kroku. I dlatego nagrody Onetu sprokurowane pod światłym okiem redaktor Janowskiej są takie właśnie. Laureatom przekazuję wyrazy. ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

Jedynym wyjściem reemigracja

Paweł Chmielewski

Wielki kryzys migracyjny z lat 2015–2016 rzekomo się skończył, ale do Europy nadal napływają setki tysięcy przybyszów rocznie. Składają wnioski o azyl, żyją wygodnie za publiczne pieniądze... a relatywnie duża część z nich popełnia przestępstwa. Problemy państw zachodniej UE wkrótce mogą stać się naszymi

W grudniu 2023 r. zakończony został etap negocjacyjny Paktu o migracji i azylu, który ma wprowadzić kilka ogólnoeuropejskich rozwiązań dotyczących napływowej ludności. Z polskiej perspektywy najbardziej wątpliwy jest mechanizm solidarnościowy. Komisja Europejska mogłaby uruchamiać go w sytuacji kryzysowej, którą, oczywiście, definiowałaby sama; kraje byłyby zmuszane do przyjęcia określonej liczby migrantów albo do wpłaty 20 tys. euro za każdego odrzuconego migranta. Do przyjęcia Paktu o migracji i azylu jeszcze daleka droga, bo zastrzeżenia formułuje nawet rząd Donalda Tuska, wskazując na specyficzność sytuacji Polski i innych krajów unijnych graniczących z Rosją i Białorusią.

Równocześnie instytucje unijne procedują zmianę traktatów unijnych, która – w intencji inicjatorów procesu – miałaby zakończyć się silną centralizacją Unii Europejskiej. Miałoby to konsekwencje również dla polityki migracyjnej, bo zgodnie z dwiema proponowanymi zmianami Bruksela otrzymywałaby nowe kompetencje dotyczące granic zewnętrznych państw UE. Przepisy są skonstruowane

eprasa.pl 82443a69e0

FOT. ADOBE STOCK

niejasno, ale potencjalnie Bruksela mogłaby rościć sobie prawo np. do decydowania, czy granica polsko-białoruska może być umocniona czy nie.

PRZESTĘPCZOŚĆ SEKSUALNA

Masowa migracja w znaczący sposób obniżyła bezpieczeństwo mieszkańców UE, zwłaszcza kobiet. Mnożą się gwałty i napaści seksualne. W przestrzeni medialnej można niekiedy spotkać głosy, jakoby wcale tak nie było, bo to konserwatywne media kreują fałszywą rzeczywistość, nagłaśniając przypadki gwałtów popełnianych przez uchodźców. Statystyki pokazują jednak jasno, że wzrost przemocy seksualnej jest ściśle związany z masową migracją. Przykładem jest chyba najbardziej odrażająca forma gwałtu, czyli gwałt zbiorowy. Skupię się na danych z Niemiec. W 2015 r. popełniono w tym kraju dokładnie 400 takich przestępstw. W roku 2022 – już 789. Wśród sprawców aż 60 proc. nie miało niemieckiego obywatelstwa.

Tak naprawdę odsetek imigranckich sprawców gwałtów zbiorowych jest jeszcze wyższy. W Niemczech aż 25 proc. ludności ma tzw. Migrationshintergrund – podłoże migracyjne. To osoby urodzone w Niemczech, których oboje lub jedno z rodziców są imigrantami. W przypadku ludności z Afryki oraz Bliskiego Wschodu takie osoby często nie mówią nawet po niemiecku. Jeżeli mówią, to są nierzadko fatalnie zintegrowane (w szkołach potrafią narzucać innym uczniom prawa szariatu, grozić nauczycielom, uciekać z lekcji na modlitwy w meczecie etc.). Niemiecka policja nie podaje danych dotyczących gwałcicieli w tej grupie; możemy się tylko domyślać, że było ich wielu. Jednak już nawet oficjalne statystyki pokazują, że znacząca większość gwałtów zbiorowych jest popełniana w Niemczech przez imigrantów.

To samo dotyczy innych form przemocy seksualnej: gwałtów „pojedynczych" oraz różnorakich napaści seksualnych. W sumie obcokrajowcy popełnili w 2022 r. w Niemczech 47,2 proc. takich przestępstw seksualnych. Tymczasem ich udział w społeczeństwie to 14,6 proc. Ponadto część przestępstw została popełniona przez osoby z „podłożem migracyjnym". Trzeba dodatkowo wziąć pod uwagę, że prawdopodobnie znaczna część przestępstw nie jest w ogóle zgłaszana. W wielu niemieckich miastach przypadki „drobnego" molestowania są zbyt częste, poza tym nie ma nadziei na schwytanie sprawcy, a jeżeli nawet – to z góry wiadomo, że sąd nie wymierzy żadnej kary. Kobiety rezygnują więc z ubiegania się o sprawiedliwość. Co więcej, większość przestępstw seksualnych jest popełniana w kręgu znajomych czy rodziny. W przypadku środowisk afrykańskich i bliskowschodnich z kulturą islamską, która narzuca kobietom mocne poddaństwo, musi to oznaczać radykalnie mniejszą zgłaszalność przypadków przemocy seksualnej.

Niemieckie statystyki pokazują, że spośród imigrantów najczęściej przestępstwa seksualne popełniają Syryjczycy, Turcy, Afgańczycy oraz Irakijczycy

Niemieckie statystyki pokazują, że spośród imigrantów najczęściej przestępstwa seksualne popełniają Syryjczycy, Turcy, Afgańczycy oraz Irakijczycy. Przestępstw popełnianych przez tę ludność jest szczególnie wiele w stosunku do ich liczby w społeczeństwie. Przykładowo: Irakijczycy stanowią 0,3 proc. ludności, ale odpowiadają za 2,3 proc. przestępstw seksualnych; Afgańczyków jest 0,4 proc., ale są sprawcami 3,6 proc. gwałtów i napaści. Przestępstw dopuszcza się też relatywnie wielu Nigeryjczyków (0,8 proc. przestępstw przy 0,1 proc. ludności). Pewna, choć już o wiele niższa nadreprezentacja jest też wśród Rumunów, Polaków i Bułgarów (Polacy są sprawcami 1,3 proc. przypadków przemocy seksualnej przy 1 proc. udziału ilościowym w społeczeństwie).

Gdyby nie było to tak smutne, byłoby nawet śmieszne: ci sami ludzie, którzy walczą o „prawa kobiet" i deklarują się jako feminiści i feministki, doprowadzili do sytuacji, w których kobiety są nawet dwukrotnie bardziej narażone na przemoc seksualną.

EURO, EURO

Przestępczość to oczywiście niejedyny problem z migrantami. Przybysze stanowią dla budżetu państw unijnych gigantyczne obciążenie, a niczego nie wnoszą – i nie ma widoków na to, by to się zmieniło. Wydatki na jednego azylanta są różne w zależności od miejsca. W Berlinie jeden azylant kosztuje przeciętnie ok. 5 tys. euro miesięcznie. Jeżeli migrant jest nastolatkiem, to koszty wzrastają

eprasa.pl 82443a69e0

niemal dwukrotnie. W przypadku negatywnego rozpatrzenia wniosku o azyl pomoc mieszkaniowa i finansowa do migrantów płynie nadal. Jeżeli azyl zostanie przyznany, a imigrant podejmie pracę – również, to jednak zdarza się rzadko, bo azylantom po prostu nie opłaca się pracować.

W sytuacji pogłębiającego się kryzysu gospodarczego wywołanego polityką pandemiczną, zieloną transformacją oraz wysokimi cenami energii budzi to zrozumiałą frustrację, tym bardziej że azylanci są często utrzymywani w hotelach o niezłym standardzie, żyjąc obiektywnie wygodniej niż niejeden pracujący Europejczyk. Do tego dochodzą oczywiście inne koszty, które trudno globalnie obliczyć: administracja publiczna zajmująca się migrantami, potężne problemy systemu edukacji związane z koniecznością zatrudniania dodatkowego personelu dla migrantów – to tylko dwa z nich.

Co ciekawe, pomimo wpuszczenia do kraju kilku milionów migrantów od 2015 r. nadal brakuje rąk do pracy. Na skutek cyfryzacji i automatyzacji w całej Europie spada liczba ofert pracy dla niewykwalifikowanych pracowników; nawet gdyby azylanci chcieli pracować, niekoniecznie mieliby gdzie. Dlatego przedsiębiorcy sprowadzają wykwalifikowanych pracowników. Ponownie – głównie z Afryki oraz Azji.

ROZWIĄZANIA POLITYCZNE

Wszystkie partie polityczne w krajach unijnych twierdzą, że „coś" zrobić trzeba, np. „uszczelniać granice". Problem w tym, że mówią tak od lat, a napływ „uchodźców" jest wciąż ogromny i stale rośnie. W Niemczech w 2020 r. odnotowano 122 tys. wniosków azylowych, w 2021 – 190 tys., w 2022 – 244 tys., a w roku 2023 – ponad 350 tys. A to przecież nie wszyscy migranci, bo część przyjeżdża w ramach programów łączenia rodzin, część (najmniejsza) jest sprowadzana do pracy. W efekcie społeczeństwo nabiera przekonania, że elity polityczne są po prostu nieuczciwe. Innymi słowy: grają w podwójną grę, z jakichś przyczyn nie podejmując żadnych działań z prawdziwego zdarzenia nakierowanych na ograniczenie napływu obcej ludności.

Jedynym ugrupowaniem, które za Odrą budzi jeszcze zaufanie, jest Alternatywa dla Niemiec. Na początku 2024 r. partia notowała poparcie rzędu 20–23 proc. W połowie stycznia wielkie media odpaliły jednak bezprecedensową kampanię oszczerczą. Lewicowy portal Correctiv opublikował obszerny artykuł mówiący o rzekomo tajnym spotkaniu prawicy w Poczdamie z udziałem działaczy AfD. Miano tam rzekomo rozmawiać o przymusowych deportacjach ludności, w tym o deportacjach osób z niemieckim obywatelstwem. Correctiv usiłował wywołać wrażenie, że Alternatywa planuje zrobić to samo, co NSDAP względem Żydów. Żydzi mieli zostać wysłani na Madagaskar, nowi migranci – do Afryki.

Narrację Correctiv podchwycił cały establishment. Na ulicach niemieckich miast dochodziło – i wciąż dochodzi – do masowych demonstracji „przeciwko prawicy" z udziałem w sumie milionów obywateli. W kampanię przeciwko AfD włączył się aktywnie nawet Kościół katolicki – trudno już zliczyć wypowiedzi biskupów wymierzone w Alternatywę jako ugrupowanie, na które katolik nie może rzekomo głosować (takich zastrzeżeń nigdy nie zgłaszano wobec proaborcyjnych i progenderowych partii jak Zieloni czy inne formacje lewicowe). Kampania przyniosła pewne skutki. W ostatnich sondażach poparcie dla AfD spadło do 19 proc. Być może zatrzymany też został wzrost notowań tej partii. Nie trzeba mówić, że cała narracja była oparta na kłamstwie. Correctiv nie przedstawił żadnych dowodów na to, że w Poczdamie mówiono o deportacjach. W istocie omawiano różne sposoby na zachęcenie migrantów do wyjazdu oraz na wydalanie z kraju tych, których wnioski o azyl zostały odrzucone.

Na skutek cyfryzacji i automatyzacji w całej Europie spada liczba ofert pracy dla niewykwalifikowanych pracowników; nawet gdyby azylanci chcieli pracować, niekoniecznie mieliby gdzie

Kampania Correctiv przyniosła też pewne skutki… odwrotne do zamierzonych. W Poczdamie jednym z głównych gości był Austriak Martin Sellner, szef austriackiego ruchu tożsamościowców (identytarystów). Sellner mówił o swojej koncepcji, tzw. remigracji – zbudowaniu systemu, który skutecznie nakłaniałby migrantów do dobrowolnego opuszczania Austrii, Niemiec i innych państw unijnych. Sellner napisał książkę pt. „Remigration. Ein Vorschlag", w której zaprezentował swoją koncepcję. Już w przedsprzedaży książka stała się bestsellerem, trafiając na trzecie miejsce najchętniej kupowanych na Amazonie (w Niemczech nie ma dla Amazona żadnej konkurencji porównywalnej z Allegro). Wprawdzie niektóre miasta, w tym Poczdam, ogłosiły próbę objęcia Sellnera zakazem wjazdu, ale w upowszechnianiu koncepcji remigracji raczej to nie przeszkodzi. Nawet jeżeli krótkofalowo AfD starci, to długofalowo ugrupowanie może zyskać – jako jedyna partia, która chce na poważnie zająć się gwałtownie nabrzmiewającym problemem migracyjnym. Inna sprawa, na ile jej propozycje są skuteczne, tzn. na ile problem w ogóle da się rozwiązać bez podejmowania bardziej zdecydowanych działań.

W innych krajach europejskich sytuacja jest zasadniczo podobna: stopniowo w siłę rosną antymigracyjne ruchy prawicowe, jakkolwiek ich wzrost jest silnie ograniczony przez zmasowaną medialną i polityczną propagandę. Wydaje się jednak, że długofalowo żadna propaganda nie będzie w stanie aż tak bardzo zakrzywić rzeczywistości. Gdyby mieszkańcy państw UE słuchali tylko tej propagandy, poparcie dla AfD w Niemczech nie wzrosłoby dwukrotnie w ciągu dwóch lat, a Marine Le Pen nie prowadziłaby w sondażach prezydenckich. Ubożenie społeczeństw i gwałtowny wzrost przestępczości prędzej czy później doprowadzą do wrzenia. Trudno sobie wyobrazić, jak poważne będzie mieć to konsekwencje, ale projekt pokojowej remigracji będzie być może wspominany z perspektywy czasu z nostalgią jako pięknoduchostwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

PiS, prawica, przyszłość

Marek Jurek

Apel prof. Andrzeja Nowaka o zmianę przywództwa w Prawie i Sprawiedliwości wywołał duży rezonans, stał się istotnym faktem politycznym – i słusznie. Reakcje liderów opinii są nie mniej ważne niż wypowiedzi polityków. Z reguły zresztą ci pierwsi swoje deklaracje traktują o wiele poważniej. Apel ten jednak zawiera wątpliwą tezę i wychodzi z niewątpliwie błędnego założenia

Andrzej Nowak apeluje o więcej demokracji w PiS. Tymczasem problemem PiS nie jest żadna, za przeproszeniem, demokracja wewnątrzpartyjna. Przywództwo Jarosława Kaczyńskiego było od początku zasadniczym motywem powodzenia tej partii. I dzięki jego przywództwu Prawo i Sprawiedliwość pozostaje największą partią w Polsce.

Problemem polityki Prezesa jest natomiast jego obsesyjne poczucie osobistej misji, polityczny solipsyzm, skutkujący lekceważeniem wszystkich interesów społecznych, argumentów politycznych, a nawet zwykłych obowiązków wychodzących poza jego własny polityczny plan. Owszem, w tym sensie Jarosław Kaczyński jest po prostu walczącym contra mundum bohaterem romantycznym. I być może właśnie dlatego Andrzej Nowak nie zauważa wielu konsekwencji jego polityki. Ja jednak wszystkim lelewelistom, rymkiewiczowcom i innym postromantykom zwróciłbym uwagę na jedno. Nasi Wielcy Romantycy (z których my wszyscy) mieli do romantyzmu stosunek ambiwalentny, byli świadomi problemów, które on niesie, i sam romantyzm był źródłem ich (widocznych nawet u Słowackiego) duchowych i moralnych rozterek. Tej ambiwalencji, niestety, nie widać u ich epigonów. Przerwijmy w tym miejscu tę istotną, jak sądzę, romantyczną dygresję, by wrócić do zasadniczego wątku.

W praktyce problem politycznej metody Jarosława Kaczyńskiego nie dotyczy przede wszystkim – jak pisze cytowany przez Andrzeja Nowaka prof. Waśko – „stosunków wewnątrz własnego obozu", ale opinii publicznej jako takiej. Bo to opinia publiczna powołana jest do tego, by interweniować na rzecz najważniejszych nakazów dobra wspólnego, strzec norm kultury narodowej, wskazywać politykom ignorowane przez nich interesy, korygować ich wyborczy czy partyjny oportunizm.

Niestety, słynna PiS-owska „rozmowa z ludźmi" nigdy nie oznaczała otwartości wobec opinii publicznej, a jedynie czytanie nastrojów w sondażach, propagandę medialną i oczywiście pragnienie – przyjemnego, a politycznie potrzebnego – aplauzu. Opinia publiczna wypowiada się przez swoich rzeczników, liderów opinii. Arogancji wobec jej interwencji doświadczył Andrzej Nowak, co przypomina, przywołując list w sprawie politycznych „zmian niszczących humanistykę". Apel ten z prof. Nowakiem podpisali m.in. Jarosław Marek Rymkiewicz i Wojciech Roszkowski. Trudno o bardziej PiS-owskie autorytety opinii. Mimo to został przez adresata kompletnie zignorowany, nie było nań żadnej odpowiedzi.

Do tego smutnego przykładu mogę dodać inny, podobny. W sprawie wypowiedzenia konwencji stambulskiej i zawarcia Międzynarodowej Konwencji Praw Rodziny zwracałem się do Jarosława Kaczyńskiego o ustalenie mapy drogowej tych działań. Chodzi przecież o konieczną reakcję na głęboką rewolucję niszczącą nasze międzynarodowe otoczenie i uderzającą tą drogą w nasz kraj. Z największym zrozumieniem dla podejścia PiS apelowałem o „mapę" właśnie, by – jeśli okoliczności przeszkadzają tej sprawie chwilowo – ustalić, w jakich warunkach i konkretnie kiedy konwencję wypowiemy. Apelowałem o „mapę", byśmy nie musieli uruchamiać ustawicznej presji i by PiS nie był pod ustawiczną presją. Oczywiście z postulatem wypowiedzenia genderowej konwencji można się w ogóle nie zgadzać (choć w okresie opozycji PiS się bardzo zgadzał), ale wówczas trzeba z nim dyskutować. Zgłosiły go przecież dziesiątki tysięcy polskich rodzin, w większości wyborców Prawa i Sprawiedliwości, którzy mimo zamrożenia życia publicznego podczas kwarantanny covidowej złożyli swe podpisy pod stosownym społecznym projektem ustawy. Nie było żadnego odzewu, żadnego zainteresowania wyrysowaniem nawet najdłuższej drogi dojścia, choćby w formie poufnej (a złożonej w wiarygodnym gronie) obietnicy, że sprawę załatwimy w ciągu pierwszego roku po wygranych kolejnych wyborach. Zarówno w tej, jak i w innych sprawach – Prezes nic nie musi.

CO SIĘ DZIEJE W POLSCE?

Przede wszystkim jednak prof. Nowak nie docenia powagi sytuacji. Wprawdzie zaznacza, że pisze nie tylko o utracie władzy w wyborach, lecz także o „konsekwencjach tej przegranej". Jednak nie tylko katalog, lecz także nawet poziom „konsekwencji", przedstawionych przez Andrzeja Nowaka, jest bardzo skromny. Tymczasem ma miejsce nie tylko nieprzejmujący się żadnym legalizmem zabór władzy, któremu towarzyszy

eprasa.pl 82443a69e0

„bezradność" PiS; nie tylko brak nam prawicowych mediów (bo też przesadą jest sugestia, że w ogóle ich nie ma); wreszcie problemem jest nie tylko perspektywa przegranych wyborów samorządowych i europejskich. Dzieją się rzeczy bez miary poważniejsze.

Polska wymiera, rządy PiS nie tylko nie powstrzymały katastrofy demograficznej, lecz także nie uruchomiły poważnej narodowej debaty na ten temat. A przecież nawet jeśli możliwości polityki są tu skromne (choć już kultury większe), to tym bardziej należy je wykorzystać i nie można uchylać się od namysłu nad środkami, które Polsce dadzą choćby szanse na społeczne trwanie.

Przeżywamy dramatyczny kryzys rodziny, ogólny europejski trend nie jest tu żadnym wyjaśnieniem i tym bardziej nie powinien być motywem imposybilizmu. Trend to tylko okoliczność; decyduje o tym, czy żyjemy w czasach koniunktury czy dekoniunktury społecznej, czy w polityce chodzi o wykorzystywanie trwających procesów czy ich powstrzymywanie, ale naprawdę – na Litość Historii! – polityka nie może się od tej odpowiedzialności uchylać.

Po rządach PiS-owskich, pełnych gromkiej antyliberalnej retoryki, nie żyjemy w państwie ani o jotę mniej relatywistycznym. Instytucje chroniące podstawowe wartości społeczne nie są ani odrobinę trwalsze, przeciwnie – są bardziej rozchwiane. Miarą niech będą wyroki sądów, w ostatnich latach jeszcze bardziej skandaliczne niż wcześniej. Modna w PiS weberologia będzie zasłaniać się argumentami ze sfery „etyki przekonań": „Reformowaliśmy ostro, jak tylko się dało, chcieliśmy dobrze! Ale efekty są dramatycznie złe!". Czas więc zastanowić się nad tym, jak przyjęte formy działania ukształtowały jego przekaz i efekty.

I wreszcie rzecz dotycząca najpierwszej ze wszystkich wolności, najważniejsza w planie politycznym: systematyczna konfiskata suwerenności ze strony Unii Europejskiej. Najgorszy – a niestety niejedyny – przykład to fatalna zgoda PiS na przyznanie Komisji Europejskiej całkowicie nietraktatowych „uprawnień" do kontroli polityki państw, z egzekucją tej kontroli poprzez „wstrzymywanie środków", czyli po prostu sankcje ekonomiczne wobec Polski i innych krajów. Takie właśnie sankcje obaliły polski rząd.

FATALIZM PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI

Wszystkie te problemy, które PiS ignorował, wobec których podejmował działania pozorne albo wobec których kapitulował, uderzą w Polskę wielokroć bardziej, gdy przyszła władza, dla której kryzys naszej cywilizacji i społeczeństwa stanowi po prostu koniunkturę. I wspomniana przez Andrzeja Nowaka „bezradność" PiS wobec tych kwestii będzie mieć o wiele większe konsekwencje niż tylko bezradność wobec samowoli politycznej Tuska.

Prawo i Sprawiedliwość nie jest w stanie stawić tym narodowym wyzwaniom czoła, bo w istocie w ogóle się nad nimi nie zastanawia. Co najwyżej przez pojedyncze działania wysyła do konserwatywnych wyborców sygnały, że widzi to, co oni, że czuje, to co oni, ale te wątłe wyborcze manewry w żadnym wypadku nie tworzą strategii narodowej i konsekwentnej polityki.

Cała powyborcza debata w obozie PiS (a artykuł prof. Nowaka jest znakomitym dowodem na potwierdzenie tej tezy) toczy się jedynie wokół powrotu do władzy. Nawet za cenę zbliżenia stanowiska do Platformy, co już widzieliśmy w wypadku niektórych głosowań w Sejmie i ambiwalentnych reakcji Prezydenta. Nie tylko PiS, lecz także wspierający PiS publicyści nie dyskutują o tym, jak uwolnić Polskę od kontroli brukselskiej, jakie zmiany prawne wprowadzić, by Polska była nie państwem relatywistycznym, ale państwem dobra wspólnego, jak przełamać głęboki moralny kryzys społeczeństwa. Byle wrócić do władzy…

PRAWICA JAKO KIERUNEK

W tym miejscu muszę złożyć jedno wyjaśnienie. Artykuł ten nie jest krytyką PiS, ale krytyką stosunku prawicowej inteligencji do PiS. Andrzej Nowak napisał swój apel tak, jakby problemy Polski miał rozwiązać po prostu powrót PiS do władzy, jakby problemy te miały wyłącznie charakter elektoralny. Tymczasem o ile Prawo i Sprawiedliwość odgrywa w tej chwili niezastąpioną rolę w polskim życiu politycznym, o tyle rola tej partii może być jednak – co wynika z samej natury partii – jedynie częściowa.

Jarosław Kaczyński jest po prostu walczącym contra mundum bohaterem romantycznym FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Przed wyborami wydałem książkę „Prawica na rozdrożu". Analizowałem w niej politykę władzy, a także Konfederacji i PSL. Niewypowiedzianym (bo nie była to książka agitacyjna) wnioskiem było, że Prawo i Sprawiedliwość stanowi ciągle, czy tego chcemy czy nie, optimum narodowe. To wynikało z porównania alternatyw: tyleż hałaśliwej, ileż miałkiej politycznie Konfederacji i otwarcie podporządkowującego się Donaldowi Tuskowi PSL. Owszem, pisałem o tym, że PiS powinien umieć rozmawiać z tymi partiami, i w tym sensie zgadzam się na rolę prekursora parodniowej „polityki" trzeciego gabinetu Morawieckiego. Pozytywem tej „próby" było przynajmniej to, że powinna dać do myślenia wszystkim, którzy uważali, że takie starania nigdy nie będą potrzebne, że w ogóle nie warto się zastanawiać nad tym, co może uczynić je owocnymi.

Konsekwencją metody Andrzeja Nowaka – bezwiednie przyjętego, pod-

eprasa.pl 82443a69e0

stawowego założenia, że Prawo i Sprawiedliwość jest wystarczającą formą organizacji prawicy w Polsce – jest to, iż sprawy takie jak praktyczne wymogi (podkreślam te słowa, bo nie chodzi o abstrakcyjne „wartości") suwerenności i ładu moralnego nie będą miały rzeczników. PiS chce mieć kontakt z przeciętnymi wyborcami, których ogarnia prawdziwe tremendum na myśl, że Polska mogłaby żyć poza Unią Europejską, dla których cywilizacja życia nie jest zobowiązującą zasadą polityczną. I dobrze, że PiS ich organizuje. Niedobrze, że chce zmusić do milczenia, podporządkować swym interesom wyborczym tych, dla których postulaty dobra wspólnego narodu są najważniejsze.

Jednak stwierdzenie, że Prawo i Sprawiedliwość nie jest wystarczającą formą organizacji prawicy w Polsce, że prawica ideowa (promująca cywilizację chrześcijańską, odmawiająca cesji suwerenności na rzecz Unii Europejskiej) potrzebuje własnej reprezentacji, to jedynie stwierdzenie faktu, nie sugestia polityczna. Nie ma dziś takiej alternatywy, na pewno nie spełnia jej wymogów Konfederacja. Ale alternatywy tej nie ma nie dlatego, że nie była możliwa, ale dlatego, że ci, którzy powinni ją Polsce dać, jej nie chcieli.

Problem nie polega tylko na tym, że Jarosław Kaczyński nie chce reprezentować opinii chrześcijańskiej, ale przede wszystkim na tym, że do tej pory opinia chrześcijańska nie chciała w przeszłości być politycznie reprezentowana – w każdym razie nie chciała być reprezentowana przez kogokolwiek innego niż Jarosław Kaczyński, który jej reprezentować nie chciał.

A przecież – zróbmy tu porównawczą dygresję – rzecz jest bardzo prosta. Tusk nie wygrałby wyborów na czele PO z programem skrajnej lewicy, ale dlatego skrajna lewica realizuje dziś swą rewolucję, że Tusk zbudował swoje poparcie bez niej, a i ona wypracowała swój mandat obok Tuska. Potem mógł dać jej robotę do wykonania. A wszystko jeszcze uwiarygodnił PSL. Na tym polegała rzeczywista – dla kraju fatalna, ale skuteczna – jedność wczorajszej opozycji. Nie na eliminowaniu się i podporządkowywaniu nawzajem.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ PRAWICY

Na koniec jeszcze kolejne wyjaśnienie. Pisałem przed chwilą, że to analiza sytuacji, a nie polityczne sugestie. Owszem, ale z myślenia o przyszłości i z wyciągania konkretnych wniosków z przeszłości rezygnować nie wolno. Na tym właśnie polega odpowiedzialność. Ona jest początkiem działania. Usposabia nas do reakcji na wydarzenia, które przyjdą. Bo jedno jest pewne: po PiS-owskiej rewolucji złości przyszedł na prawicy czas na kontrrewolucję odpowiedzialności. A gdy przyjdzie odpowiedzialność, to może i złość okiełzna i nawet wykorzysta ją jako napęd dla polityki dobra wspólnego.

Przez wiele lat przekonywałem, że po czasie bezwarunkowego poparcia opinii katolickiej dla PiS przyszedł czas na warunkową współpracę; lub samodzielność – tak długo, jak długo rzeczywista współpraca jest przez PiS odrzucana.

Apel Andrzeja Nowaka, jednego z najwybitniejszych i najbardziej wiarygodnych autorytetów obozu Prawa i Sprawiedliwości, zawiera – mimo bezwiednie przyjętego PiS-owskiego fatalizmu – cenną informację dla tych, którzy fatalizmowi temu ulegać nie powinni. Sam katalog spraw kraju, które profesor wylicza, pokazuje odosobnienie prawicy katolickiej w obozie PiS-owskim. Nie tylko w partii, lecz także wśród jej zwolenników. Czas to zrozumieć. Nie chodzi o delektowanie się „krzepiącą wiedzą, że jesteśmy sami", ale o reakcje, działania, również nakłonienie innych do słuchania i namysłu. A zresztą, jakież znacznie ma jakikolwiek, nawet najsłuszniejszy, nurt polityczny? Chodzi o odpowiedzialność, dobro wspólne, przecież nie o – dobre dla liberalnych demokratów – „swoje prawa" i „etykę swoich (czyli subiektywnych) przekonań". Chodzi o to, żeby Polska nie została sama ze swoimi problemami, które tylko ideowa prawica może wskazywać, przypominać, egzekwować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

Krystian Kratiuk

Judasz Iskariota Superstar

Jeszcze chwilę temu symbolem współczesnego świata odrzucającego Chrystusa był Barabasz, którego od lat „wybierano" zamiast Zbawiciela. Dziś jednak samo odrzucenie Jezusa to dla świata za mało – dziś symbolem, z którym świat otwarcie się utożsamia, jest… Judasz

Judasz zdradzający Jezusa pocałunkiem FOT. DOMENA PUBLICZNA

To niekoniecznie coś nowego – Judasza przedstawiano jako nie zdrajcę, ale postać po wielokroć bardziej złożoną, już kilka dziesięcioleci temu. Nowością pozostaje jednak, jak bardzo ta obłąkańcza wizja przeniknęła także do umysłów ludzi Kościoła.

Judasza jako osobę pogubioną i nie tak jednoznacznie złą, jak przedstawiał to Kościół katolicki, pokazywał już w 1970 r. musical „Jesus Christ Superstar". Twórcy tego show ukazali ostatnie dni życia Jezusa Chrystusa z perspektywy różnych postaci, w tym właśnie Judasza, portretując go jako człowieka walczącego z wątpliwościami i moralnymi dylematami.

„Ostatnie kuszenie Chrystusa", a więc film Martina Scorsese z 1988 r., obrazuje Judasza jako postać złożoną, która jednak służy Jezusowi, realizując Boży plan. W 2005 r. na Broadwayu wystawiono dramat Stephena Adly Guirgisa, eksplorujący wątpliwości i konflikty moralne Judasza poprzez przesłuchanie go w piekle – apostoł pokazany jest tam jako zasługujący na zrozumienie i przebaczenie. W 2007 r. powstała opera autorstwa Marka Adamo zatytułowana „Judasz", przedstawiając tę postać w empatycznym świetle, koncentrując się na jego wątpliwościach i rzekomo szlachetnych motywacjach. W 2013 r. amerykańska autorka Tosca Lee publikuje powieść „Iskariota", również nachalnie niuansując motywacje Judasza (w Polsce książkę – pt. „Judasz" – wydało jedno z katolickich wydawnictw). W końcu w 2019 r. piosenkarka Lady Gaga wydaje piosenkę „Judas", śpiewając, że jest zakochana w Judaszu i „czeka, aż ją powoła, by mogła wytrzeć stopy włosami" temu „niekoronowanemu królowi".

ZACZĘŁA „GAZETA WYBORCZA"

Ten popkulturowy wstęp stanowi preludium do zrozumienia tego, co na naszych oczach próbuje się dokonać wokół postaci Judasza. Polski czytelnik może, uświadamiając sobie te fakty, czuć się zdruzgotany, ale przecież nie powinien. Owszem, światowa rewolucja – toczona wszak na wszystkich frontach – znajduje się w Polsce na nieco innym etapie niż w innych miejscach Zachodu i nad Wisłą Judasz nie stał się jeszcze obiektem kul-

eprasa.pl 82443a69e0

tu, ale próby rozpoczęcia tego procesu już podejmowano.

Oto w roku 2006 „Gazeta Wyborcza" kilkanaście dni przed świętami Wielkiejnocy oznajmiła tytułem wybitym na pierwszej stronie: „Judasz nie był zdrajcą. Jezus go wybrał". Autorzy dziennika w ten właśnie sposób opisywali archeologiczne znalezisko, tzw. Ewangelię Judasza, od razu obdarzając ów apokryficzny tekst całkowitym zaufaniem. „Egipski manuskrypt przewraca do góry nogami prawdy zawarte w kanonicznych ewangeliach" – napisano.

W kluczowym fragmencie owego tekstu Jezus mówi do Judasza: „Przewyższysz ich (apostołów) wszystkich. Ale, Judaszu, musisz poświęcić ciało, które mnie okrywa". W myśl promowanego przez „Wyborczą" tekstu, przyczyniając się do śmierci Chrystusa, Judasz przyczynił się do uwolnienia jego prawdziwej, boskiej natury. Wedle apokryfu Judasz miał być pogardzany przez apostołów, ale w ostateczności zostać postawiony… ponad nimi. „Będziesz przeklęty przez pokolenia, ale przyjdziesz, żeby nad nimi panować" – z lubością podkreślali te słowa autorzy tekstu w piśmie Adama Michnika.

Przy okazji komentatorzy „Gazety…" sięgnęli po stały repertuar argumentów, z których wynikać miało, że wersja Ewangelii przypisywana Judaszowi krążyła wśród chrześcijan w pierwszych wiekach dopóty, dopóki na soborze nicejskim zły, cenzorski Kościół nie zakazał jej propagowania. Nihil novi sub sole.

KOŚCIÓŁ MIŁOSIERNY WOBEC JUDASZA

Judaszową fascynację wrogiego wobec Kościoła świata można jeszcze zrozumieć. Dużo trudniej przychodzi jednak wyjaśnienie, jak doszło do tego, że w trakcie tegorocznego Wielkiego Postu, podczas jednego z nagrań wideo z gabinetu papieża Franciszka, za plecami Ojca Świętego dało się zauważyć obraz przedstawiający… nagiego zmartwychwstałego Chrystusa pochylającego się nad zwłokami Judasza.

Historia tego wizerunku jest dość nowa – po raz pierwszy pojawił się on w przestrzeni publicznej w 2021 r. na okładce watykańskiego dziennika „L'Osservatore Romano". Tytuł, którym okraszono wstępniak wydania, brzmiał: „Judasz i skandal miłosierdzia". Redaktor naczelny gazety, Andrea Monda, wyjaśnił, że numer poświęcony jest „najbardziej tragicznej i niepokojącej postaci" Nowego Testamentu. Nie wiadomo, kto dokładnie namalował okładkowy obraz – poinformowano jedynie, że autorem jest nieznany z nazwiska francuski katolik, a dzieło stanowi „owoc refleksji" nad… książką papieża Franciszka „Kiedy się modlicie, mówcie Ojcze Nasz". W publikacji tej papież rozważał m.in. możliwość zbawienia Judasza.

Terlikowski w nowej książce wyraża pretensje do ewangelistów, bo ci jego zdaniem potraktowali postać Judasza jednowymiarowo

Redaktorzy watykańskiego pisma tłumaczyli, że wspomniany obraz ukazuje wizję artysty, który ponoć wyobrażał sobie, że po ukrzyżowaniu Jezus natychmiast powrócił do życia, podszedł do drzewa figowego, zdjął ciało Judasza i usłużył mu. Papieżowi Franciszkowi obraz spodobał się na tyle, że zawisł w jego gabinecie, tuż obok wizerunku Matki Bożej z Dzieciątkiem.

W „L'Osservatore Romano" zamieszczono także teologiczne uzasadnienie tego, postulowanego przez autorów projudaszowego zwrotu. Jeden z włoskich kapłanów opublikował tam swoje kazanie, w którym wyznał wiarę w przebywanie Judasza w Niebie. Ukazały się też dwa teksty świeckich wyjaśniające, że Judasz musiał mieć ukryty motyw, by zdradzić Chrystusa, ponieważ 30 srebrnych monet nie miało wcale wielkiej wartości, oraz przekonujące, że Jezus zawdzięcza Judaszowi swoją chwałę. Całość wieńczył archiwalny komentarz nieżyjącego już guru neomodernistów i samego papieża, kard. Carla Marii Martiniego przyznającego, że „każdy z nas ma w sobie Judasza". Watykański dziennik przez kolejne dwa lata w każdy Wielki Czwartek publikował następne teksty mające ocieplić wizerunek Judasza.

W PROJUDASZOWEJ AWANGARDZIE

Najświeższym polskim dziełem niuansującym zdradę Judasza, a jego samego otaczającym pluszową tęczą zrozumienia, miłosierdzia i sympatii, jest książka Tomasza Terlikowskiego „Ja, Judasz. Biografia apostoła". Autor wprost wyraża w niej pretensje do… ewangelistów, gdyż ci potraktowali postać Judasza jednowymiarowo. Terlikowski zdaje się traktować zapisy Nowego Testamentu jako jedną z możliwych wersji wydarzeń, ale wcale nie konieczną do przyjęcia – argumentuje bowiem, że w XXI w. wiemy już dobrze, jak działa ludzka pamięć, wobec czego spisujący cztery Ewangelie mogli wyraźnie mylić się co do tego, jak wyglądały los i motywacje Iskarioty, gdyż „nałożyli na to własne interpretacje".

O ile we wspomnianych tu wcześniej (a także w wielu niewspomnianych) dziełach kultury próby psychologizowania oraz niuansowania uczynku Judasza już występowały i są przez Terlikowskiego powtarzane, o tyle pewną nowością jest interpretacja polskiego publicysty, wedle której to przede wszystkim Judasz został zdradzony nocą z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek. Opis ostatniej wieczerzy z Ewangelii św. Jana autor określa mianem „kompletnie nietrzymającego się kupy", niespójnego, a „może nawet absurdalnego", gdyż ewangelista ma „serwować nam opowieść aż tak mocno psychologicznie niewiarygodną". Chodzi o to, że apostołowie słyszą, iż Judasz będzie zdrajcą, a mimo tego nic z tą wiedzą nie robią. Zdradzają zatem człowieka, z którym spędzili trzy ostatnie lata i któremu dotąd ufali, z którym się przyjaźnili, a którego i sam Zbawiciel nazwał w decydującym momencie właśnie „przyjacielem". Dowiedziawszy się, że zdradzi Jezusa, pozostali uczniowie nie próbują go powstrzymać, nie próbują interweniować, a już po samej zdradzie nie próbują z nim rozmawiać i go zrozumieć. Po wszystkim zrzucają całą winę własnych, indywidualnych i grupowych przewin na jednego, jedynego Judasza, jakby tylko on winien był śmierci Chrystusa, a oni, wystraszeni, ukrywający i zapierający się, już nie. A przecież to oni zostawili go samego.

eprasa.pl 82443a69e0

Co więcej, Terlikowski ubolewa, że autorzy Ewangelii nie pozwolili wypowiedzieć się Judaszowi – właśnie dlatego, że go opuścili i odcięli się odeń. Nie poznali zatem jego motywacji, dlatego też samych siebie mogli przedstawić w lepszym świetle. Jakby tego było mało, zapewne nie dosłyszeli całości dialogu odbywającego się feralnej czwartkowej nocy między Nauczycielem a Judaszem, przy powitalnym, a jednocześnie zdradzieckim, pocałunku. A to nie wszystkie pretensje katolickiego pisarza do autorów Pisma Świętego – otóż np. opis śmierci Judasza zawarty w Dziejach Apostolskich Terlikowski nazywa „okrutnym i pozbawionym jakiegokolwiek miłosierdzia".

Terlikowski wprost oskarża też apostoła Jana, że nie jest uczciwy wobec Judasza, gdyż pisze o nim „nieodmiennie źle, negatywnie, tak jakby po trzech latach wspólnego wędrowania nie pozostało żadne dobre wspomnienie, jakby chcieli przedstawić karykaturę, wstrętny obraz, a nie chcieli opowiedzieć historii jednego z nich, przyjaciela, bliskiego współpracownika Jezusa". Z całej książki wynika zaś przesłanie o koniecznej sympatii dla Judasza, nie dla jego zdrady, ale dla jego ludzkiego zbłądzenia, a pobrzmiewa także zachęta do przyjęcia za pewnik, że wcale nie został on potępiony.

Sądzę, że bardzo prosto wyobrazić sobie, jakie konsekwencje tak dla nauki Kościoła, jak dla szerszej oceny moralnej różnorakich czynów niesie ze sobą takie stanowisko. I autor nie ukrywa, że o to właśnie mu chodzi – o przemianę sposobu myślenia nie tyle o Judaszu (oraz ogólnie o Żydach, których przez wieki z nim utożsamiano), ile o grzechu i zdradzie, której dopuszczają się przecież wszyscy, grzeszni z natury, ludzie. O dostosowanie się Kościoła i katolickiego oglądu świata do filozofii i „ustaleń XXI-wiecznej nauki".

TRADYCJA MÓWI JASNO

A tymczasem Kościół przez dwa tysiące lat swojego istnienia nigdy nie niuansował straszliwej zbrodni Judasza, którą były zdrada Mesjasza i wydanie go na okrutną śmierć. Prawdą jest, co podnoszą projudaszowi apologeci, że Kościół nie publikuje listy potępionych na wzór listy świętych i błogosławionych, ale nie oznacza to, że katolicy przez wieki nie uznawali Judasza za przebywającego w piekle. Tradycja, oparta na wierze w Bożą sprawiedliwość (bo Bóg jest zarówno nieskończenie miłosierny, jak i nieskończenie sprawiedliwy właśnie) oraz na Piśmie Świętym, nie dawała tu pola do dyskusji. O potępieniu Judasza pisali i św. Tomasz, i św. Augustyn, i papież Leon Wielki. Ale według Tomasza Terlikowskiego czynili tak wyłącznie dlatego, że „nie posiadali znanej nam już wiedzy o osobach w kryzysie samobójczym".

Nie sposób zapomnieć, że Judasz był przecież jedynym apostołem, którego miejsce należało obsadzić po jego śmierci. Kiedy Jakub został zabity przez Heroda, pozostali nie wyznaczyli innego człowieka na jego zastępcę. Kiedy zaś Judasz się zabił, w jego miejsce powołano Macieja. Dwunastu apostołów miało i ma do dziś następców, ale nie mieli zastępców – to stało się udziałem wyłącznie Judasza. Wszyscy z pierwotnych 11 apostołów wraz z Maciejem, umierając, opuszczali ten świat, aby stać się wiecznymi fundamentami niebiańskiego Jeruzalem, jak czytamy w Apokalipsie: „A mur miasta miał dwanaście fundamentów, a w nich dwanaście imion dwunastu apostołów Baranka".

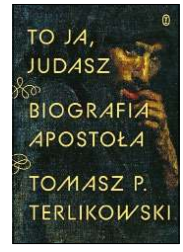

TOMASZ TERLIKOWSKI „JA, JUDASZ. BIOGRAFIA APOSTOŁA" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2024

Co więcej, według św. Jana sam Chrystus, kilka godzin przed zdradą Judasza, podczas wygłaszania modlitwy arcykapłańskiej powiedział o swych uczniach: „Dopóki z nimi byłem, zachowywałem ich w Twoim imieniu, które Mi dałeś, i ustrzegłem ich, a nikt z nich nie zginął z wyjątkiem syna zatracenia, aby się spełniło Pismo". Wcześniej zaś umiłowany uczeń notuje słowa Zbawiciela: „Czy nie wybrałem was dwunastu? A jeden z was jest diabłem". Wiadomo, gdzie jest miejsce zarówno syna zatracenia, jak i diabła.

Ewangeliści Marek i Mateusz notują zaś słowa Jezusa brzmiące: „Byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby się nigdy nie narodził".

IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE

Zaczadzony światowością Kościół, usilnie pragnąc kompromisu ze światem, idzie dziś na daleko posunięty kompromis również z Judaszem. Nie może to dziwić w dobie triumfu filozofii zakładającej, że zło jako takie nie istnieje.

Niesie to ze sobą określone konsekwencje – otóż według dzisiejszych filozofów, a także natchnionych ich myślą twórców kultury istnieją i zawsze istniały wyłącznie różnorakie „uwarunkowania psychiczne", ewentualnie społeczno-kulturowe, które rzekomo skłaniają do pewnych złych zachowań. Wszelki podział na dobro i zło wrzuca się dziś – zarówno w Kościele, jak i we wrogim lub obojętnym mu świecie – do worka „sekciarskiego manicheizmu".

Doskonałym przykładem takiego zniuansowanego myślenia są dzisiejsze opowieści dla najmłodszych. Zdecydowana większość czytelników tego tekstu dorastała jeszcze w świecie, w którym bohaterowie literaccy dzielili się na dobrych i złych. Dobre były np. królewny – złe były czarownice. Wraz z triumfem relatywizmu moralnego opowieści te zaczęły się zmieniać. To głównie z tego powodu np. dwie części filmu „Czarownica" (2014 i 2019) zarobiły ponad 2 mld dol. Przypomnijmy – Angelina Jolie wciela się w tych obrazach w złą czarownicę ze „Śpiącej Królewny". Ale zanim staje się zła, jest zupełnie dobrą osobą, która dopiero srodze zdradzona przez wrednego, wykorzystującego ją króla (a jakże, motyw skrzywdzonej przez samca alfa kobiety też musi się pojawić) postanawia zemścić się na jego córce. Widz ma nie skupiać się na złu uczynionym przez tę postać, ale raczej powinien współczuć czarownicy, która nie dość, że nosi wiele mówiące imię Diabolina, to jeszcze po przemianie w czyniącą zło postać zaczyna nosić… rogi.

Trudno nie odnieść wrażenia, że gdyby dobrze poskrobać, podobny symboliczny artefakt – czyli rogi – można by znaleźć także u wielu ocieplaczy wizerunku Judasza. I to bez względu na to, czy przyłączyli się do fali fascynacji nim ze złej woli czy tylko dla rzekomej oryginalności myśli.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 82443a69e0

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Związek Jaszczurczy

Wśród największych i najbardziej znaczących organizacji wojskowych podczas okupacji niemieckiej najmniej znana i opisana jest historia Organizacji Wojskowej Związek Jaszczurczy (OWZJ). Ponieważ została utworzona przez przedwojennych działaczy ONR, z powodu bezkompromisowego stosunku do komunizmu, jej historia sprowadza się głównie do inwektyw i fałszywych oskarżeń o wszystko, co najgorsze. O zdradę – kolaborację z Niemcami, mordowanie Żydów i… rozpętanie wojny domowej w podziemiu. Skoro brakuje racjonalnych, jednoznacznych argumentów, to pozostają inwektywy – w powszechnym użyciu od kilkudziesięciu lat!

Warto zatem pokazać to, co pozostaje nieznane. Znamy tylko fragment ich przysięgi: „Przysięgam w imię Boga, na cześć i honor Polaka, zwalczać wrogie siły osaczające Naród i Państwo Polskie oraz stanąć na każde wezwanie do walki z bronią w ręku i walczyć aż do zwycięstwa […]". Struktura wojskowa liczyła kilkanaście tysięcy żołnierzy. Co ważne, OWZJ potrafił (jako jedna z nielicznych organizacji) zgromadzić pokaźną kadrę oficerską. Jego główne płaszczyzny działania to m.in. niezwykle profesjonalny wywiad (wewnętrzny, na terenie Polski, i zewnętrzny, na ziemiach III Rzeszy oraz krajów okupowanych). Miał on trzy piony: „Z" (wywiad Zachód), „W" (wywiad Wschód) i „P" (wywiad Północ) i imponujące, prawie nieznane dokonania.

Pion wydawniczy to liczna prasa konspiracyjna, a także ulotki, książki i materiały do szkolenia wojskowego. Ich drukarnie, według niemieckich służb bezpieczeństwa, produkowały m.in. „fałszywe dokumenty identyfikacyjne, którymi posługiwali się agenci kurierzy […]. Oprócz nielegalnej broszury podburzającej »Szaniec« drukowano prawie wszystkie formularze obowiązujące w Generalnym Gubernatorstwie, w tym formularze Reichsführera i władz wojskowych". I taka organizacja oskarżana jest o zdradę główną? Ich wywiadowcy mordowani byli w niemieckich więzieniach na gilotynie, ścinani byli katowskim toporem.

Warto też sięgnąć do meldunków brytyjskiej SOE (Wydział Operacji Specjalnych) z 1944 r.: „SOE nie posiada informacji z polskich źródeł o zawarciu jakiegokolwiek porozumienia pomiędzy ONR a Niemcami. Wręcz przeciwnie: polski oddział VI [Sztabu Naczelnego Wodza] twierdzi, że ramię zbrojne ONR okazjonalnie współpracowało z ZWZ przeciwko Niemcom. SOE utrzymuje, że członkowie ONR muszą ukrywać się i że nie ma jakichkolwiek dowodów na to, aby byli traktowani w uprzywilejowany sposób". Również Brygady Świętokrzyskiej, utworzonej przez działaczy ONR, nie ma co się wstydzić. Ale to już odrębny temat. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zapomniana stolica kresowej prowincji

Początki Dyneburga (Daugavpils) sięgają XIII w., a jego założycielami byli rycerze z zakonu kawalerów mieczowych. Nowa epoka nadeszła wraz z sekularyzacją państwa zakonnego na Inflantach, miasto znalazło się w granicach Rzeczypospolitej. Jego nową lokację przeprowadził Stefan Batory (26 marca 1582 r.), a cztery dekady później powstało tutaj kolegium jezuickie. Dyneburg stał się stolicą tzw. Inflant Polskich, ale uczciwie trzeba jednak przyznać, że prowincja nie miała szczęścia do swoich dostojników. Peryferyjne położenie zadecydowało, że miejscowe godności traktowano wyłącznie jako synekury, nominacja na wojewodę czy biskupa inflanckiego dawały bowiem przepustkę do Senatu Rzeczypospolitej. W efekcie czasami urzędy sprawowali typowi karierowicze, pierwszym wojewodą inflanckim był Hieronim Radziejowski, który kilkanaście lat wcześniej sprowadził do Polski Szwedów (potop z 1655 r.). W ramach ugody z królem otrzymał jednak województwo inflanckie, co schlebiało próżności magnata. Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa z miejscowymi biskupami. Antoni Ostrowski pobierał regularną pensję od Rosjan, Jan Stefan Giedroyć zasłynął jako zajadły poplecznik Katarzyny II, a Józef Kossakowski uznany za zdrajcę został publicznie powieszony podczas powstania kościuszkowskiego.

Ponadto miejscowa szlachta dobrze się zasłużyła w dziejach Polski. Manteuffelowie, Platerowie i Tyzenhauzowie byli wierni swojej ojczyźnie z wyboru, pełnili wysokie urzędy, walczyli w powstaniach, mieli też wielkie zasługi dla polskiej kultury. Jako historyk nie mogę nie odczuwać wdzięczności do Tadeusza Manteuffla urodzonego w inflanckiej Rzeżycy. Zapisał piękną kartę, organizując podczas okupacji niemieckiej w Warszawie tajne nauczanie i służąc w szeregach AK, by po wojnie zostać założycielem Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk.

Polskie osadnictwo w Łatgalii (Inflantach Polskich) to jednak nie tylko potomkowie dawnych zakonników. Włączenie Inflant w granice Rzeczypospolitej spowodowało bowiem napływ ubogiej szlachty poszukującej lepszych perspektyw życiowych. Jak zwykle prym wiedli herbowi z Mazowsza posiadający z reguły niewiele więcej niż rycerskie pochodzenie. Wprawdzie większość napływowej szlachty nie zrobiła kariery posiadaczy ziemskich nad Dźwiną, ale zachowała swoją narodowość. A chociaż Inflanty Polskie odpadły na zawsze ponad 200 lat temu, to jednak do dzisiaj co szósty mieszkaniec Dyneburga mówi po polsku. ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

Trudne decyzje prymasa

Rafał Łatka

Generalne stanowisko kard. Wyszyńskiego wobec władz komunistycznych można streścić następująco: elastyczność w sprawach drugorzędnych, brak ustępstw w kwestiach o zasadniczym znaczeniu

Biskup Stefan Wyszyński nominacje na arcybiskupa metropolitę gnieźnieńskiego i warszawskiego oraz prymasa Polski otrzymał 12 listopada 1948 r. Swoje funkcje zaczął pełnić od początku kolejnego roku. Urząd objął w niezwykle trudnym momencie zwiększającej się antykościelnej ofensywy władz Polski „ludowej". Wraz z objęciem najważniejszych w polskim Kościele funkcji abp Wyszyński, podobnie jak jego poprzednik kard. August Hlond, otrzymał od Stolicy Apostolskiej szerokie uprawnienia specjalne. Do śmierci kard. Adama Stefana Sapiehy współdzielił je z metropolitą krakowskim, a od 1951 r. dysponował nimi już samodzielnie. Zostały one przyznane, by w trudnych realiach komunistycznej dyktatury prymas mógł podejmować konieczne decyzje w kluczowych dla Kościoła sprawach.

Od samego początku swojej posługi abp Wyszyński realizował strategiczny plan zawarcia z komunistami porozumienia umożliwiającego Kościołowi prowadzenie możliwie nieskrępowanej działalności. Jego postępowanie wynikało z przekonania, że system komunistyczny w Polsce szybko nie upadnie, w związku z tym zachodzi konieczność wypracowania z władzami pewnego rodzaju modus vivendi. W liście pasterskim na ingres do Gniezna i Warszawy ze stycznia 1949 r. hierarcha wyłożył najważniejsze elementy swojego duszpasterskiego przesłania i misji Kościoła w nadchodzących latach: „Nie jestem ci ja ani politykiem, ani dyplomatą, nie jestem działaczem ani reformatorem. Ale natomiast jestem ojcem Waszym duchownym, pasterzem i biskupem dusz Waszych, jestem apostołem Jezusa

Prymas Polski kard. Stefan Wyszyński w trakcie internowania w Komańczy w 1956 r. FOT. NAC

eprasa.pl 82443a69e0

Chrystusa. Posłannictwo moje jest kapłańskie, pasterskie, apostolskie, wyrosłe z odwiecznych Bożych myśli, ze zbawczej woli Ojca, dzielącego się radośnie szczęściem swoim z człowiekiem. Zadaniem moim jest: chrzcić, bierzmować, konsekrować, święcić, ofiarować, nauczać i sądzić".

NIEŁATWE ROZMOWY

Misja, którą miał przed sobą nowy prymas, była niezwykle trudna. Jego działalności nie ułatwiało to, że był najmłodszym hierarchą w Episkopacie Polski, dalekim wówczas od charyzmy i autorytetu, którym cieszył się jego poprzednik, kard. Hlond. Intencje Kościoła, jeśli chodzi o relacje z państwem, abp Wyszyński przedstawił 17 lipca 1949 r. w czasie swojej rozmowy z ministrem administracji publicznej Władysławem Wolskim. Jasno wówczas podkreślił, że Kościół nie ma zamiaru prowadzić walki z władzami oraz w czterech punktach wymienił stanowisko biskupów wobec istniejącej rzeczywistości społeczno-politycznej:

„1) Papież jest głową Kościoła – bez Papieża Kościół byłby nie Kościołem, a schizmą. 2) Naród nie jest najważniejszym dobrem według kanonów Kościoła. 3) Ale władza – rząd – jest szanowana przez Kościół jako powołana do regulowania spraw doczesnych. 4) Jednak sprawa wychowania dotyczy zagadnień moralnych i Kościół musi mieć zastrzeżony swój wpływ na kierunek wychowania. Nie może ono być materialistyczne".

Pierwszym krokiem na drodze do uregulowania relacji państwo – Kościół było w przekonaniu abp. Wyszyńskiego utworzenie Komisji Mieszanej Rządu i Episkopatu, która miała za zadanie wypracować model porozumienia z władzami, a także omawiać i rozwiązywać powstałe spory. Prymas nie wszedł w skład Komisji ze względów prestiżowych, czyli przekonania, że w negocjacje bezpośrednie z władzami nie należy angażować autorytetu prymasa Polski, jednakże de facto to on kierował stroną kościelną. Wbrew jego nadziejom utworzenie Komisji Mieszanej niewiele w gruncie rzeczy zmieniło w stosunkach państwa z Kościołem. Władze zaś uzyskały platformę do stałego nacisku na hierarchów i przypominania o swoich żądaniach. Ponadto komuniści w dalszym ciągu wydawali kolejne antykościelne regulacje i prowadzili wzmożoną działalność wymierzoną w duchowieństwo. W styczniu 1950 r. dokonali zaboru Caritasu, najważniejszej charytatywnej organizacji kościelnej. W obliczu tych wydarzeń i nasilających się represji nic nie zapowiadało, że porozumienie z władzami uda się osiągnąć. Mimo agresywnych działań komunistów biskupi, na czele z abp. Wyszyńskim, zdecydowali się kontynuować rozmowy.

Dokument regulujący stosunki państwo – Kościół, określony mianem „Porozumienia", został podpisany 14 kwietnia 1950 r. Wspomniany akt był z wielu powodów istotny, również ze względu na odcięcie się episkopatu od walki zbrojnej prowadzonej w dalszym ciągu przez niepodległościowe podziemie (choć dodać trzeba, że były to już wówczas tylko pojedyncze oddziały). Biskupi zobowiązali się także do nieprzeszkadzania w kolektywizacji rolnictwa, a także zadeklarowali, że będą piętnować „bandytyzm" – pod tym określeniem kryły się działania organizacji antykomunistycznych. Władze z kolei zadeklarowały poszanowanie zasady władzy papieskiej nad polskim Kościołem (w kwestiach wiary i moralności), niezwalczanie obecności Kościoła w szkołach oraz zwrot części odebranych wcześniej tzw. dóbr martwej ręki. Tej ostatniej kwestii prymas nie uważał za istotną. W jego przekonaniu paradoksalnie odebranie własności ziemskich przyniosło korzystny efekt, gdyż księża skupili się na pracy duszpasterskiej.

> **Celem prymasa nie było odsunięcie w czasie represji antykościelnych, ale całościowe ułożenie stosunków Kościoła z państwem**

PRÓBA UŁOŻENIA STOSUNKÓW

Wbrew temu, co twierdzi wielu badaczy, celem prymasa – gdy episkopat negocjował, a następnie podpisywał porozumienie – nie było odsunięcie w czasie represji antykościelnych, ale całościowe ułożenie stosunków Kościoła z państwem. Wpisywało się to w przekonanie abp. Wyszyńskiego, że w niektórych sferach publicznej aktywności kooperowanie z władzami było nieodzowne. Cena porozumienia z 1950 r. była wysoka, ale w przekonaniu prymasa warto było ją zapłacić. Już sam ten krok pokazuje, że abp Wyszyński nie rozumował kategoriami antykomunistycznymi, ale kierował się chęcią zapewnienia możliwości działania w interesie Kościoła w realiach antyreligijnej krucjaty prowadzonej przez władze. Przesłanką do zawarcia porozumienia z władzami były również złudzenia prymasa związane z osobą Bolesława Bieruta i przekonanie, że możliwy jest system komunistyczny w Polsce bez swojego antykatolickiego, a szerzej patrząc, antyreligijnego komponentu. Prymas uważał także, że gdyby nie nacisk Sowietów, rząd Polski „ludowej" nie prowadziłby ideologicznej walki z Kościołem (uwięzienie potem uleczyło hierarchę z tego rodzaju błędnej optyki).

Zawarcie porozumienia z kwietnia 1950 r. nie spowodowało zupełnego zaprzestania antykościelnych represji podejmowanych przez władze komunistyczne, niemniej jednak na pewien czas zostały one wstrzymane. Komuniści nie mieli zamiaru przestrzegać zapisów porozumienia. Takie podejście wynikało z tego, że interesowało ich jedynie zniszczenie bądź ubezwłasnowolnienie Kościoła. Biskupi nie zamierzali się jednak w bierny sposób temu przyglądać i stosowali jedyną dostępną dla siebie metodę walki: przy pomocy kazań wygłaszanych z ambony oraz listów skierowanych na ręce władz. Ponadto zgodnie z przekonaniem żywionym przez abp./kard. Wyszyńskiego, że z władzami należy rozmawiać, ciągle ponawiali oferty dialogu. Warto też wskazać, że tego typu podejście prymas prezentował aż do 8 maja 1953 r., gdy Episkopat Polski wysłał do władz słynny memoriał „Non possumus", w którym protestowano stanowczo przeciwko ingerencjom komunistów w wewnętrzne sprawy Kościoła. Ostatecznie twarde postawienie tamy żądaniom władz zakończyło się uwięzieniem prymasa trwającym od 25 września 1953 do października 1956 r. Okazało się jednakże, że internowanie tylko wzmocniło autorytet kard. Wyszyńskiego w Kościele i w społeczeństwie.

eprasa.pl 82443a69e0

26 października 1956 r., z polecenia I sekretarza KC PZPR – Władysława Gomułki, do Komańczy, gdzie przebywał kard. Wyszyński, przybyli przedstawiciele władz państwowych – Zenon Kliszko i Władysław Bieńkowski – którzy poinformowali prymasa o zakończeniu izolacji i prosili o szybki powrót do stolicy. Kardynał nie miał jednakże zamiaru zgadzać się bezwarunkowo na swoje zwolnienie i zażądał konkretnych ustępstw oraz domagał się naprawienia szkód wyrządzonych Kościołowi w poprzednich latach. Bez jego zwolnienia wiarygodność społeczna ekipy Gomułki nie byłaby zbyt wysoka, a poza tym I sekretarz PZPR zdawał sobie sprawę, że kard. Wyszyński jest mu potrzebny do ustabilizowania zarówno jego rządów, jak i całego systemu społeczno-politycznego. Delegacji rządowej prymas przekazał, że do zmian politycznych ustosunkowuje się pozytywnie, ale „dla stopniowego uspokojenia opinii katolickiej Narodu, żywo dotkniętej dotychczasową działalnością Rządu, niezbędne jest zniesienie dekretu o obsadzaniu stanowisk kościelnych, i to jak najprędzej". Zażądał również zwolnienia aresztowanych i przebywających w odosobnieniu biskupów i księży, zmiany na stanowiskach biskupów na Śląsku, reaktywacji Komisji Mieszanej, powrotu religii do szkół oraz przywrócenia prasy katolickiej pierwotnym redakcjom.

Najważniejsze w całym procesie negocjacyjnym dotyczącym relacji państwo – Kościół było uzgodnienie treści nowego dekretu o obsadzie stanowisk kościelnych. Kwestia ta była traktowana przez episkopat jako absolutnie priorytetowa. Nowe uregulowanie weszło w życie 31 grudnia 1956 r. Przyjęte zasady w znaczący sposób (w stosunku do dekretu narzuconego w lutym 1953 r.) zmniejszyły wpływ władz komunistyczny na kształt personalny polskiego Kościoła. Stanowiska, które wymagały uzgodnienia, były następujące: arcybiskupi i biskupi diecezjalni, koadiutorzy z prawem następstwa, proboszczowie i administratorzy parafii. Z dekretu wyłączono zatem biskupów pomocniczych oraz wikariuszy. Kardynał Wyszyński w czasie obrad plenarnych episkopatu z 14 grudnia słusznie zauważył, że nowy dekret będzie dawał władzom administracyjnym jedynie możliwość stwierdzenia, czy wnoszą zastrzeżenia (a nie będą mogły one wpływać na to, kogo wskażą organy kościelne). W konkluzji ze swojej wypowiedzi zaznaczył z kolei, że „w tych pertraktacjach w sprawie nowego dekretu Episkopat nie wyraża zgody na ograniczenia, lecz raczej jest świadkiem, jak Rząd, wzorując się na Konkordacie, wprowadza podobne ograniczenia".

Podejście prymasa wynikało w głównej mierze z jego strategicznej decyzji, że doprowadzenie do modus vivendi z państwem jest konieczne, by Kościół katolicki mógł realizować swoją misję nawet we wrogich mu realiach Polski „ludowej"

Ceną, którą przyszło Kościołowi zapłacić za ustępstwa władz, było poparcie ekipy Gomułki przy wyborach do Sejmu z 14 stycznia 1957 r. Komuniści, nie dowierzając, że do tego dojdzie, zachowali w swoim ręku narzędzia nacisku na biskupów. Najważniejszym z nich było wstrzymywanie ogłoszenia w dzienniku ustaw nowego dekretu o obsadzie stanowisk kościelnych. Znalazło to swój wyraz w czasie rozmowy kard. Wyszyńskiego z premierem Józefem Cyrankiewiczem, do której doszło tuż przed wyborami. Biskupi wypełnili swoje zobowiązanie i w komunikacie episkopatu wskazali: „Niedziela 20 stycznia jest w Polsce dniem powszechnych wyborów do sejmu. Katolicy – obywatele mają w tym dniu spełnić swój obowiązek sumienia wzięcia udziału w głosowaniu. Duchowieństwo tak pokieruje nabożeństwami, by wszyscy wierni mogli bez przeszkód wypełnić swoje obowiązki religijne i obowiązek wyborców". Było to niewątpliwie najdalej idące poparcie Kościoła dla władz w całym okresie istnienia Polski „ludowej".

Okres poprawnych relacji państwo – Kościół szybko się skończył, gdyż Władysław Gomułka nie tylko nie zamierzał pozwalać na trwałe wzmocnienie Kościoła, lecz także dążył konsekwentnie do realizacji wizji Polski socjalistycznej, gdzie dla religii przeznaczono miejsce jedynie w kruchcie. Tego typu tendencji w polityce wyznaniowej władz nie zmieniło spotkanie na szczycie, do którego doszło 1 maja 1957 r. Udział w nim wzięli: prymas, Gomułka i premier Cyrankiewicz. Przebiegało ono w dobrej i przyjaznej atmosferze; I sekretarz KC PZPR podkreślił konieczność współistnienia Kościoła i państwa, kard. Wyszyński zaś zaznaczył swoje poparcie dla zmian politycznych, do których doszło na przełomie lat 1956 i 1957, oraz zasygnalizował poparcie dla polityki zewnętrznej PRL w tym okresie. Prymas przedstawił także kolejne postulaty Kościoła, ale nie znalazły one zrozumienia u wspomnianych dygnitarzy partyjnych. Ostatecznym sygnałem, że odwilż w relacjach państwo – Kościół się skończyła, był najazd milicji i prokuratury na Instytut Prymasowski na Jasnej Górze w 1958 r. W jego efekcie funkcjonariusze SB oraz milicja zamknęli Instytut, aresztowali jego świeckich i duchownych pracowników oraz zarekwirowali wydawnictwa i całą jego dokumentację.

DZIAŁAĆ WE WROGICH REALIACH

Arcybiskup/kardynał Stefan Wyszyński odegrał, jak udowodniono w powyższych rozważaniach, zasadniczą rolę w zawarciu dwóch porozumień z władzami komunistycznymi: z 14 kwietnia 1950 r. i z 31 grudnia 1956 r. Podejście prymasa wynikało w głównej mierze z jego strategicznej decyzji, że doprowadzenie do modus vivendi z państwem jest konieczne, by Kościół katolicki mógł realizować swoją misję nawet we wrogich mu realiach Polski „ludowej". Nie była to więc w żadnym razie decyzja koniunkturalna podyktowana jedynie chęcią odsunięcia represji antykościelnych w czasie. Można to też wpisywać w generalne stanowisko kard. Wyszyńskiego wobec władz, które wyglądało następująco: elastyczność w sprawach drugorzędnych, brak ustępstw w kwestiach o zasadniczym znaczeniu. Taki model działania realizowany przez prymasa ze wsparciem Episkopatu Polski przyniósł bardzo dobre rezultaty, pozwolił nie tylko na przetrwanie Kościoła, lecz także na zbudowanie przez niego znacznego autorytetu społecznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor habilitowany Rafał Łatka jest profesorem UKSW, pracownikiem BBH IPN.

eprasa.pl 82443a69e0

W CO MOŻNA STRZELAĆ PRZED WYBORAMI

Według „Financial Times" Stany Zjednoczone wielokrotnie ostrzegały Ukraińców, by nie atakowali dronami rosyjskich rafinerii. Nie, żeby ktoś tam martwił się o rosyjskie instalacje. Po prostu Amerykanie są akurat przed wyborami prezydenckimi i nie bardzo pasuje im obecnie wzrost cen paliw. Rosja nadal pozostaje bowiem jednym z największych eksporterów ropy naftowej na świecie. A ceny ropy w tym roku wzrosły już o blisko 15 proc.

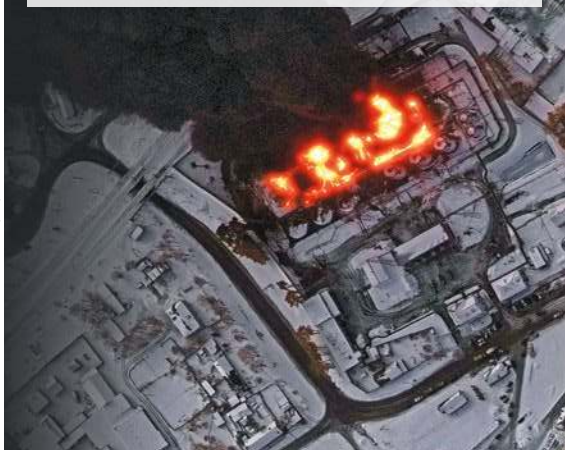

FOT. SATELLITE IMAGE © 2024 MAXAR TECHNOLOGIES/AFP/EAST NEWS

NIE GŁOSOWALI, WIĘC ZWOLNIENI

Demokracja ma to do siebie, że jest w niej trochę swobody. Można więc sobie głosować na dowolnego kandydata albo nie głosować wcale. No, chyba że to demokracja w Rosji. Na Uralu mer miasta Niżny Tagił oświadczył, że dla tych, którzy nie głosowali w wyborach prezydenckich, „nie ma miejsca w służbie cywilnej, niezależnie od ich kwalifikacji". Zostaną więc zwolnieni. Oczywiście nie chodziło o samo głosowanie, ale o głosowanie na konkretnego kandydata. Nie trzeba chyba dodawać, na którego.

JADALNE USZY OD MIKE'A

Słynny były bokser i skandalista Mike Tyson ma firmę sprzedającą produkty z konopi indyjskich. Wypuściła ona na rynek produkt w kształcie… ucha. Do wyboru jest kilka smaków. Jadalne uszy mają nawiązywać do słynnego pojedynku Tysona z Holyfieldem w 1997 r., w którym ten pierwszy rzeczywiście odgryzł przeciwnikowi kawałek ucha.

BOMBOWY POMYSŁ

Na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo pewna kobieta podczas wchodzenia na pokład samolotu rozzłościła się na stewardesę, która miała wtedy rozmawiać przez telefon, zamiast witać pasażerów. Pani po wejściu do samolotu oświadczyła więc, że ma w torebce bombę. Wówczas rzeczywiście załoga bardzo się nią zainteresowała – sprowadziła ochronę, policję i psy. Pasażerka odpowie za fałszywy alarm.

SKARPETKOWY PROBLEM MECZOWY

Mecz piłkarski pomiędzy klubami Chelsea i Arsenal w lidze kobiet rozpoczął się pół godziny później niż zaplanowano. Powód? Panie z obu drużyn wyszły na murawę w jednakowym kolorze skarpetek – białym. Drużyna Chelsea złożyła protest u sędziego, został uznany, a przedstawiciele Arsenalu pobiegli do pobliskiego supermarketu i kupili w nim skarpetki czarne. Chelsea wygrało 3:1. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Europejczycy coraz ubożsi

Ta historia początkowo wywołuje uśmiech u miłośników Toma Hanksa i filmu „Terminal". W przeciwieństwie do filmowego Viktora Navorskiego, turysty z Europy Wschodniej, który po przylocie do Nowego Jorku dowiaduje się, że w jego ojczyźnie miał miejsce zamach stanu, jego paszport nie jest już uznawany, więc chcąc nie chcą, musi mieszkać w terminalu, bohater tej historii na lotnisku w Bolonii zamieszkał z zupełnie innej przyczyny.

Osiemdziesięciosześcioletni Włoch o imieniu Arnaldo wprowadził się do terminalu, bo ze swej emerytury (586 euro, czyli ok. 2530 zł) nie mógł dłużej wynajmować mieszkania. Po opłaceniu najmu (350 euro) nie stać go było nawet na podstawowe zakupy.

Pracownicy lotniska otoczyli więc nietypowego gościa opieką. Gdy Arnaldo stał się znany, mówił w wywiadach, że pomagają mu niemal wszyscy: od sprzątaczek poprzez stewardesy do sklepikarzy. Dostał śpiwór, na lotnisku mógł liczyć na darmową kawę, posiłki i bezpłatną gazetę. Gdy zaś jego historia trafiła do mediów, urzędnicy przenieśli go do hotelu.

Włoska historia z happy endem wskazuje na istotny problem. Według Caritasu absolutne ubóstwo dotyczy już ok. 10 proc. ludności Włoch (jeszcze 15 lat temu było to 3 proc.). Włochom brakuje na jedzenie, ubrania, opłacenie rachunków czy lekarzy. Według najnowszego raportu statystyków zagrożony ubóstwem jest już także co piąty mieszkaniec Chorwacji. Lawinowo przybywa też biednych w Niemczech. Z raportu „Der Paritätische Gesamtverband" wynika, że tylko w ciągu jednego roku ich liczba wzrosła o 100 tys. aż do 14,2 mln.

eprasa.pl 82443a69e0

Tragedia w sosie antyrosyjskości

Wojciech Golonka

Po zamachu w Moskwie polscy komentatorzy jak zwykle rzucili się do oskarżania Putina. Czy czasem nie reagujemy zbyt pochopnie?

W 2016 r. amerykański serial polityczny „Designated Survivor" zrobił furorę na fabule wielkiego zamachu terrorystycznego w samym sercu Waszyngtonu, kiedy to nieznani sprawcy wysadzili w powietrze Kapitol z całą elitą polityczną kraju – prezydentem, wiceprezydentem, lwią częścią rządu oraz praktycznie ze wszystkimi przedstawicielami obu Izb. Zaprzysiężony wówczas awaryjnie nowy prezydent, bliżej nieznany i pozbawiony politycznego doświadczenia i charyzmy Thomas Kirkman, w pierwszych godzinach po spektakularnym zamachu terrorystycznym musi się zmierzyć z chaotycznymi naciskami w swej administracji, w której gen. Harris Cochrane, o najwyraźniej neokońskich zapędach, pcha do natychmiastowego wskazania wroga Ameryki i błyskawicznego rozprawienia się z nim na wojennej ścieżce – najpierw z Iranem, który korzysta z sytuacji do demonstracji siły w cieśninie Ormuz, a następnie z terrorystyczną islamską organizacją Al-Sakar, której lider Majid Nassar bierze odpowiedzialność za zamach w przesłanym do Białego Domu nagraniu wideo, szybko zresztą wyciekającym do mediów. Przekonującym dowodem ma być również znaleziony w gruzach Kapitolu niewypał w postaci postsowieckiej miny z rodzaju używanych przez islamskich terrorystów na Bliskim Wschodzie.

Wszystko zdaje się pasować do prostej tezy, jednakże Kirkman, choć pod presją, roztropnie odmawia podejmowania pospiesznych decyzji bez stuprorocentowej pewności co do sprawców, a w tym samym czasie błyskotliwi śledczy odkrywają sieć zaskakującego spisku, obejmującą zdrajców również w poprzedniej administracji prezydenckiej.

I choć sama fabuła serialu chwilami tchnie irrealizmem, a patos notorycznego idealizowania bezpartyjnego centrum irytuje, to ogólnie scenarzystom świetnie udało się wykreować i podtrzymać napięcie dreszczowca, stopniowo przechodząc od

eprasa.pl 82443a69e0

Do zamachu w Moskwie doszło 22 marca w Crocus City Hall. Zamachowcy zabili 137 osób FOT. STRINGER/AFP/EAST NEWS

tego, co pozornie oczywiste, do odkrycia rzeczywistych, zupełnie różnych od początkowych założeń prawdziwych przyczyn i sprawców tego niebywałego zamachu.

Otóż przy okazji krwawego zamachu terrorystycznego w Moskwie z 22 marca wśród rozgorączkowanych polskich komentatorów bez wątpienia zabrakło zarówno przezorności prezydenta Kirkmana, jak i tym bardziej samej wyobraźni jego twórców scenarzystów.

OSKARŻANIE PUTINA

Co było w sumie do przewidzenia: znając łatwo dominujące w naszej przestrzeni politycznej i medialne odruchy Pawłowa, można było odliczać jeśli nie sekundy, to przynajmniej minuty, kiedy to ludzie cieszący się realnym (choć nie niekwestionowanym) autorytetem wśród części społeczeństwa przedstawią z całym przekonaniem prostą tezę, w zasadzie ogłaszaną jako fakt, że władca Kremla tuż po świeżo wygranych-sfingowanych wyborach prezydenckich z zimną krwią dokonał zbrodni na własnym narodzie.

W jakim celu? To oczywiste – znowu celem totalnej mobilizacji swego kraju na rzecz zniszczenia Ukrainy. A skoro rosyjskie elity od samego początku, po zamachu, twierdziły, że jeśli Kijów ma cokolwiek z nim wspólnego, to zemsta będzie bezwzględna, wyżej przedstawiona opinia, granicząca z faktem, nie wymagała dalszego dowodu; wtórowały jej zresztą dochodzące z Ukrainy analogiczne głosy, z prezydentem na czele, a skoro Zełenski dixit, ergo verum est.

Tymczasem nasi Sherlocy nie musieli długo czekać na zimny prysznic, i to bynajmniej nie ze strony byle kogo. Otóż gdy do narodu rosyjskiego spływały z całego świata, również z Zachodu, wyrazy współczucia wobec masakry w moskiewskiej hali muzycznej, przypominającej swym modus operandi i skalą islamski zamach w paryskim Bataclan w 2015 r., oficjele Białego Domu jednoznacznie wskazali, kto jest, a kto nie jest sprawcą zamachu: Ukraina, wbrew możliwym wstępnym rosyjskim insynuacjom, z zamachem tym nie ma nic wspólnego; całkowitą odpowiedzialność za zamach ponosi państwo islamskie, to jest niesławne ISIS. Zresztą Stany Zjednoczone w ostatnim czasie, mimo największych napięć na linii Waszyngton – Moskwa, ostrzegły Federację Rosyjską przed bliżej nieokreślonymi planowanymi w stolicy Rosji atakami terrorystycznymi, podobnie jak, publicznie już, ostrzegły z początkiem marca przebywających w Moskwie własnych obywateli. A zatem ISIS – czyli nie Putin.

Konsekwentne przestrojenie narracji rodzimych autorytetów, których krytykuję tu z konieczności, było również do przewidzenia: ISIS, a zatem również Putin. No bo skoro Rosjanie wiedzieli od Amerykanów, że coś się szykuje, ale temu nie zapobiegli, to znaczy, iż to Putin jest winny śmierci własnych obywateli, a cały aparat bezpieczeństwa Rosji (która mimo skutecznej reelekcji cały czas się rozpada) jest niewydolny. Niewydolny, ale bynajmniej niepozbawiony swej właściwej nieludzkiej brutalności, którą z oburzeniem z kolei podkreślano, gdy pierwsze spływające obrazy domniemanych zatrzymanych sprawców zamachu okazywały dowody ich tortury, z czym rosyjskie służby się w ogóle nie kryły, wręcz przeciwnie.

Ma się rozumieć, rozpatrywanie wpływu moskiewskiego zamachu na wojnę rosyjsko-ukraińską jest nie tylko uprawnione, lecz także wręcz obowiązkowe. Również błędem badawczym byłoby z założenia wykluczyć jakąkolwiek możliwą tezę w związku zamachem, w tym nawet udział rosyjskich służb (bierny lub aktywny). Sęk jednak w tym, że w opisanych (i nie ukrywam – piętnowanych przeze mnie) zbyt często spotykanych i popieranych reakcjach – po pierwsze – niknęła twarda, brutalna rzeczywistość zamordowanych z zimną krwią cywili w wyniku zaplanowanego i najwyraźniej zleconego barbarzyńskiego aktu terroru.

Zazwyczaj to w takich chwilach zachodni świat przyjmuje postawę współczucia i oburzenia, pali znicze, składa kwiaty, wyraża kredkami na ulicy swą wiarę w zwycięstwo pokoju nad przemocą, słowem: zarówno w swej powadze, jak i odrealnieniu stawia na pierwszym miejscu ludzką tragedię. Tymczasem niezależnie od tego, jaka dokładnie postawa w tym wypadku byłaby właściwa, z racji rosyjskiej agresji na Ukrainę ten wymiar ludzkiej (i narodowej) tragedii tak jakby w ogóle w tych komentarzach nie zaistniał, a wybrzmiewał przede wszystkim już dyżurnie odpowiedzialny za wszystkie rosyjskie bolączki Putin.

Była w tym, myślę, nawet pewna kompromitacja komentujących, skoro nawet Interpol zaproponował Rosjanom pomoc w prowadzonym śledztwie (skądinąd odrzuconą przez Rosjan).

IMPULSYWNIE I BEZKRYTYCZNIE

Ponadto – i przede wszystkim, i tego za wiele – sytuacja ta po raz kolejny pokazała, jak w przypadku Rosji część naszych elit gotowa jest reagować w zasadzie czysto impulsywnie i bezkrytycznie wpajać tę impulsywność swym zwolennikom. Innymi słowy, znowu się potwierdziło, że w stosunku do Rosji wystarczy u Polaków pojechać prętem po klatce, by uzyskać podręcznikowe wręcz reakcje wyuczonych i utrzymywanych w gotowości bojowej refleksów.

Ma krytyczna reakcja, która chce być przede wszystkim przestrogą, nie

eprasa.pl 82443a69e0

oznacza, że mam do zaproponowania alternatywną wersję śledczą, która wszystko – a tym bardziej spójnie – wyjaśnia. Przeciwnie, oczekiwanie, że łatwo, a zwłaszcza szybko uzyskamy odpowiedź na każde pytanie, jest naiwnością i pułapką zarazem. Niespełna tydzień po zamachu wiemy w zasadzie tyle, że Zachód jest pewny, iż dokonało go ISIS, a Kijów nie miał z nim związku; i ta niezachwiana pewność, w tak krótkim czasie – zatem poniekąd na wyrost, że wszystkie drogi prowadzą do ISIS, a żadna droga nie prowadzi do Kijowa – jest zastanawiająca, dziwna, by nie powiedzieć nawet – nieco podejrzana. Albowiem ISIS zniknęło z mediów, nie tylko będąc wyparte covidową cezurą oraz późniejszą rosyjską inwazją Ukrainy. Przede wszystkim dlatego, że zostało w terenie spacyfikowane – owszem, za sprawą Stanów Zjednoczonych, ale głównie właśnie za sprawą wojsk Federacji Rosyjskiej walczącej z ISIS zarówno na uspokojonym już froncie syryjskim (w obronie rządów Baszszara al-Asada), jak i, do dziś, na nowych afrykańskich frontach w Sahelu, gdzie Rosja stopniowo wyparła i zastąpiła Francję.

Naprawdę zastanawia to, że jeszcze kilka tygodni temu, w ramach werbalnej ofensywy prezydenta Emmanuela Macrona na Moskwę, tamtejszy minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin przedstawiał Rosję jako największe zagrożenie dla Francji, a dziś w tej samej Francji wprowadza się najwyższy stopień zagrożenia terrorystycznego, ten sam zaś Darmanin peroruje, że to ISIS stało się obecnie zdolne do uderzeń na odległość, czyli także we Francji. Ignoruję to, czy w przededniu paryskich igrzysk olimpijskich wraz z moskiewskim zamachem francuskie służby bezpieczeństwa ogarnęła trwoga, ale najwyraźniej przestały one uważać pokonanie Putina na Ukrainie za priorytet numer jeden dla bezpieczeństwa ich kraju.

Czy kryje się za tym zatem coś więcej – choćby początek próby wycofania się rakiem z tej wojny zastępczej? Oto, co jest naprawdę zastanawiające. W każdym razie ISIS miałoby z pewnością (krwawy) potencjał zastąpienia wojny na Ukrainie w nagłówkach gazet, podobnie jak wojna ta z dnia na dzień znokautowała wcześniej wszechmocny medialnie, wydawało się, COVID-19. Tyle na razie od strony zachodniej.

Rosjanie rezerwują sobie prawo do eskalacji wojennej wobec Ukrainy i podkopują poparcie Zachodu dla niej

Ze Wschodu: nie dziwi pośpiech władz Rosji w prowadzonym śledztwie, co wiąże się – o tym trzeba pamiętać – zarówno z realnymi kwestiami bezpieczeństwa (skoro ISIS, USA i Rosja, zgodnie twierdzą, że zamach przeprowadzili islamiści, to coś z tymi terrorystami islamskimi jest przecież na rzeczy), jak i z potrzebą dominowania i kontrolowania narracji, począwszy od odwrócenia uwagi od możliwych zaniedbań rosyjskich służb. Jednocześnie każdy zamach można wykorzystać na rzecz, właśnie, zjednoczenia narodu poprzez wskazanie mu wspólnego wroga i pójścia z nim na wojnę – jak chciał wspomniany na początku gen. Cochrane – a przy tym wykorzystać także zagrożenie do narzucenia narodowi wielu obostrzeń lub wyrzeczeń. Wszak kluczowy dla udziału Ameryki w drugiej wojnie światowej był przecież atak na Pearl Harbor, a dla jej współcześnie dwóch dekad wojen na Bliskim Wschodzie – zamachy z 11 września 2001 r. I choćby z tego punktu widzenia każda władza – zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie – może być nawet kuszona do zbrodniczego niezapobieżenia, w drodze wyjątku, spektakularnemu zamachowi, o którego planowaniu ma wiedzę, zważywszy na jego polityczne „korzyści".

Są to jednak wątki co najwyżej do spekulacji, bez możliwości weryfikacji dla większości śmiertelników, choć zaznaczę tu, że podobnie Amerykanie zostali ostrzeżeni przez zagraniczne agencje wywiadowcze przed zamachami z 2001 r. To, co jednak trzeba podkreślić w przypadku Rosji, to znowu szybkość, z którą oficjalne organy państwa i jego najwyżsi przedstawiciele kilka dni po zamachu doszli do ostatecznych konkluzji, że sprawcami byli islamscy terroryści działający z polecenia Kijowa, przy udziale amerykańskiej i brytyjskiej agencji wywiadowczej.

Innymi słowy, podczas gdy dla Kijowa „Putin fecit", dla Waszyngtonu „fecit ISIS", to dla Moskwy „wszystkie drogi prowadzą do Kijowa, CIA oraz MI6", a to wszystko dowiedziono sobie zaledwie w ciągu kilku dni od zamachu, jeśli nie godzin. Jednak zarówno z punktu widzenia ostrożności, jak i teoretycznych możliwości nie można wykluczyć i implikacji najróżniejszych innych czynników, natomiast wobec braku, przynajmniej na mym poziomie, dokonania jakiegokolwiek rozstrzygnięcia w oparciu o klarowne dowody myślę, że po prostu warto spuentować te stanowiska, skupiając się na ich konsekwencjach.

Rosjanie nie tylko rezerwują sobie zatem prawo do eskalacji wojennej wobec Ukrainy (tak, w tej pełnoskalowej wojnie można pójść znacznie dalej i intensywniej w działaniach zbrojnych, niekoniecznie sięgając po atom), lecz także podkopują zachodnie poparcie dla Kijowa. Jeśli bowiem wiarygodne przesłanki wskazałyby na odpowiedzialność Kijowa w moskiewskiej egzekucji cywilów, to dalsze poparcie Zachodu dla Ukrainy w dotychczasowej formie po prostu nie byłoby możliwe. To podkopanie poparcia już ma zresztą miejsce, różni eksperci w Stanach Zjednoczonych nie wierzą bowiem, że za wspomnianym zamachem stoi ISIS. A skoro nie ISIS, to kto? Z tego właśnie powodu jest nieprawdopodobne, aby to Kijów zdecydował się na taki desperacki ruch, i to nie dlatego, że byłby do niego niezdolny – byłby choćby dla siania trwogi (a nie brakuje ukraińskich deklaracji, że jej wrogowie nie mogą spać spokojnie) – ale dlatego, że w ostatecznym rozrachunku byłby to ruch samobójczy dla jego sprawy.

Co innego jednak, gdyby ktoś mający do tego zdolności sprawcze z jakiegoś wiadomego mu powodu chciałby np. albo dalszej eskalacji wojny, albo właśnie zdyskredytowania Kijowa, albo jeszcze innego celu.

W pewnym sensie podobne spekulacje są ślepe dopóty, dopóki osiągnięte cele nie pozwalają zrozumieć pierwotnych zamiarów działających, a przez to ich zidentyfikować, podobnie jak najprostsze rozwiązanie – będące w odwrocie Państwo Islamskie rzeczywiście skutecznie zaatakowało Rosję na jej terytorium, a jej władze odwracają obecnie uwagę od tej porażki – jest również jak najbardziej możliwe. Niemniej to właśnie podobny ostrożny sceptycyzm, nieubiegający konkluzji, ale rozważający konsekwencje wszystkich możliwych opcji, jest obecnie o wiele zdrowszą postawą niż impulsywne myślenie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

Peter Pellegrini po ogłoszeniu wyników pierwszej tury wyborów prezydenckich. Za nim na ekranie ten, który go pokonał – Ivan Korčok FOT. VACLAV SALEK/CTK/PAP

Między Brukselą a Moskwą

Piotr Semka z Bratysławy

Przed jakim wyborem stoją dziś Słowacy i między jaką polityką wybierają?

Europejski obóz górą. Na razie. Pierwszą turę wyborów prezydenckich w kraju naszych południowych sąsiadów wygrał Ivan Korčok, który uzyskał 42,5 proc. głosów. Jego rywal, narodowy lewicowiec Peter Pellegrini, wystawiony przez obóz premiera Roberta Ficy, otrzymał tylko 37 proc.

Korčok zaskoczył wszystkich swoim sukcesem. Większość przedwyborczych sondaży wskazywała na zwycięstwo Pellegriniego. Jednak wyników drugiej tury nie da się jasno określić. Być może zadecyduje elektorat kandydatów, którzy zajęli kolejne miejsca na czele z wyborcami byłego ministra sprawiedliwości Štefana Harabina (11,7 proc.), który w kampanii głosił, że w wojnie na Ukrainie „Rosja nie jest agresorem". Fakt, że aż dwóch z trzech najpopularniejszych nad Dunajem kandydatów demonstruje otwarcie na Moskwę, pokazuje, jak bardzo Słowacja różni się od Polski. Świat polityczny naszych sąsiadów jest u nas bardzo mało znany.

JESZCZE JEDEN WYSIŁEK...

Niedziela 24 marca wieczorem. Parę tysięcy zwolenników Ivana Korčoka zbiera się na wiecu świętować wyborcze zwycięstwo na Náměsti Svobody w Bratysławie. To jedno z dwóch miejsc w słowackiej stolicy kojarzących się z antykomunistyczną aksamitną rewolucją z listopada 1989 r. Kiedyś stał tu pomnik komunistycznego wodza Klementa Gottwalda, który potem rozebrano. To miejsce dziś ma jeszcze inny wymiar. Przylega do niego budynek rządu słowackiego, w którym urzęduje Robert Fico – patron Pellegriniego.

Hasło wiecu brzmi bojowo: „Nie pozwolimy im zawładnąć wszystkim". Istotnie, jeśli Fico przeforsuje swego prezydenta, to będzie miał władzę niemal absolutną.

Na wiec Korčoka ściągnięto popularną młodą piosenkarkę Zuzanę Mikulcovą, która intonuje hymn słowacki „Nad Tatrami błyska". Prowadząca wiec skanduje: „Chcemy wybrać wolność, nie możemy zostać w domu, musimy walczyć dalej, my walczymy odwagą, rozwagą i miłością". Ze sceny padają ciągłe wezwania, by ściśle stosować się do zaleceń porządkowych wiecu i nie ulegać prowokacjom. To efekt obaw, by nikt z demonstrantów nie zaatakował budynku rządowego, co dałoby ekipie Ficy asumpt do przyklejenia przeciwnikom etykietki awanturników.

Na scenie przemawia Eva Mosnáková, 95-letnia ocalona z Holokaustu, która

eprasa.pl 82443a69e0

w latach stalinowskich była więźniem politycznym, a po Praskiej Wiośnie, którą wsparła, stała się ofiarą kolejnych represji. W obozie słowackich Europejczyków odgrywa podobną rolę jak u nas Wanda Traczyk-Stawska. Mosnáková apeluje, by zdobyć się na jeszcze jedną mobilizację i tłumnie pójść do wyborów za dwa tygodnie.

Liderzy Postępowej Słowacji, bo tak nazywa się najsilniejsza liberalna partia słowacka, chcą skorzystać z sukcesów w pierwszej turze i planują już dalsze wiece w Koszycach, Bańskiej Bystrzycy i Żylinie. Wynik pokazał, że Korčok ze swoimi ostrzeżeniami przed tym, że Słowacja może wypaść z zachodniego obozu, trafił w czułe miejsce wyborców. Poparły go nie tylko duże miasta, gdzie tradycyjnie Europejczycy zawsze byli silni, lecz także spora część średnich miast. W tłumie widać plakaty z premierem Ficą przedstawionym jako krasawica w ludowym rosyjskim stroju i ze złośliwym podpisem: „Pierwsza dama prezydenta Pellegriniego". Tuż obok transparenty: „Komu śmierdzi zachodnia demokracja, temu pachnie ruska rzyć".

Jednak stylizowanie Korčoka na opozycyjnego bohatera z antykomunistyczną kartą to gruba przesada. Urodzony w 1964 r. w Bańskiej Bystrzycy kandydat Europejczyków przed upadkiem komunizmu jako absolwent Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Bratysławie trzymał się z dala od opozycji, uczył się pilnie i gdyby komunizm potrwał dłużej, pewnie stałby się wzorowym funkcjonariuszem aparatu.

Tacy jak on mieli szczęście. Gdy zdobył dyplom, właśnie upadł komunizm i od 1992 r. mógł zostać zatrudniony w słowackim MSZ. Przez kolejne 30 lat robił karierę bezbarwnego dyplomaty. Chociaż to, że np. w 2003 r. kierował słowackim zespołem negocjującym warunki przystąpienia do NATO, a potem długo był stałym przedstawicielem Słowacji przy Unii Europejskiej, doskonale pasowało do postaci słowackiego obozu liberalnego spierającego się z prorosyjskim Robertem Ficą.

OSTRZEŻENIE Z PRAGI

Główny rywal Korčoka – Pellegrini – jeszcze parę lat temu był typowany na wzorowego lewicowego Europejczyka. Wiele zachodnich ambasad w Bratysławie wiązało z nim nadzieje. Zakładano, że odrodzi on słowacką lewicę i wyrwie ją spod dominacji Roberta Ficy.

Pellegrini jest o dekadę młodszy od Korčoka i też pochodzi z Bańskiej Bystrzycy. Egzotyczne nazwisko odziedziczył po pradziadku, który przybył na Słowację z Włoch. Z wykształcenia jest ekonomistą. Piął się powoli po drabinie kariery politycznej, od samego początku wybierając partię Roberta Ficy SMER. Pełnił kolejne funkcje ministra edukacji, a potem nawet wicepremiera do spraw inwestycji w trzecim rządzie Roberta Ficy.

W 2018 r. Słowacją wstrząsnął skandal związany z zabójstwem dziennikarza Jana Kuciaka. Wiele tropów wskazuje, że morderstwo nie byłoby możliwe bez wszechwładzy lokalnych gangsterów, nad którymi parasol trzymali ludzie Ficy. Zapędzony chwilowo w narożnik Fico złożył dymisję, a ówczesny prezydent Andrej Kiska powierzył misję tworzenia nowego rządu właśnie „europejskiemu" Pellegriniemu, który skleił chybotliwą koalicję SMER z narodowcami i z mniejszościowym węgierskim ugrupowaniem Most-Hit. Pellegrini odciął się od Ficy i powołał nowe ugrupowanie Hlas (Głos).

Pellegrini zyskiwał w kampanii, wykorzystując m.in. lęk Słowaków przed wplątywaniem ich w wojnę, ale taktyka zawiodła, gdy szef MSZ kojarzony z jego patronem spotkał się w Turcji z Siergiejem Ławrowem

Wszyscy byli przekonani, że upiór Fico został przebity osinowym kołkiem. Niemieckie fundacje obsypywały nowe ugrupowanie pieniędzmi, widząc w Pellegrinim słowackiego odpowiednika Aleksandra Kwaśniewskiego. Z perspektywy czasu widać, że mogła to być ustawka starego lisa Roberta Ficy, który wymyślił Pellegriniego jako „zmiennika na trudne czasy", gdy w 2018 r. usuwał mu się polityczny grunt spod nóg. Fico wysunął Pellegriniego na pierwszy plan, ale – jak podejrzewają niektórzy komentatorzy – trzyma go w garści.

Fico wrócił do władzy w wyborach 2023 r. i załatwił dla Pellegriniego fotel przewodniczącego parlamentu, a w tych wyborach prezydenckich wprost go wspiera.

Pellegrini w kampanii zyskiwał na tle sztywnego, uśmiechającego się z trudem, kostycznego Ivana Korčoka. Doskonale wykorzystywał lęk Słowaków przed wplątaniem ich kraju w wojnę na Ukrainie i przedstawiał się jako kandydat pokoju i stabilizacji. Kto wie, czy ta taktyka nie okazałaby się skuteczna, gdyby nie incydent z początku marca. Wówczas do Antalyi na forum dyplomatyczne wybrał się szef dyplomacji w rządzie Ficy Juraj Blánar – polityk pozbawiony zupełnie doświadczenia dyplomatycznego. W trakcie tureckiego forum szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow doprowadził do spotkania z Blánarem, które rosyjska dyplomacja nagłośniła jako przykład wychodzenia ekipy Putina z izolacji dyplomatycznej. Oburzony takim manewrem konserwatywny rząd w Pradze odwołał coroczne czesko-słowackie konsultacje rządowe. Ten gest poruszył u wielu Słowaków jakąś czułą strunę. Bliskie relacje dwóch państw, które rozdzieliły się w 1993 r., po 75 latach tworzenia wspólnego państwa, były dla wielu Słowaków swoistą świętością. Dlatego reprymenda ze strony czeskiego premiera Petra Fiali wywołała spory rezonans na Słowacji. Odwrócenie się Czechów plecami skłoniło wielu wyborców do uważniejszego potraktowania ostrzeżeń obozu proeuropejskiego, że Słowacja może znów wylecieć z zachodniej wspólnoty. Już raz tak było. W latach 90., gdy Czechy, Polska i Węgry weszły w 1998 r. do NATO, a Słowacja pod wodzą Vladimira Mečiara nie została zaproszona do atlantyckiego klubu. Doszlusowała do paktu dopiero po sześciu latach, gdy do władzy doszli proeuropejscy liberałowie pod wodzą premiera Mikuláša Dzurindy.

ODWIECZNY PODZIAŁ

Ta rywalizacja między pilnymi uczniami Brukseli a słowackimi narodowcami i lewicowcami mającymi sentyment do Rosji wyznacza specyfikę słowackiej po-

eprasa.pl 82443a69e0

lityki od 1990 r. Podział jest zawsze taki sam. Po jednej stronie mający sentyment do wspólnej Czechosłowacji liberałowie, którzy patrzą na naród słowacki z niepokojem jako mającą populistyczne, postkomunistyczne cechy masę etniczną, a po drugiej stronie narodowi komuniści, którzy nigdy nie lubili wspólnego państwa z Czechami i którzy celebrują narodową wspólnotę.

Nie było przypadkiem, że obecny lider tego obozu premier Robert Fico 14 stycznia demonstracyjnie złożył kwiaty na grobie Gustáva Husáka, komunistycznego prezydenta i szefa partii komunistycznej, z okazji 111. rocznicy jego urodzin. Dla obserwatora z Polski ten zlep postkomunizmu z sentymentem do słowackiego ruchu narodowego jest czymś dziwnym. W polskich warunkach coś podobnego mogłoby powstać, gdyby na początku lat 90. ktoś w rodzaju Leszka Millera stworzył koalicję z PSL Waldemara Pawlaka i na dodatek jeszcze wziąłby sobie część narodowców w rodzaju Grzegorza Brauna plus jakichś epigonów postkomunistycznego, ale katolickiego w swej ideologii ruchu PAX.

Składający kwiaty na grobie Husáka Fico sławił bardziej bohatera, który wywalczył dla swojej ojczyzny równoprawne miejsce w federacji z Czechami, niż wielkiego kapłana komunistycznego rytuału. Bo kapitalizm ludziom pokroju Ficy całkiem odpowiada, pod warunkiem że daje asumpt do obsadzania lokalnych klik i dojenia państwowych spółek. Z kolei proeuropejscy liberałowie mieliby moralne prawo do rozliczania i krytykowania partii SMER, gdyby nie to, że w trakcie liberalnych rządów Dzurindy z lat 90., a potem premier Ivety Radičowej tacy sami „konkreciarze" obciążyli konta obozu europejskiego tak samo skandalicznymi aferami.

Dlatego wielu wyborców szczególnie środkowej i wschodniej części Słowacji wybiera swojskich narodowych lewicowców, którzy przynajmniej nie zadzierają nosa i nie demonstrują zniesmaczenia własnym narodem.

W tym duopolowym układzie nie ma zbyt wiele miejsca na dodatkowych graczy. Dobrym przykładem takiego błędnego rycerza słowackiej polityki jest katolicki ruch KDH. Przypominałby on pod wieloma względami Prawo i Sprawiedliwość, gdyż ma ładne opozycyjne korzenie i wyraźne nastawienie obrony katolickich wartości. Tyle że KDH nigdy nie miało szczęścia do liderów, a kolejni szefowie tej partii przypominali nieco polskiego Aleksandra Halla. Trudno było im zarzucić osobistą nieuczciwość, ale talentu do realnej polityki raczej nie mieli.

FICO NIE PODDA SIĘ ŁATWO

Obecny rząd Słowacji przeprowadza w parlamencie ustawę o powołaniu nowych mediów publicznych w miejsce dawnego oficjalnego państwowego radia i telewizji RTSV. Nowy projekt, który zostanie prawdopodobnie przegłosowany (Fico ma większość parlamentarną), oznaczać będzie całkowite uzależnienie od rządu mediów publicznych.

Tak słowackiego premiera Roberta Ficę w kostiumie rosyjskiej krasawicy widzi czeski tygodnik „Reflex". Ten fotomontaż widać często na wiecach Ivana Korčoka FOT. REFLEX.CZ

Gdy obóz europejski zaniósł się oburzeniem i zaczął bić na alarm, politycy SMER zaczęli w mediach udawać zdumienie. „Jak to? Postępowa Słowacja jest oburzona? Przecież dokładnie takie same zmiany przeprowadza w Polsce rząd Donalda Tuska i nikogo w Komisji Europejskiej to nie oburza" – wskazują zjadliwie politycy Ficy.

W równie zdecydowany sposób starają się ukręcić łeb powołanym po aferze Kuciaka próbom wyjaśnienia starych afer. Premier Fico chce zmian w kodeksie karnym, które skróciłyby okres przedawnienia niektórych przestępstw i obniżyłyby kary za korupcję. Do „zaorania" mają być też specjalne służby antykorupcyjne, które powołano w epoce, gdy Peter Pellegrini pozował na odnowiciela słowackiej lewicy i które miały wyplenić powiązania między politykami a mafią.

Teraz Fico ma niewiele czasu na zmontowanie frontu, który przeforsuje prezydenturę dla Petera Pellegriniego. Najbardziej politycy SMER liczą na elektorat Štefana Harabina, a także mają nadzieję, że Pellegriniego poprą Węgrzy. Każdego, kto pamięta wojny godnościowe między węgierską mniejszością a ekipą Ficy, może to zdziwić. Jednak węgierska mniejszość jest kontrolowana przez emisariuszy Viktora Orbána – premiera Węgier, który nie kryje, że Słowacja Ficy zastąpiła Polskę Mateusza Morawieckiego w roli głównego sojusznika Węgier w Unii Europejskiej.

W słowackim systemie politycznym prezydent ma bardziej reprezentacyjny charakter, ale może być dolegliwy dla ekipy Ficy choćby przez kierowanie ustaw do słowackiego sądu konstytucyjnego. Tego Fico bardzo chciałby uniknąć.

W sobotę 6 kwietnia przekonamy się, czy Fico bardziej przeraził Słowaków zbyt demonstracyjnym odwracaniem się plecami do Unii Europejskiej czy też zwycięży socjotechniczna sprawność starego lisa w uwodzeniu słowackich dusz. Według słowackich gazet Pellegrini zastanawia się, czy przed drugą turą wcielić się w rolę wyrazistego fightera czy też dalej pozować na anioła pokoju, który gryzie się planami NATO wysłania wojsk paktu na Ukrainę.

Wobec nowej fali optymizmu w obozie Korčoka Pellegrini będzie musiał wymyślić dla siebie nową rolę.

Ten pojedynek przypomina tendencję, która Polaków nieodmiennie zdumiewa u dwóch narodów żyjących za naszą południową granicą. Dziewiętnastowieczna tęsknota za Rosją była kiedyś antidotum dla antyniemieckich lęków Czechów i antywęgierskich obaw Słowaków. Dziś ta tradycja wciąż żyje w postaci dziwnej, słowianofilskiej nostalgii za Rosją. Ogranicza ją też inna silna emocja – lęk, by za bardzo od Zachodu się jednak nie oddalić. Który trend wygra, okaże się 6 kwietnia, w drugiej turze wyborów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

Z dr. Yi Fuxianem, badaczem chińskiej demografii
rozmawia Piotr Włoczyk

Wielki ból chiński

PIOTR WŁOCZYK: Jak wszyscy świetnie wiedzą, Chiny liczą 1,41 mld obywateli.

DR YI FUXIAN: To nieprawda. Chiny mają ok. 1,28 mld ludności. Wiele danych wskazuje na to, że oficjalne 1,41 mld to nieprawdziwa liczba, m.in. informacje, które ujawnione zostały w 2022 r. w wielkim wycieku danych z szanghajskiej policji. Niewykluczone nawet, że rzeczywista liczba ludności jest mniejsza niż moje własne szacunki mówiące o 1,28 mld. Katastrofalna demografia to największa bolączka dzisiejszych Chin.

W takim razie co się stało z ponad 130 mln ludzi? To przecież więcej niż populacja Japonii!

Nic, ci ludzie nigdy nie istnieli. Najpóźniej w 1991 r., gdy wskaźnik dzietności spadł poniżej poziomu zastępowalności pokoleń, chińskie władze powinny były odejść od polityki jednego dziecka. Od tego czasu dane ludnościowe były manipulowane, ponieważ urzędnicy zajmujący się kontrolą populacji, a także demografowie musieli malować obraz „gwałtownie rosnącej populacji", by usprawiedliwić drakońską

eprasa.pl 82443a69e0

Doktor Yi Fuxian jest lekarzem, badaczem chińskiej demografii. Od 1999 r. mieszka w USA i wykłada na University of Wisconsin-Madison FOT. ARCHIWUM YI FUXIANA

politykę ograniczania urodzeń. Musieli oni przekonywać wszystkich dokoła, że sytuacja jest o wiele „gorsza", niż była w rzeczywistości, by realizować politykę jednego dziecka. Te manipulacje miały jednak swoje dalsze konsekwencje. Ponieważ w spisie powszechnym w 2000 r. stwierdzono mniejszą liczbę ludności niż oczekiwano, rozpoczęto specjalną operację „poszukiwania" dziesiątek milionów „zaginionych", która zakończyła się wynikiem 1,24 mld. Liczbę tę następnie powiększono – czysto matematycznie – do oczekiwanych 1,27 mld.

Chiny są bardzo scentralizowane i liczba ludności jest niezwykle ważna dla lokalnych władz. Jeżeli odpowiednio „napompuje się" dane, to można uzyskać z Pekinu więcej pieniędzy, np. na edukację czy służbę zdrowia. I tak to się napędza.

Te „zaginione" 130 mln ludzi nie są chyba największym problemem chińskiej demografii?

Mówiąc bez ogródek, Chiny są pod tym względem w katastrofalnej sytuacji. Ostatnie dane pokazują, że w 2023 r. w Chinach odnotowano 9,02 mln urodzeń. To zaledwie jedna trzecia urodzeń zarejestrowanych w Indiach i najniższa liczba od 1762 r., gdy Chiny miały tylko nieco ponad 200 mln ludności.

Spis powszechny z 2000 r. pokazał, że współczynnik dzietności w Chinach wynosił zaledwie 1,22, ale „ulepszono" go do 1,8. Obecnie dzietność w ChRL ma być oficjalnie na poziomie 1,0, ale w rzeczywistości jest bliższa sytuacji na Tajwanie, gdzie wskaźnik ten wynosi 0,87 [w Polsce: 1,26 – przyp. red.].

Co to oznacza dla wielkich planów Xi Jinpinga?

Chińskie polityki w zakresie gospodarki, spraw socjalnych, zagranicznych i obronnych bazują na nierealnych danych demograficznych. Nieoczekiwanie szybko postępujące starzenie się społeczeństwa działa na chińską gospodarkę jak kotwica, redukując wpływy, zwiększając dług państwa, zmuszając władze prowincjonalne do obcinania pensji urzędników i redukowania inwestycji infrastrukturalnych. W sposób oczywisty baza demograficzna, która zbudowała potęgę Chin, już nie istnieje.

Jeżeli założymy, że Chiny będą miały na tyle szczęścia, że uda im się ustabilizować dzietność na poziomie 1,0, to ich populacja spadnie do 1,06 mld w 2050 r. i zaledwie 390 mln w 2100 r. Ale to bardzo optymistyczne założenie, ponieważ najpewniej wskaźnik dzietności w Chinach dalej będzie spadał. Odsetek Chińczyków powyżej 65. roku życia wzrośnie z 14 proc. w 2020 r. do 35 proc. w 2050 r.! O ile w 2020 r. pięciu pracowników w wieku 20–64 lata utrzymywało jednego seniora (65+), o tyle już za 11 lat będzie to 2,4, a w 2050 r. zaledwie 1,5 pracownika. Wówczas kryzys chińskiego systemu emerytalnego stanie się już prawdziwą katastrofą humanitarną.

Ale i tak nie brakuje ekonomistów, którzy wieszczą, że już za kilka dekad chiński PKB będzie dwukrotnie większy od amerykańskiego...

I właśnie takie, niepoparte niczym prognozy utrzymują chińskie władze w przekonaniu, że ich system polityczny i model rządzenia są świetne, a „Wschód wzrasta, podczas gdy Zachód gaśnie". Amerykańskie elity również żyją w takim przekonaniu, nie rozumiejąc, że Chiny przestają być energicznym lwem, a stają się starym, chorym kotem.

Spis z 2000 r. pokazał, że współczynnik dzietności wynosił zaledwie 1,22, ale „ulepszono" go do 1,8. Obecnie dzietność w ChRL ma być oficjalnie na poziomie 1,0

Chińskie ambitne cele nie będą spełnione z powodu tak dramatycznego spadku narodzin i starzenia się populacji. I wygląda na to, że tej katastrofy nie da się uniknąć. Polityka jednego dziecka wyrządziła po prostu zbyt wiele szkód chińskiemu społeczeństwu.

Po tym, gdy w 2016 r. zakończono politykę jednego dziecka, Chiny starały się najpierw skłonić młodych ludzi do posiadania dwojga dzieci, a obecnie mowa jest już o trojgu. Dlaczego uważa pan, że nic z tego nie będzie?

Ponieważ ta polityka kilkorga dzieci po prostu nie działa. Ludzie przyzwyczaili się przez ostatnie cztery dekady, że jedno dziecko – jeżeli w ogóle – wystarczy. To dramatycznie głęboka zmiana społeczna. Polityka jednego dziecka była tak efektywna, że bardzo trudno jest odwrócić ten trend i nakłonić chińskie kobiety do posiadania większej liczby dzieci. Spadek wskaźnika

eprasa.pl 82443a69e0

dzietności to jak głaz staczający się po zboczu góry – bardzo trudno odwrócić ten trend. Polityka jednego dziecka przyśpieszyła to zjawisko i teraz ten demograficzny „głaz" jest już niemal u podnóża góry, więc bardzo trudno będzie go z powrotem wtoczyć.

Władze w Pekinie pochwaliły się ostatnio, że widać światełko w tunelu – w zeszłym roku zawarto w ChRL 7,68 mln małżeństw, czyli 12,4 proc. więcej niż rok wcześniej. Więcej małżeństw to zazwyczaj więcej dzieci. Może więc chińska partia komunistyczna znalazła sposób na wyjście z tych tarapatów?

Nie, to nie pomoże chińskiej demografii. W ciągu trzech lat polityki zero-COVID ludzie odkładali zawarcie małżeństw. O ile w 2019 r. ślubów było w ChRL 9,27 mln, o tyle w 2022 r. liczba ta spadła do 6,83 mln. Gdy więc w 2023 r. zniesiono politykę zero-COVID, oczywiste było, że ślubów będzie nieco więcej. Ale to tylko chwilowa „poprawa".

W 2007 r. wydał pan książkę pt. „Wielki kraj z pustym gniazdem". Początkowo trafiła ona w Chinach na listę zakazanych tytułów, ale po kilku latach chińskie władze wydały jednak zgodę na jej publikację. Dlaczego?

Ponieważ chiński rząd w końcu zrozumiał, że ChRL zmierza do katastrofy, a moje szacunki były trafne. Pekin pozwolił na publikację mojej książki w 2013 r. i przeszedł od polityki jednego dziecka do polityki dwojga dzieci. Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że polityka jednego dziecka była kompletnie niepotrzebna, ponieważ wraz z poprawą jakości życia wskaźnik dzietności i tak by zaczął w Chinach spadać. W 1980 r. chińskie władze uważały, że jeżeli nic się z tym nie zrobi, to w przyszłości Chińczyków będą 4 mld, ale to były kompletnie odrealnione szacunki. W rzeczywistości, nawet bez polityki jednego dziecka, Chiny osiągnęłyby swoje populacyjne maksimum na poziomie 1,6 mld obywateli, po czym liczba ludności sama zaczęłaby spadać, ale nie tak stromo, jak ma to miejsce obecnie.

Co ciekawe, po kilku latach moja książka znów została w ChRL zakazana, ponieważ chińskim władzom bardzo nie podobało się to, co mówiłem o wpływie coraz gorszej demografii na gospodarkę – że to będzie główna przeszkoda, która uniemożliwi Chinom zdeklasowanie Ameryki.

Niekorzystną demografię da się zrównoważyć postępem w automatyzacji pracy i sztucznej inteligencji – słychać często z ust ekspertów, którzy są przekonani, że przyszłość należy do Chin.

AI i robotyzacja faktycznie pomogą w tej kwestii, ale w stosunkowo niewielkim stopniu. Przecież innowacyjność to domena młodych umysłów. Ponadto roboty nie konsumują, a bez odpowiedniego poziomu konsumpcji żadna gospodarka nie jest w stanie dobrze się rozwijać.

Urodził się pan w 1969 r. w prowincji Hunan jako jedno z siedmiorga dzieci. To było oczywiście, jeszcze zanim wprowadzono politykę jednego dziecka – inaczej pańskiej matce nigdy nie pozwolono by na urodzenie tak licznego potomstwa. A chińskie władze miały potworne narzędzie kontroli urodzeń...

Moja rodzina była pod tym względem przeciętną rodziną żyjącą na chińskiej prowincji. Wtedy jeszcze Chiny były bardzo biednym krajem i przeciętna kobieta rodziła sześcioro–siedmioro dzieci.

O ile w 2019 r. ślubów było w ChRL 9,27 mln, o tyle w 2022 r. liczba ta spadła do zaledwie 6,83 mln

Przymusowe aborcje były przerażającą rzeczywistością ery polityki jednego dziecka. Mój starszy brat i jego żona musieli ukrywać się w górach, by władze nie dowiedziały się, że „w drodze" jest ich kolejne dziecko. Konsekwencją odkrycia ciąży byłaby zapewne przymusowa aborcja. I nie miałoby tu żadnego znaczenia, czy był to drugi miesiąc ciąży czy dziewiąty. Moja nauczycielka została wyrzucona ze szkoły za to, że urodziła drugie dziecko. Jeden z moich sąsiadów został ukarany za drugie dziecko utratą domu – władze po prostu go zburzyły dla przykładu. U żony innego sąsiada siłą dokonano aborcji, wywołując przedwczesny poród. Dziecko zostało następnie na oczach matki wrzucone do śmietnika. Po pewnym czasie, gdy nikt nie patrzył, matka sięgnęła do tego pojemnika, wyciągnęła dziecko, które wciąż żyło, i przez okno podała je swojemu mężowi. Gdy w 2016 r. odwiedziłem Chiny, poznałem tego chłopca, wówczas już dorosłego mężczyznę – akurat brał ślub.

Jeszcze do niedawna wiele chińskich kobiet kontaktowało się z panem przez Internet w sprawie swoich „nielegalnych" ciąż, prosząc o pomoc. Co mógł pan im zaoferować, skoro mieszka pan w USA?

Tysiące kobiet w ciąży zwracały się do mnie z prośbą o pomoc. Desperacko chciały one zachować swoje dzieci i szukały jakichkolwiek porad, wsparcia w tej dramatycznej sytuacji. Radziłem im, jak dbać o siebie i dziecko, jak nie dać się złapać i gdzie szukać chińskich ginekologów, którzy nie zgłoszą ich władzom. Jestem dumny, że przyczyniłem się do uratowania wielu dzieci. Niektórzy rodzice wysyłają mi zdjęcia swoich bobasów. Gdy odwiedziłem Chiny, spotkałem się z niektórymi z tych kobiet. To były dla mnie bardzo poruszające chwile.

„The New York Times" nazwał pana „naukowcem, który przewidział chińską stagnację". Jak pan to zrobił, pracując z USA, badając ten problem z daleka?

Jako lekarz, specjalista w zakresie ginekologii, opracowałem nowatorską metodę używania narzędzi medycznych w procesie badania zjawisk demograficznych [dr Yi był w stanie skutecznie prognozować faktyczną liczbę urodzeń w Chinach m.in. dzięki śledzeniu liczby używanych w tamtejszych szpitalach szczepionek – przyp. red.]. I właśnie w ten sposób udaje mi się dobrze przewidywać chińskie wskaźniki demograficzne. Pekin jeszcze do niedawna prognozował, że liczba ludności zacznie w ChRL spadać w 2031 r. Tymczasem chińskie władze musiały niedawno zaryzykować utratę twarzy i przyznać, że spadek ludności zaczął się w 2022 r. Jednak moje ustalenia, poparte przez dane z innych niezależnych źródeł, pokazują, że Chiny kurczą się demograficznie nie od 2022 r., ale już od 2018 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 82443a69e0

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Obniżmy pensje europosłom

Hegemon – jak to hegemon – przeważnie nie ma litości dla terytorium, do którego rości sobie prawo, i do jego mieszkańców. Nie inaczej jest z hegemonem Europy (czyli Niemcami i ich akolitami, głównie Francją), który stara się trzymać w ryzach znaczną część naszego kontynentu; trzymać za pomocą sowicie opłacanej eurokracji zgromadzonej pod sztandarem UE w Parlamencie Europejskim i Komisji Europejskiej.

Mechanizm owego trzymania w ryzach jest prosty i oparty na pozyskiwaniu przychylności polityków z państw narodowych. Pozyskiwaniu jej na przeróżne sposoby, w tym na dwa podstawowe, i nie wiadomo, który jest skuteczniejszy. Jednym z nich jest asygnowanie pieniędzy z przeróżnych unijnych funduszy, które to pieniądze politycy państw narodowych mogą potem, niczym swe trofea, przywozić z Brukseli swoim ludom, przekonując – w celu uzyskania z kolei ich poparcia – że to właśnie dzięki ich (polityków) staraniom pieniądze te w ich krajach się znalazły. I wszyscy skrzętnie przemilczają, że pieniądze te pochodzą z podatków zapłaconych przez te same ludy, oczywiście po wcześniejszym potrąceniu sobie przez hegemona i jego eurokratów marży na własne utrzymanie i swe apanaże.

Innym sposobem pozyskiwania przychylności polityków z państw narodowych, którymi hegemon Europy mami polityków państw narodowych, są właśnie owe apanaże – bardzo wysokie pensje z dodatkami, a także takież emerytury, do których prawo zdobywa się szybciutko, pod warunkiem grzecznego zasłużenia się hegemonowi.

I otóż miraż tych apanaży, umiejętnie i wcale nie dyskretnie roztaczany przed „lokalnymi" politykami – zwłaszcza tymi, którzy pochodzą z państw wciąż relatywnie biednych – może odgrywać rolę niebagatelną. A że są to kwoty bardzo wysokie dla przeciętnego człowieka, lecz niewiele znaczące dla budżetu UE, a do tego pochodzące z podatków płaconych przez podatników z państw członkowskich UE, to okazuje się, że hegemon może sobie wyobrażać, że pozyskuje przychylność tych, na których mu zależy, za niewygórowane, i to w dodatku ich własne pieniądze.

I właśnie dlatego – po to, by uniknąć choć cienia niepotrzebnego (i, rzecz jasna, zapewne całkiem nieuprawnionego) podejrzenia, że zainteresowanym mogłoby w relacjach z UE i jej hegemonem chodzić o właśnie tego rodzaju „interesowność", czyż nie warto byłoby sprawić, żeby wynagrodzenia (i emerytury) polskich polityków robiących karierę w unijnych strukturach – czy to w Parlamencie Europejskim, czy w Komisji Europejskiej lub innych instytucjach – były równe wynagrodzeniu polskich posłów i senatorów oraz polskich ministrów? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Mord założycielski

W 2008 r. Teatr TVP pokazał znakomitą sztukę „Mord założycielski", opowiadającą o dokonanym podczas okupacji zabójstwie współzałożyciela Polskiej Partii Robotniczej, Marcelego Nowotki. Idea nie była nowa: wciągnąć towarzyszy w taką akcję, która zwiąże ich na stałe i po wsze czasy ze współsprawcami, a w razie czego będzie wygodnym hakiem. To metoda stosowana zresztą przez wiele gangów – a w końcu PPR też była swego rodzaju gangiem.

Taka sekwencja eskalacyjna nie może oczywiście trwać bez końca

Obserwując poczynania obecnej władzy, można mieć wrażenie, że działa w bardzo podobny sposób: jak największa grupa ma zostać umoczona w działania, które są odpowiednikiem spalenia mostów za postępującą armią. Jak wiadomo, takie działanie służy wymuszeniu postępów, bo cofnąć się wówczas nie da.

Gdy jednak odnieść to do polityki, zauważymy, że takie postępowanie sprzyja coraz brutalniejszemu zagarnianiu władzy i uciekaniu się do coraz dalej idących działań, żeby jej nie oddać. To jak wspinanie się po geopolitycznej drabinie eskalacyjnej – by przytoczyć nomenklaturę używaną przez słynnego polskiego geopolityka. Obecnie rządzący wiedzą, że gdyby miało kiedyś dojść do wychylenia się wahadła w drugą stronę (co nie jest pewne, bo być może w następnym rozdaniu układ będzie całkiem inny), to ich los byłby przesądzony. Nie byłoby już żadnych sentymentów i ochrony, tylko zemsta jeszcze bezwzględniejsza od tej, której oni sami teraz dokonują. Obraz służb wpadających z drzwiami o godz. 5 do sopockiego domu Donalda Tuska i rzucających go skutego kajdankami na glebę, a potem siedzącego kilkanaście miesięcy w areszcie „tymczasowym", nie przekracza granic wyobraźni.

Taka sekwencja eskalacyjna nie może oczywiście trwać bez końca. W którymś momencie dochodzi się do ściany, czyli do sytuacji, w której państwo staje się naprawdę – bez publicystycznej przenośni – autorytarne, nawet jeśli formalnie pozostanie demokracją. Czy jesteśmy od tego momentu w odległości jednego cyklu wyborczego, może dwóch? Trudno powiedzieć, ale na pewno bliżej niż dalej.

Jest tylko jedna metoda, żeby się z tej spirali wyrwać: zakończyć obłędny chocholi taniec dwóch obozów, które wmawiają nam, że poza nimi nic nie istnieje. ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

Cyfrowe euro w Polsce?

Rafał Adamus

Cyfrowy pieniądz absolutnie wyłącza anonimowość transakcji, a emitent pieniądza cyfrowego może uzyskać niewyobrażalny potencjał władzy. Czy zapowiadane cyfrowe euro może zostać wprowadzone w Polsce bez wchodzenia naszego kraju do strefy euro?

FOT. ADOBE STOCK

Prezes Europejskiego Banku Centralnego, Christine Lagarde, była przekonana, że prowadzi rozmowę z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim. Nagranie zostało umieszczone przez użytkownika konta Watcher.Guru w serwisie X (wcześniej znanym jako Twitter) w kwietniu 2023 r. Fałszywy prezydent Ukrainy dopytywał o koncepcję cyfrowego euro. Christine Lagarde przyznała, że „cyfrowe euro zostanie użyte do kontroli obywateli". Argumentem za kontrolą całego społeczeństwa UE jest okoliczność, że 10 lat temu we Francji jacyś zamachowcy byli finansowani przez drobne kwoty pozyskiwane z kart kredytowych. Argument odwołuje się do uczucia lęku i zestawia nieproporcjonalne wielkości.

Czym ma być cyfrowe euro? Oficjalna zapowiedź UE jest taka: „Cyfrowe euro ma być cyfrową formą »pieniądza banku centralnego« emitowanego przez Europejski Bank Centralny do użytku w sprzedaży detalicznej, równolegle m.in. z gotówką. W coraz bardziej scyfryzowanym świecie może przynieść korzyści obywatelom i przedsiębiorstwom, promować innowacje i zwiększyć otwartą strategiczną autonomię UE". To jednak opis tylko jednej z dwóch stron medalu.

ZABIERANIE PRYWATNOŚCI

Komisja Europejska przedstawiła „pakiet dotyczący jednej waluty", składający się z ram prawnych dla wprowadzenia euro w formie cyfrowej i statusu gotówki, czyli banknotów i monet euro, jako prawnego środka płatniczego. Nośnikiem tych ram prawnych mają być rozporządzenia organów UE. Cyfrowe euro (jako prawny środek płatniczy) miałoby działać na zasadzie cyfrowego portfela. Dzięki niemu zarówno obywatele, jak i ich jednostki organizacyjne mogliby dokonywać płatności w dowolnym czasie i dowolnym miejscu w strefie euro. A nawet dalej.

Cyfrowe euro miałoby funkcjonować obok gotówki euro oraz obok krajowych i międzynarodowych prywatnych środków płatniczych. Przy czym obowiązywałaby zasada swobody wyboru sposobu płatności. Zatem cyfrowe euro nie zastąpiłoby gotówki, ale jedynie ją uzupełniało. Przynajmniej w tej fazie „mądrości etapu". Cały czas należy mieć na uwadze, że przepisy prawa coraz bardziej limitują obrót gotówkowy. Dla wygody użytkowników cyfrowe euro byłoby interoperacyjne z innymi walutami cyfrowymi banków centralnych (tzw. CBDC – Central Bank Digital Currency). Czyli plany emisji CBDC traktowane są przez Komisję bardzo poważnie. Cyfrowe euro byłoby dostępne w trybach on-line i off-line. Miałoby być zatem bezpieczne, łatwe w użyciu, szeroko dostępne. Jak

eprasa.pl 82443a69e0

się podkreśla w oficjalnym stanowisku, „miałoby umożliwiać płatności i przelewy pieniężne o wysokim stopniu ochrony prywatności". Zatem prywatność transakcji jakoś tam będzie chroniona. Lepiej lub gorzej. Ale płatność cyfrowa ze swojej natury pozbawiona jest anonimowości. Są jeszcze szczytne cele o charakterze bardziej ogólnym: ochrona stabilności finansowej strefy euro, pobudzanie innowacji itd. Wygląda to bardzo dobrze. Ale jaka będzie rzeczywistość?

Komisja Europejska, przedstawiając projekt cyfrowego euro, powołała się na sondaż, według którego 55 proc. respondentów preferuje płatności elektroniczne. Niemniej to trochę jakby zapytać: „Czy chciałbyś jeść codziennie czekoladę?". Takie pytanie sondażowe nie dotyczy istoty problemu (wpływu nadmiaru cukru na zdrowie człowieka), ale banalnej, powierzchownej pozytywnej emocji. Czy minutowy sondaż jest dobrym testem dla zbadania, jak społeczeństwa przywiązane są do swojej wolności? Jaki byłby wynik sondażu, gdyby pytanie było następujące: „Czy jest pan/pani za docelowym monopolem cyfrowego pieniądza, którego skutkami są: a) całkowita utrata anonimowości, b) możliwość pełnej kontroli ex post nad jego wydatkowaniem, c) możliwość dokładnego przewidzenia pana/pani wydatków w przyszłości, d) a także ryzyko podjęcia czynności podlegających na programowaniu na przyszłość wydatkowania pana/pani pieniądza?"?

Emisję cyfrowego euro będą mogły (wszystko jest jeszcze w fazie projektowania) prowadzić Europejski Bank Centralny i krajowe banki centralne. Cyfrowe euro to zatem pieniądz publiczny i fiducjarny (czyli taki, którego emisja opiera się na zaufaniu do emitenta). Cyfrowe euro – w czym nie może być żadnego zaskoczenia – opiera się na konstrukcji długu. Stanowi ono bezpośrednie zobowiązanie Europejskiego Banku Centralnego lub krajowych banków centralnych wobec użytkowników cyfrowego euro.

WIRTUALNY PORTFEL

Cyfrowe euro ma posiadać status prawnego środka płatniczego. Będzie wymienialne na banknoty i monety euro według wartości nominalnej, jak również z bankowym pieniądzem elektronicznym denominowanym w euro. Innymi słowy, trzy rodzaje pieniądza – 1. cyfrowe euro, 2. pieniądz gotówkowy, 3. pieniądz bankowy – będą między sobą wymienialne. Ze statusem cyfrowego euro jako prawnego środka płatniczego będą się wiązały obowiązek jego akceptacji, w pełnej wartości nominalnej, i możliwość wykorzystania go do wywiązania się z zobowiązania płatniczego.

W swoim założeniu cyfrowe euro to wyłącznie narzędzie do dokonywania łatwych płatności. Zatem korzystanie z niego jako ze środka przechowywania wartości ma podlegać ograniczeniom. Przynajmniej na razie. Istotą pieniądza jest reprezentowanie pewnej wartości, zatem wyłączenie tej funkcji wydaje się być sztuczne.

Jeżeli chodzi o zasięg terytorialny, to cyfrowe euro będzie miało status prawnego środka płatniczego na potrzeby spłaty zobowiązania pieniężnego denominowanego w euro w trybie: a) off-line – w strefie euro i b) on-line – na rzecz odbiorcy mającego miejsce zamieszkania lub siedzibę w strefie euro. Czyli płacący może przebywać poza tą strefą…

Ponieważ cyfrowego euro nie można wziąć do ręki, do jego obsługi potrzebne będą „europejski portfel tożsamości cyfrowej" i rachunek płatniczy otwierany przez specjalnie do tego namaszczonych dostawców usług płatniczych. Transakcje płatnicze w cyfrowym euro, dokonywane w trybie on-line i off-line, mają być rozliczane natychmiastowo.

CO Z POLSKĄ?

Czy cyfrowe euro trafi na obszar pomiędzy Odrą i Nysą a Bugiem? Innymi słowy: Czy Polska wejdzie do cyfrowej strefy euro tylnymi drzwiami? Skąd taka teza? Otóż cyfrowe euro uregulowane będzie przez akt prawny UE o randze rozporządzenia (czyli przez tzw. prawo pochodne, pozostające wyłącznie w gestii organów UE). Nie ulega wątpliwości, że cyfrowe euro nie zatrzyma się na takim poziomie funkcjonalności, który jest obecnie proponowany. Z czasem, stopniowo, będzie nabywało kolejne atrybuty. Jest oczywiste, że pieniądz gotówkowy będzie coraz bardziej blednąć. Można sformułować następującą hipotezę: „Pieniądz łatwy w użyciu i nowoczesny wyprze pieniądz przestarzały".

RAFAŁ ADAMUS „DŁUG I NIEWYPŁACALNOŚĆ. ANALIZA NA CZAS KRYZYSU" WARSZAWA 2024

Z kolei cyfrowy pieniądz absolutnie wyłącza anonimowość transakcji. Ponadto w powiązaniu z narzędziami informatycznymi gromadzenie nieograniczonej ilości danych o obiegu pieniądza i ich błyskawicznego oraz złożonego przetwarzania emitent pieniądza cyfrowego uzyska wręcz niewyobrażalny potencjał władzy. W grę może chodzić nie tylko kontrola obrotu pieniądzem cyfrowym. W perspektywie pieniądz cyfrowy emitowany przez bank centralny może stać się monopolistycznym środkiem płatniczym. Wówczas możliwy jest scenariusz programowania przez emitenta sposobu korzystania z pieniądza przez jego posiadacza.

Wobec tak daleko idących możliwości, które stoją przed pieniądzem cyfrowym, należałoby postulować, aby jego wprowadzenie (nawet jako narzędzia testowego) – po pierwsze – zostało zapisane w konstytucjach państw członkowskich UE. Musiałoby zatem zostać zaakceptowane przez znaczną część społeczeństwa po przeprowadzeniu rzetelnej społecznej debaty co do zagrożeń i korzyści związanych z cyfrową walutą. Po drugie, na poziomie UE powinno zostać uregulowane na zasadzie traktatu podpisanego przez państwa członkowskie.

Wracając do postawionego pytania, czy Polska trafi do cyfrowej strefy euro (oczywiście przy wszystkich jej obecnych ograniczeniach, które jednak z czasem mogą zanikać), UE zakłada, że tak. Projekt rozporządzenia w sprawie cyfrowego euro przewiduje, że dostawcy usług płatniczych mogą dystrybuować cyfrowe euro poza strefą euro, jeżeli Europejski Bank Centralny i krajowy bank centralny państwa członkowskiego UE podpiszą stosowne porozumienie.

Na podstawie mojej książki: „Dług i niewypłacalność. Analiza na czas kryzysu", Warszawa 2024, Wydawnictwo C.H. Beck.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prawnikiem, radcą prawnym, profesorem nauk społecznych w dyscyplinie nauk prawnych, profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Opolskiego.

eprasa.pl 82443a69e0

MITSUBISHI ASX

FOT. JAP.

Mitsubishi ASX, czyli Renault Captur II po japońsku, to kolejny przykład współpracy w ramach międzynarodowego aliansu. W marcu prezentowaliśmy na łamach „Do Rzeczy" Suzuki Swace, czyli bliźniaka Toyoty Corolli. Mitsubishi ASX to zaś efekt współpracy z Francuzami. Oba przykłady można zaliczyć do udanych.

ASX, czyli popularny kompaktowy francuski SUV ze znaczkiem „trzech diamentów", niewiele różni się od oryginału. Smukła, dynamiczna sylwetka wygląda dobrze.

W kabinie jest sporo miejsca, również z tyłu. W testowej wersji Instyle AT podróż uprzyjemniają system nagłośnienia BOSE, indukcyjna ładowarka, ekran dotykowy o przekątnej 10,25 cala, adaptacyjny tempomat, szyberdach etc. Na szczęście Japończycy nie próbują być zbyt nowocześni i utrzymali w ASX sterowanie klimatyzacją za pomocą tradycyjnych pokręteł – podświetlanych i bardzo prostych w obsłudze. Na pochwałę zasługują też bardzo wygodne fotele z opcją podgrzewania, które powinny zdać egzamin nawet przy dłuższych podróżach. Bagażnik mieści ok. 400 l (można go powiększyć do nieco ponad 530 l po przesunięciu tylnej kanapy).

Mitsubishi ASX oferowane jest w trzech wersjach benzynowych i jednej hybrydowej. We wszystkich opcjach dostępny jest napęd na jedną oś. My sprawdziliśmy wersję z silnikiem o pojemności 1,3 l i automatyczną siedmiobiegową skrzynią biegów (7DCT) w najwyższej wersji wyposażenia Instyle. ASX w testowanej konfiguracji od zera do setki rozpędza się w 8,5 s. Podczas wiosennego testu w cyklu mieszanym spalał ok. 6,9 l/100 km.

Mitsubishi ASX dba też o bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów: stosowne systemy ostrzegają o samochodach w martwym polu lusterek, alarmują w przypadku wykrycia niezamierzonej zmiany pasa ruchu, wspomagają utrzymanie samochodu na właściwym pasie, rozpoznają znaki drogowe (i dyskretnie upominają, gdy przekroczy się dopuszczalny limit), a także ograniczają skutki zderzeń czołowych.

Najtańszy ASX z silnikiem o pojemności 1.0 i mocy 91 KM z sześciobiegową skrzynią manualną kosztuje 96,99 tys. zł (produkcja 2023). Japończyk w standardzie już w najtańszej wersji ma kamerę cofania, tylne i przednie czujniki parkowania, światła w technologii LED oraz ekran dotykowy o przekątnej 7 cali oraz 4,2-calowy wyświetlacz między klasycznymi zegarami. Wersja z nieco lepszym wyposażeniem i silnikiem o pojemności 1,3 l o mocy 140 KM z sześciobiegową skrzynią manualną to wydatek rzędu 109,99 tys. zł. Za wersję z silnikiem 1,3 o mocy 158 KM i automatyczną skrzynią 7DCT japoński koncern życzy sobie co najmniej 126,99 tys. zł (w najbogatszej wersji wyposażenia cena rośnie do 143,99 tys. zł – w przypadku auta wyprodukowanego jeszcze w roku 2023). Z kolei za hybrydę z silnikiem o pojemności 1.6 o mocy 143 KM trzeba zapłacić 139,99 tys. zł. ©℗

PROJEKTOR EPSON EH-LS650

Dobra jakość obrazu, bardzo wysoka jasność, maksymalny obraz wielkości 120 cali, funkcjonalność Android TV, prosta obsługa, ładny design, niezła jakość dźwięku oraz niskie opóźnienie umożliwiające odpalenie gier – to największe zalety projektora ultrakrótkiego rzutu japońskiej firmy Epson.

Ważącego 7,4 kg urządzenia nie trzeba wieszać czy stawiać gdzieś daleko za kanapą. Wystarczy ustawić je na szafce przy ścianie w salonie. Wystarczy 3,2 cm od ściany, aby projektor mógł już na niej wyświetlić obraz wielkości 61 cali. Odsuwając go od ściany nieco dalej, można uzyskać obraz wielkości 120 cali.

Jakość obrazu 4K PRO-UHD jest już porównywalna do telewizyjnej rozdzielczości 4K. Rozdzielczość maksymalna wynosi 3840 x 2160 pikseli. Kolory są żywe i realistyczne, a czerń już wystarczająco czarna (choć mogłaby być jeszcze głębsza).

Źródłem światła jest laser. Dzięki temu jasność wynosi aż 3600 lumenów, co pozwala oglądać filmy, seriale etc. nawet w słoneczny dzień. Na pochwałę zasługuje również współczynnik kontrastu 2500000:1.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ci, którzy kupią ten projektor zamiast telewizora, nie powinni narzekać na brak łatwo dostępnych treści. Funkcjonalność Android TV daje dostęp do filmów i gier z popularnych serwisów, takich jak Google Play, Amazon Prime Video, Netflix czy YouTube.

Epson zapewnia przy tym, że w tym modelu maksymalna żywotność lampy wynosi do 20 tys. godzin. Tym bardziej projektor ten nadaje się więc na zamiennik telewizora. Rzadko który płaski telewizor ma tak dobry dźwięk. Wbudowane głośniki stereo i 10-watowy subwoofer firmy Yamaha grają naprawdę przyzwoicie (z głośników można korzystać poprzez Bluetooth nawet przy wygaszonym ekranie).

Po stronie plusów należy też zapisać niskie opóźnienie na poziomie poniżej 20 ms i specjalny tryb do gier. Są też dwa wejścia HDMI (w tym jedno ArC), co pozwala na bezproblemowe podłączenie konsoli do gier.

Wady? Przy maksymalnej jasności projektor zaczyna nieco za mocno hałasować. Sporadycznie mogą się też zdarzać problemy z ustawieniem właściwej ostrości.

Za testowany projektor trzeba zapłacić 9990 zł. Z jednej strony sporo, a z drugiej to i tak istotnie taniej, niż wynosi cena dobrej klasy telewizora o przekątnej 120 cali. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 82443a69e0

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Walezy w Krakowie

18 lutego 1574 r. zjechał do Krakowa nowy król Polski Henryk Walezy razem z orszakiem ponad 1,2 tys. sług, dworzan i przyjaciół. W skład świty wchodzili, jak podaje Stanisław Grzybowski, zarówno doradcy Ludwik Gonzaga de Nevers i Albert Gondi, marszałek de Retz, jak i Henryk, przeor Francji, przyrodni brat króla. Dwóch Gwizjuszów: Karol markiz de Mayenne i jego brat stryjeczny Karol markiz de d'Elbeuf oraz Gilles de Noailles.

Powitanie było długie i huczne. Król wjechał do stolicy od strony dzisiejszych Balic, na bronowickich Błoniach, w okolicy dzisiejszego osiedla Widok, czekały na niego Senat, chorągwie magnatów, cechy miejskie. Wspaniale prezentowała się husaria wojewody podolskiego Mikołaja Mieleckiego. Mowy na powitanie były tak długie, że dopiero o godz. 2 dotarł na Zamek Królewski. Wcześniej odbył triumfalny objazd miasta – oglądał rynek, katedrę, złożył uszanowanie królewnie Annie Jagiellonce, swojej przyszłej małżonce.

RYS. MART

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ostatecznie 21 lutego odbyła się koronacja w katedrze na Wawelu. Doszło do skandalu, bo prymas Uchański odczytał starą formułę przysięgi, podczas gdy nowa, którą zresztą Henryk zaprzysięgał w Paryżu, obiecywała zachować pokój pomiędzy różniącymi się w wierze. Zaprotestował zatem Jan Firlej, wojewoda krakowski, położył nawet rękę na koronie, dopominając się złożenia przysięgi w nowej wersji. Henryk ostatecznie zgodził się: „Jakem ją poprzysiągł w Paryżu, tak ją teraz potwierdzę" – powiedział. Wtedy zaprotestował z kolei Uchański. Ostatecznie konflikt załagodził starosta żmudzki Jan Chodkiewicz, który zaproponował, aby król dodał, że zachowa pokój między różniącymi się w wierze. Król ostatecznie wyrzekł te słowa.

Oprócz dworu i zaufanych przyjaciół, z którymi król grał w piłkę i karty, dworowi Walezego towarzyszył cały tłum ludzi, jak pisze Grzybowski: „Konno, pieszo, na wozie lub podwozem, tłumy obieżyświatów, awanturników, ciekawskich, spragnionych lepszego losu Francuzów różnej płci i kondycji, szukających w Polsce sławy, kariery i majątku". Nie trafili dobrze. Ówczesna zima niewiele miała wspólnego z dzisiejszą, panowały mrozy, przybyli do stolicy Polski głodni, zmarznięci, bez pieniędzy. Spodziewali się, że Polacy przygotują na ich powitanie uczty, a tymczasem nie dostali nawet kwater. Nikt się nimi nie przejmował; przez pierwsze dni obozowali na ulicach zatłoczonego Krakowa.

Wkrótce zaczęło dochodzić do pierwszych zwad i awantur, a przede wszystkim – pojedynków pomiędzy przybyszami a szlachtą bawiącą w Krakowie. Na początku, jak podaje Stanisław Sarnicki, Francuzi brali górę z racji używania szpad. W czasie walki miały one przewagę długości nad szablami i kordami, których zażywali już wówczas powszechnie Polacy. Jest to rzecz znana i dzisiaj – w walce pieszej (w konnej odwrotnie) – zwykle przewagę długości broni ma przeciwnik używający szpady lub rapiera. Jak poradzili sobie z tym nasi przodkowie?

Otóż, jak podaje pamiętnikarz, do łask przywrócono... miecze, które miały nie tylko większą długość, lecz także przewagę ciężaru – mocne cięcie mogło złamać wąskie ostrze szpady przeznaczonej przede wszystkim do kłucia. „Francuzi zgłupieli byli" – napisał o tym Sarnicki. Zapewne też z tamtych czasów pochodzi tradycja przedstawiona na obrazach, że szlachcic polski przebywający za granicą lub też w mieście, gdzie łatwo spotkać mógł przedstawicieli obcej nacji, zawsze miał przy boku pachołka lub chłopca noszącego miecz, pałasz lub rapier.

Francuzi wytrzymali w Krakowie zaledwie do wiosny. Widząc, że miejscowi nie zapewnią im specjalnego traktowania, wracali, narzekając na zimno i polskie obyczaje. Henryk Walezy sam zresztą zapoczątkował ich powroty, odsyłając z dworu część doradców. Pierwszy opuścił Polskę książę de Retz, po nim Albert de Gondi, wierny sługa Katarzyny Medycejskiej, matki króla. Król zredukował liczbę paziów i dworzan, pozostawiając tylko kilku zaufanych, zwanych „pieszczoszkami". „Mała strata, znaczna ulga" – napisał o tym biograf króla Stanisław Grzybowski. Najwierniejsi towarzyszyli mu w czerwcu w ucieczce, kiedy dowiedziawszy się o śmierci chorego brata, króla Francji, przedłożył Paryż nad Kraków i zbiegł z Rzeczypospolitej. O pobycie Francuzów warto zaś wspomnieć, spacerując dziś uliczkami dawnej stolicy. ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

SIOSTRY GOTUJĄ

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Dania na poniedziałek

Drugi dzień świąt jest również ważny dla katolików, ale mniej oficjalny niż Niedziela Wielkanocna. Zaczyna się od śmigusa-dyngusa, czyli porannego polewania – najlepiej zimną jak lód – wodą, następnie ochoczo przebrawszy się w suchą odzież oczywiście, zasiadamy do stołu i zjadamy to, co pozostało z dnia pierwszego. Chyba że – jak to przystało na prawdziwe polskie gospodynie – mamy zaplanowane specjalne menu na poniedziałek. Najlepiej jednak wykorzystać to, co pozostało, i zrobić sałatkę z resztek lub pastę z wędzonego łososia i jajek na twardo. Ważne, aby się nie zmarnowało.

W poniedziałek możemy zaproponować bardzo zdrową i bogatą w składniki odżywcze i witaminy kaszę jaglaną z warzywami albo zrobić z niej sałatkę z dodatkiem rukoli i innych zielonych liści, świeżych warzyw, winogron i szynki parmeńskiej z dodatkiem sosu na bazie oliwy z oliwek i octu balsamicznego. Będzie to doskonała alternatywa dla ciężkiego dania mięsnego. Kasza jaglana wspiera pamięć, a także dzięki zawartości krzemu wspomaga przemianę materii i doskonale wpływa na stan naszych włosów, paznokci i stawów.

Jest lekkostrawna i zasadotwórcza, pomaga odkwasić organizm. Możemy ją ugotować po prostu w wodzie na sypko, wówczas będzie idealnym dodatkiem do mięsa, a także w wodzie z dodatkiem mleka – będzie wtedy miała łagodny smak i wówczas będzie idealna do dań na słodko z dodatkiem owoców.

Ważne, aby przed ugotowaniem podprażyć kaszę na suchej patelni przez kilka minut, tak aż poczujemy przyjemny zapach kaszy – tak pozbędziemy się goryczki.

Przelewamy kaszę zimną wodą kilka razy, następnie możemy już gotować ok. 20 min. Są jednak osoby, które nie powinny jeść kaszy jaglanej zbyt często, chodzi tu o osoby z niedoczynnością tarczycy. Kasza, mimo że jest bardzo zdrowa, zawiera dość sporo goitrogenów, czyli substancji, które tarczycy szkodzą.

Wszystko jednak z umiarem i rozwagą, bo kaszę jeść warto.

FOT. ADOBE STOCK

Sałatka z kaszą jaglaną

• miks sałat, zielonych liści z rukolą • szklanka ugotowanej kaszy jaglanej • garść winogron • garść owoców granatu • garść orzechów włoskich lub pestek słonecznika podprażonych na suchej patelni • serek kozi, najlepiej sprawdzi się rolada kozia lub ser lazur blue • sos winegret • 1/3 szklanki oliwy z oliwek • 2 łyżki soku z cytryny • 1 łyżeczka miodu • sól, pieprz

Na dużym talerzu układamy sałatę, posypujemy obficie kaszą, następnie roladę kozią dzielimy na małe kawałeczki i układamy na kaszy. Winogrona kroimy na połówki układamy na wierzchu, obok owoce granatu, posypujemy pestkami lub orzechami. Przed podaniem polewamy sosem. ©℗

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Rodzinne słówka

Gdy moja mama, wtedy już dobrze po osiemdziesiątce, zaczynała opowiadać jedną ze swoich historyjek, którą wszyscy słyszeli już parę razy, wnuki odzywały się: „Babcia już to mówiła". Starsza pani milkła speszona, ale wcale nawet się nie gniewała. Teraz, po latach, gdy Mamy od dawna nie ma wśród nas, powiedzonko „babcia już to mówiła" pozostało i zaczęło żyć swoim życiem, cytowane wtedy, kiedy ktoś opowiada coś, co już wszyscy znają.

Wprawdzie nie mam jeszcze osiemdziesiątki, ale już dysponuję sporym zasobem historyjek do opowiedzenia i chętnie się nimi dzielę w towarzystwie, nie bacząc, że już kolejny raz. I wtedy sakramentalne „babcia już to mówiła" wraca. To jedno z rodzinnych powiedzonek, intymny zasób na użytek wyłącznie własny.

„Rodzina nie cieszy, gdy jest, lecz kiedy jej nie ma, samotnyś jak pies" – napisał Jeremi Przybora, a śpiewali dwaj starsi panowie. Wszyscy znają ten refren wszech czasów. Zdaje się, że autor dobrze znał temat, bo sam wychował się w nietypowej sytuacji rodzinnej. Bywało szczęśliwie, ale gorsze momenty się zdarzały. Jednak w końcu i nam, i autorowi wyszło na dobre. Wiele powiedzonek, cytatów i piosenek z Kabaretu Starszych Panów po 50 latach żyje z nami i ma się świetnie.

Równie długo, bo nawet pokonując przeszkody pokoleniowe, potrafią przetrwać powiedzonka rodzinne, family sayings. Jakiś wierszyk, anegdotka, historyjka, przekręcone przez dziecko słówko, dziecinne zdrobnienie z intymnego jednorazowego użycia wskakuje do trwałego zasobu językowego rodziny. To język u zarania intymny – początkowo znają go wtajemniczeni, ale gdy zakładają własne rodziny, anegdoty idą dalej i poszerzają krąg. Historyjki, które babcia opowiadała 300 razy i które wszyscy znają na pamięć, opowiadane są w nowej wersji i nabierają nowego smaku w ustach tych, którzy je puszczają dalej w obieg już jako swoje. Trochę jak zremasterowany cyfrowo film z lat 50. Ale współczesny słuchacz nie ma cierpliwości, anegdota ma być krótka, wymiana zdań szybka. Długie treści nie mają szansy. Bohaterowie, okoliczności, miejsca i daty opowiadanych zdarzeń nie są już takie jak w pierwowzorze. Nie wiadomo, kto pierwszy to opowiedział i czy to w ogóle kiedykolwiek się zdarzyło. Część jest prawdą, część zmyśleniem. Historyjka, tak jak piosenki ludowe, staje się ustnym przekazem dokumentalnym i żyje w oderwaniu od miejsca urodzenia, czasem wypadając z kontekstu. Przeczytajcie parę biografii, a znajdziecie takich opowiastek na kopy. To też budulec dla powieści. Ale kto dzisiaj pisze powieści? Kto czyta? ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Bezbronność cywilna

Ostatnio pojawiają się zaskakujące (dla kogo?) konstatacje, że nie jesteśmy przygotowani do wojny. Niektórzy przytomni oddzielili dwie sfery – wojskową i cywilną. Bo z tą pierwsza to jakoś tam pewnie jest, coś tam jeździ, strzela, ktoś mundury nosi i rysuje po jakichś mapach. Ale co mamy dla cywilnej ludności, która – jak uczą najnowsze doświadczenia – jest nie tyle głównym podmiotem wojny, ile raczej jej ofiarą? Zdobycze technologii wcale nie oddzielają tych dwóch sfer, tak żeby się ta wojenna ścierała z wrogiem w obronie tej cywilnej.

I w tym kontekście dostaje się naszej obronie cywilnej, a właściwie jej fantomowi, gdyż ten obszar od dawna jest kwestią wysoce teoretyczną. Mnie nagłość tego odkrycia… dziwi. A co to, nikt wcześniej nie wiedział, że nie ma całego systemu i to nie dlatego, że ten straszny PiS to odwołał, ale że tak było od początku III RP? Za komuny to jeszcze coś ktoś tam udawał, męczyli w szkołach przysposobieniem obronnym, choć w kontekście naszego pokojowego Układu Warszawskiego to raczej królowała wtedy instrukcja uniwersalna, żeby w przypadku ujrzenia rozbłysku na horyzoncie przykryć się gazetą i czołgać w kierunku cmentarza. A więc było to raczej udawanie. Dziś jesteśmy w stopniu szczerym – bezbronni. Jeśli ktoś w to nie wierzy, to niech sam się przetestuje i wskaże schron, do którego się uda w razie W.

Mam smutne wieści: to nie tylko zaniedbanie rozleniwionych parasolem NATO naszych wybrańców. To nieciekawa konstatacja odziedziczona od komuny. Nasze geopolityczne położenie stanowi o naszym przeznaczeniu, które z przerażeniem skonstatował płk Kukliński, co popchnęło go do czynów wiadomych. W razie konfliktu atomowego miała po nas pozostać wypalona plama. Po co więc schrony, systemy wodne i przeciwpożarowe, jak i tak wszyscy mieliśmy wyparować w jednej chwili? I takie coś odziedziczyliśmy z wdzięcznie przyjętym przez polityków dobrodziejstwem inwentarza.

Ale czasy się zmieniły. To, że nie mielibyśmy być gotowi na przeżycie pierwszych chwil atomowej potyczki, stawia nas w kompletnie innej sytuacji, kiedy może dojść do wojny konwencjonalnej z góra taktycznym użyciem atomu. Skoro nie zrobiliśmy nic, by przetrwać atomową zagładę, to okazało się, że nie jesteśmy przygotowani i do „normalnego" bombardowania. Państwo nas w tym wszystkim opuściło, a zapewnienie przez państwo bezpieczeństwa obywateli zdawało się być jego jedną z podstawowych funkcji. Ale zobaczycie, że jak to wszystko, z Bożą pomocą, rozejdzie się po kościach, to nikt nie wróci do tematu. O rozliczeniu winnych tego stanu nawet nie wspomnę. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Deprawacja powraca!

Minister zdrowia Izabela Leszczyna poinformowała 19 marca o spotkaniu z seksuologiem prof. Izdebskim. W konkluzjach spotkania czytamy: „W szkołach musimy zmodyfikować przedmiot, który teraz nazywa się »wychowanie do życia w rodzinie«, i poszerzyć o edukację psychoseksualną" oraz – „w Polsce mamy bardzo duży dorobek naukowy w seksuologii – czas na przekucie teorii w praktykę".

W 2004 r. redakcja „Warto rozmawiać" zaalarmowana została przez rodziców z Małopolski, że w szkołach przeprowadzono bulwersującą ankietę. Badanie TNS OBOP dotyczyło ryzykownych zachowań młodzieży (w wieku 14–17 lat), objęło 5 tys. uczniów. Treść pytań nie była znana dyrekcji ani rodzicom. Badanie prowadzone było przez osoby z zewnątrz, a nauczyciele i wychowawcy musieli opuścić klasę. Oto próbka pytań (ich treść nie była znana dyrekcji ani rodzicom):

- Jaki rodzaj wynagrodzenia otrzymałeś/otrzymałaś za świadczenie usług seksualnych? a) płyty CD, b) jeansy, c) posiłek w McDonaldzie, d) inne.
- Czy uważasz, że stosunek seksualny osoby dorosłej z osobą niepełnoletnią (o ile obie się zgadzają) powinien być dopuszczalny: od 10. roku, od 12. roku, od 14. roku?
- Przypomnij sobie twój pierwszy stosunek seksualny. Czy twoje pierwsze kontakty seksualne były udane czy nie? Pomyśl o tym, jak się czułeś/czułaś, czy było ci dobrze, czy czułeś/czułaś podniecenie?
- Z kim zwykle oglądasz lub oglądałeś/oglądałaś pornografię? Jaki rodzaj pornografii... a) seks ze zwierzętami, b) seks pomiędzy więcej niż dwojgiem ludzi (seks grupowy)?
- Jak bardzo prawdopodobne jest, że zdecydowałbyś/zdecydowałabyś się na stosunek seksualny z dzieckiem, gdybyś był/była pewien/pewna, że nikt się nie dowie i nie będziesz za to ukarany/ukarana?

Na te pytania można było dać odpowiedź w skali od jednego do pięciu.

Zaprosiliśmy do „Warto rozmawiać" prof. Izdebskiego, pokazałem mu pytania, cytując inne jego badania, z których wynika, że miażdżąca większość ankietowanych była przed inicjacją seksualną. Kiedy z uporem bronił ich „naukowości", poprosiłem o odpowiedź na moje pytanie: „Jak bardzo prawdopodobne jest, że jest pan pedofilem, dlatego treść pytań ma zachęcić uczniów do podjęcia aktywności seksualnej? Proszę o odpowiedź w skali od jednego do pięciu".

Izdebski chciał wybiec ze studia, ale został i próbował egzaminować mnie: Jakim prawem zadaję mu takie pytania? Po oskarżeniu o pedofilię jego bliskiego współpracownika, Andrzeja Samsona, prof. Izdebski na jakiś czas zniknął z mediów. Dziś znów się pojawia z zamiarem wcielania (swojej) seksuologii w praktykę. Rodzice, uwaga! Chrońcie dzieci! ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Tego się nie da przebić

Niech państwo uważają, co piszą w mediach społecznościowych, bo wpisy nie płoną. Stop. W ciemnych czasach rządów PiS dzielna prokurator Ewa Wrzosek walcząca z Ziobrowskim reżimem w roku 2022 napisała na Twitterze: „Stosowanie wobec osoby objętej immunitetem środków przymusu nieizolacyjnego – a takim jest przeszukanie – jest nielegalne". Stop. Pani prokurator zapomniała, co kiedyś pisała, i teraz zadowolona z przeszukania w domu posła Ziobry uradowana skomentowała: „Spełniamy marzenia". Stop. Prawo w Polsce zależy od punktu siedzenia...

Nasza reprezentacja w piłce kopanej wywalczyła po barażach awans na Euro 2024. Stop. Znajomi masochiści, którzy widzieli spektakl, twierdzą, że nasi zawodnicy nie oddali w decydującym meczu w ciągu 90 minut ani jednego celnego strzału na bramkę Walii, ani jednego. Stop. Ani jednego. Stop. To duże osiągnięcie naszych kopaczy, tego nie da się już przebić na Euro. Stop. Tradycyjnie czekają nas trzy mecze...

Katarzyna Lubnauer z partii Nowoczesna, obecna wiceminister edukacji, poinformowała, że „polityczni kuratorzy oświaty zostali odwołani, a na ich miejsca w konkursach wybrano nowych, niezależnych. Od 1 września przedmiot historia i teraźniejszość zostanie zlikwidowany dla nowych roczników w szkołach ponadpodstawowych". Stop. Spokojnie, pani Kasiu, po zmianie władzy pani niezależni kuratorzy z całą pewnością staną się politycznymi i minister zapewne odwoła wszystkich. Stop. Niewykluczone, że likwidacja HiT nazwana zostanie polityczną i szkodliwą dla Polski propagandą. Stop. Taki u nas rytuał, tradycja czy też kolej rzeczy niezmienna. Stop.

Wirtualne media po rozmowie z byłym prezesem TVP zaatakowały tytułem: „Jacek Kurski: »Winni bezprawnej dewastacji TVP poniosą surowe konsekwencje«". Stop. Przy tym wpisie odnotowałem komentarz Łukasza Warzechy: „Przez chwilę myślałem, że to o Kurskim, a nie, że Kurski to mówi". Stop.

Rząd obniża podatek dla tzw. branży beauty, a podwyższa podatek na żywność. Stop. Może i będziesz głodny (głodna), ale będziesz śliczny (śliczna). Stop. Zastrzegam sobie copyright na to polityczne hasło reklamowe.

Nasz Ryszard sześciu królów Petru wrócił w wielkim stylu. Stop. Na zaimprowizowanej w Sejmie konferencji prasowej poinformował: „Przy przychodzie rocznym pomiędzy 85 tys. a 300 tys. zł składka wyniosłaby 525 tys. zł miesięcznie". Stop. Nie chciałbym państwa martwić, ale ze słów przedstawiciela koalicji rządzącej wynika, że wszyscy państwo będą siedzieć za niepłacenie składek... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Skowyt wyższych sfer

Zdumiewająca książka wdarła się właśnie przebojem na brytyjskie listy bestsellerów. Napisał ją lord Charles, dziewiąty hrabia Spencer, młodszy brat lady Diany Spencer, tragicznie zmarłej żony króla Karola III. Książka zatytułowana jest „A Very Private School", co przetłumaczyć można jako „Bardzo elitarna szkoła". Autor jest chrześniakiem królowej Elżbiety II i właścicielem pięknej pałacowej rezydencji, ojcem siedmiorga dzieci poczętych z trzema kolejnymi urodziwymi żonami.

„A Very Private School" opowiada o dzieciństwie hrabiego. Było ono, jak z książki wynika, traumatyczne. Rodzice nie mieli z dziećmi emocjonalnego kontaktu. Wychowaniem rodzeństwa Spencerów zajmowały się nianie, których ulubioną metodą wychowawczą było „trzaskanie" o siebie głowami powierzonych im dzieci. Za każde nieposłuszeństwo nianie wlewały dzieciom w gardła „chochlami" środki przeczyszczające. Hrabia z pustym żołądkiem błąkał się po pałacu, na próżno szukając bliskości i ciepła. Znajdował je wśród domowych zwierząt. Były to pocieszenia ulotne, gdyż matka, hrabina Frances Ruth Shand Kydd z domu Roche, bez uprzedzenia usypiała ulubione psy dzieci.

Prawdziwy dramat zaczął się jednak w tytułowej szkole prywatnej. Autor trafił do niej jako ośmiolatek, w roku 1972. Co może wydać się dziwne, pisarz liczy dziś sobie 59 lat, lecz przez minione pół wieku nie podzielił się szczegółami przeżytych w szkole tortur. Miał być wykorzystywany seksualnie i poddawany wyrafinowanym udrękom przez co najmniej dwóch wychowawców (wszyscy zmarli przed laty) i jedną gospodynię internatu. Swoje doświadczenia porównał lord Spencer do losu łagierników z prozy Sołżenicyna. Jak pisał autor „Archipelagu GUŁag", „nieograniczona władza w rękach nielicznych zawsze prowadzi do okrucieństwa" i mały hrabia zaznał tego na własnej skórze. Sadystyczny nauczyciel uwielbiał biczować chłopców trzcinkami, by następnie molestować ich na liczne sposoby, których opisy czyta się z trudem, a cytować nie sposób. Brat księżnej Diany poddawał się w ich następstwie licznym, szczegółowo opisanym terapiom. Brutalne nadużycia seksualne ze strony gospodyni internatu „przez resztę życia wpływały na jego relację z kobietami".

Książka lorda Spencera kosztuje w księgarniach skromne 25 funtów. „Tak oto kończy się świat, nie hukiem, ale skomleniem" – prorokował angielski poeta T.S. Eliot. Gdy przepustką do popularności i uznania stało się pranie brudów i wzbudzanie litości, skomleniem przypomina o sobie brytyjska arystokracja. ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Homo oxymoronis

Naukowcy odkryli ostatnio nowy podgatunek człowieka, który nazwano w literaturze fachowej *Homo oxymoronis.* Rozwinął się on na ostatnim etapie komunizmu, a szczególnie w wyniku ewolucji postmodernistycznej. Przypomnijmy, że słowo „oksymoron" pochodzi z greki, gdzie „oxys" znaczy „ostry", a „moros" – „tępy". Zapewne chodziło o to, że miecz nie może być jednocześnie ostry i tępy. Otóż oksymoron to figura słowna zawierająca sprzeczność.

Uważa się, że pierwszymi okazami wspomnianego podgatunku byli rzecznicy dialektyki, a zwłaszcza ci, którzy przeprowadzili niektóre społeczeństwa najdłuższą drogą od kapitalizmu do kapitalizmu. Osobnik tego podgatunku wmawiał np. wszystkim, że postęp usprawiedliwia mordowanie ludzi, a następnie z równym zapałem twierdził, iż zawsze mówił coś przeciwnego.

Podgatunek *Homo oxymoronis* występował początkowo głównie wśród polityków. Znakomitym jego przykładem jest były prezydent Polski, który mówił, że „jest za, a nawet przeciw". Ze szczególnym nasileniem gatunek ten rozwinął się w niektórych kręgach parlamentu, w rządzie i niektórych mediach żonglujących pamięcią. Na pewnym etapie ktoś mógł tam być bohaterem, by niedługo wpaść w kategorię łotrów, a potem nawet wrócić na piedestał.

Czytelnik zaś za każdym razem przyznawał rację gazecie, bo to była jego gazeta i nie dałby sobie jej odebrać za żadne skarby. Ostatnio wspomniany podgatunek kształtuje się także bujnie w środowiskach naukowych. W matematyce liczbą urojoną nazywa się liczbę, która podniesiona do kwadratu daje wartość niedodatnią. Dla uczonego typu *Homo oxymoronis* liczby urojone są wymarzoną miarą rzeczy, a „niedodatni efekt" uważa się za coś nieuniknionego w „płynnej rzeczywistości".

Podgatunek *Homo oxymoronis* występował początkowo głównie wśród polityków. Znakomitym jego przykładem jest były prezydent Polski, który mówił, że „jest za, a nawet przeciw". Ze szczególnym nasileniem gatunek ten rozwinął się w niektórych kręgach parlamentu, w rządzie i niektórych mediach żonglujących pamięcią

Coraz częstsze są obecnie przypadki osobników, którzy twierdzą, że coś małego jest naprawdę duże, oraz z przekonaniem dowodzą, że wzrost oznacza naprawdę spadek lub że aborcja jest miłością. Emerytowany sędzia Sądu Najwyższego stwierdził już, że praworządność można wprowadzić, jedynie łamiąc prawo, a ocena ta zyskała aprobatę przewodniczącej Komisji Europejskiej. Osoba odpowiedzialna ze reformę edukacji, męcząc się z gramatyką, twierdzi, że w XXI w. dzieci nauczą się więcej, pracując mniej. Rozwalanie zasieków granicznych nazywa się obroną praw człowieka. „Opiłowywanie" Kościoła ma być dowodem troski o jego właściwy kształt. Jeden z najwyższych przedstawiciel władzy uspokaja, że jedynie „bierze go furia". Pewna posłanka bierze pieniądze za udział w komisji, której istnienia nie uznaje. Również wynik ostatnich wyborów uznała ostatecznie instytucja, której istnienia nie uznaje większość rządząca. Powstaje więc pytanie, jaka jest podstawa tego rządu. Mistrz podgatunku *Homo oxymoronis* na tego rodzaju poważne, merytoryczne pytania odpowiada: „Co?", a następnie dodaje: „Nie wiem, ale jak się dowiem, to powiem". Jako przykład „polityki miłości" podaje się słynne osiem gwiazdek, a słowa dotąd uważane za wulgaryzmy są oceniane przez językoznawców jako uprawnione świadectwa emocji. Zbliżamy się do momentu, gdy te same autorytety uznają cios w twarz oponenta za element rozwoju fizycznego człowieka.

Wspomniane cechy gatunkowe *Homo oxymoronis* rozprzestrzeniają się w społeczeństwie z dużą szybkością, gdy „nasz" autorytet opowiada, że coś było, a „ichni" – że nie było. Ponieważ za każdym razem szykuje się pyskówka, ludzie bardziej racjonalni unikają dyskusji, co tylko nasila występowanie cechy oxymoronis w społeczeństwie.

Zachowanie człowieczeństwa prawdziwego jest zadaniem trudnym, ale nie niemożliwym. Wystarczy odwołać się do głęboko zakorzenionej, choć czasem ukrytej potrzeby sensu, bo oksymoron to sprzeczność i bezsens. Z historii wiemy, że różne podgatunki ludzkie rodziły się i wymierały. Temu gatunkowi najbardziej grozi głęboko zakorzeniona w ludzkiej naturze potrzeba sensu. Bezsens prowadzi bowiem do zagłady gatunkowej. ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

GRANICA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Granice państwowe są potrzebne. Kiedyś to przekonanie było powszechne, ale potem w Unii Europejskiej zapanowała moda na likwidowanie granic. Gdy zaczęli likwidować granice wewnętrzne, zniknęło też w ludziach ogólne poczucie, że granica jest czymś dobrym i warto jej strzec.

Kto pilnował granic kiedyś? Wojsko! A teraz? W ramach Unii, gdzie granice likwidowano, poznikały też jednostki wojskowe, a te, które zostały, ktoś rozbroił. Są kraje otoczone innymi krajami UE, które w ogóle nie uważają za konieczne, by pilnować własnych granic.

***

Nielegalne przekroczenie granicy to przestępstwo karane więzieniem. A zanim cię wsadzili, to kiedyś jeszcze strzelali – Wojska Ochrony Pogranicza były jednostkami najbardziej frontowymi ze wszystkich, były uzbrojone po zęby, miały naboje ostre i rozkaz strzelania, gdyby ktoś się pakował przez granicę. Te jednostki zlikwidowano i w roku 1991 powołano Straż Graniczną. Ja uważam, że granic państwa powinno strzec regularne wojsko, a nie organ administracji. Wojsko powinno granic strzec i… BRONIĆ. Aby mogło bronić, powinno być uzbrojone w sprzęt i stosowne rozkazy, w tym w rozkaz: STRZELAĆ.

Obecnie zamiast więzienia pogranicznicy proponują przestępcom (nielegalne przekroczenie granicy to PRZESTĘPSTWO!) obozy przejściowe i pomoc socjalną. Czyli kary nie ma, jest nagroda: wikt, opierunek, darmowe mieszkanie, leczenie, edukacja, wystawienie dokumentów, jeżeli nie masz własnych… Dlaczego nawet na zewnętrznych granicach Unii Europejskiej przestali strzelać do intruzów? Kiedy zmieniono podejście do przepisów o więzieniu? Czemu przestępcy nie trafiają pod sąd? Prawo mówi:

„Nielegalne przekroczenie granicy (art. 264)

§ 2. Kto wbrew przepisom przekracza granicę Rzeczypospolitej Polskiej [...], podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”.

Kto i kiedy zmienił rozkazy? Przecież mamy zagrożenie wojenne! Pogróżki ze strony władz Białorusi oraz Rosji. Pogróżki rosyjskie zawierały informacje o pociskach jądrowych. Grożą nam normalną wojną. Czemu w tej sytuacji nie przywrócono rozkazów o strzelaniu na granicy? Skąd wiemy nocą i z daleka, że to „biedny Syryjczyk w poszukiwaniu pracy”, a nie bogaty członek Grupy Wagnera? Skąd to wiemy? Nie wiemy! No to czemu nie strzelamy na granicy do każdego, kto się właśnie przedziera przez las i nie zareagował na wołanie „STÓJ, BO STRZELAM”?

***

W tej chwili najbardziej strzeżone kawałki polskiej granicy są na lotniskach i gdybyś tam próbował się pchać nielegalnie, to cię zastrzelą, ale gdy rozwalasz zasieki na granicy z Białorusią, to stoją i się patrzą, bo takie mają rozkazy. Nie ich wina, że się patrzą – wina tych, którzy rozkazu nie wydali.

Kolejne dokładnie strzeżone granice to płoty dookoła budynków rządowych lub jednostek wojskowych. Tam sami siebie pilnują, a granica na Bugu stoi otworem. No i płotów więziennych też pilnują, mają nawet wieżyczki strażnicze i jakoś potrafią strzelić w razie czego.

***

Pan przesadza, Panie WC. Jak tak można do ludzi strzelać?

Ja nie każę od razu do ludzi, ale np. do tych afrykańskich pontonów, które się pchają w stronę Włoch i Grecji – płynie sobie włoski patrol wojskowy po morzu i gdy widzi pontony, to strzela w wodę przed nimi, tak aby piana w górę szła. Sternicy w pontonach zobaczą wybuchy na wodzie, to grzecznie zawrócą w obawie, że im ponton rozwali. Ludzie robią się bardzo rozsądni, gdy widzą coś takiego.

Przecież tak nie można?

Jeżeli „tak nie można”, to potem mamy do czynienia z niestabilnym sojusznikiem w ramach Unii Europejskiej, którym stała się Francja.

Francja nie strzegła granic i w konsekwencji utraciła kontrolę w wielu obszarach miejskich wewnątrz własnych granic. Wewnątrz! Podobnie jest w Szwecji i słyszeli Państwo o tym wiele razy.

Niemcy też nie są stabilne, skoro w Niemczech jest więcej nielegalnych imigrantów niż policjantów. Gdyby doszło do starć jeden na jednego, to niemiecka policja przegrałaby.

Francja podwyższyła stopień zagrożenia terrorystycznego do najwyższego. Ulice Paryża patroluje 70 tys. żołnierzy. Powinni od lat pilnować granic, ale tego nie robili. Nasi sojusznicy sobie nie radzą, a to oznacza, że postawiliśmy na złych sojuszników – oni już nam bezpieczeństwa nie zapewnią, a my dalej swoje i nawet sami nie pilnujemy własnych granic. Bo co to za pilnowanie, gdy pogranicznik ma tylko patrzeć i przepuszczać dalej?

***

W USA Joe Biden przestał pilnować południowej granicy – kazał swoim pogranicznikom stać, patrzeć i REJESTROWAĆ nielegalnych przybyszów. W USA obowiązują przepisy takie jak u nas – za nielegalne przekroczenie granicy jest więzienie, ale administracja Joe Bidena robi to co nasza: wpuszcza i proponuje social.

W ciągu jednego roku zarejestrowano i wpuszczono w głąb kraju ponad 2 mln ludzi, w tym 30 tys. nielegalnych przybyszów z Chin – wszyscy w tym samym wieku poborowym, tak samo ostrzyżeni, weszli zorganizowanymi grupami, bez dokumentów, z jednym wojskowym plecaczkiem każdy. Gdzie są teraz i co organizują?

Kontenerowiec rozwalił most i zablokował ważny port. Z samolotów Boeing w trakcie lotów wylatują drzwi, odpadają koła. Eksplozje zakładów chemicznych i toksyczne chmury. Pożary w kilku wielkich zakładach produkujących mięso. Masowy pomór bydła bez żadnej epidemii. To seria zdarzeń z ostatnich 12 miesięcy. Aby w całej Ameryce zgasł prąd, wystarczy kilkanaście niewielkich wybuchów na niestrzeżonych stacjach transformatorowych – sieć zgaśnie automatycznie. ©℗

eprasa.pl 82443a69e0

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

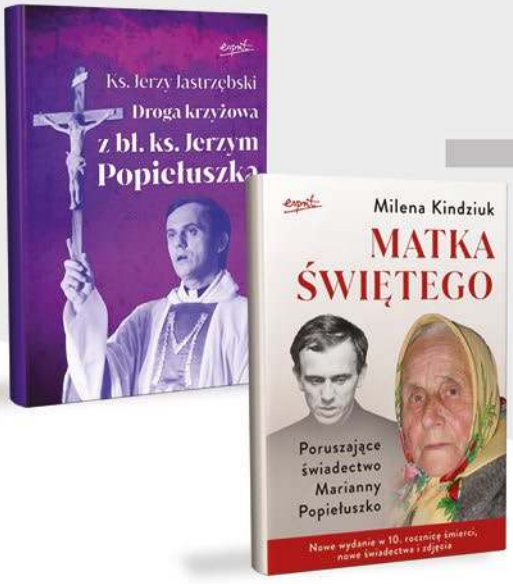

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. JERZY JASTRZĘBSKI: „DROGA KRZYŻOWA Z BŁ. KS. JERZYM POPIEŁUSZKĄ", MILENA KINDZIUK: „MATKA ŚWIĘTEGO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~532 ZŁ~~

236,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 296 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 82443a69e0

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA O POLSKĘ

Operacja „Unthinkable" – Supertajny brytyjski plan ataku na Związek Sowiecki

Wyklęci w oczekiwaniu na pomoc – Polacy mieli przystąpić do walki z krasnoarmiejcami, gdy na wschód będą zmierzały alianckie jednostki

Złoto Decebala – Na początku naszej ery na terenach dzisiejszej Rumunii panował przebogaty władca, którego poczynania przyprawiały o ból głowy rzymskich cesarzy

Odyseja Wielkiego Treku – Biali z RPA wciąż pamiętają o bohaterskich wyczynach voortrekkerów sprzed niemal 200 lat

Amerykański sen Stalina – Udział firm z USA w budowie sowieckiego przemysłu był kluczowy dla rozwoju ZSRS

Przekleństwo Medyceuszy – Dynastia rządząca Toskanią degenerowała się w zastraszającym tempie. Ostatni członkowie rodu w niczym nie przypominali swoich przodków

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 82443a69e0